

Helen Dickson

Kapitan i córka pirata

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Listopad 1671 roku

Sławny pirat, kapitan Nathaniel Wylde, miał zawisnąć na stryczku dokładnie w południe, na szubienicy ustawionej na północnym brzegu Tamizy w Wapping. Miejsce kaźni tonęło w grząskim błocie, bo znajdowało się tuż nad wodą, w pobliżu słupa wyznaczającego granicę odpływu. Wszyscy piraci, którzy dopuścili się zbrodni na morzu, podlegali jurysdykcji jego lordowskiej mości admirała i musieli zginąć „mokną śmiercią”. Tak stanowiło prawo. Sądy grodzkie sądziły zwykłych rzezimieszków.

Szubienica była zupełnie prosta, zbita z trzech belek, z ponurą pętlą zwieszającą się z poprzeczki. Ciało skazańców aż trzykrotnie obmywały fale przyptywu, zanim je zabierano i wieszano ponownie w dole rzeki, ku przestrodze innych żeglarzy, którzy w zaślepieniu chcieliby kroczyć drogą występku.

O kapitanie Nathanielu krążyły różne barwne opowieści. Był przystojny i obdarzony charyzmą, a pływał aż po Karaiby i odległe chińskie morza. Nic więc dziwnego, że w dzień wyroku nie mały tłum zgromadził na brzegu Tamizy. Niektórzy nawet skorzystali z łodzi, żeby mieć lepszy widok. Każdy na własne oczy chciał zobaczyć śmierć niezwykłego bohatera, przed ponad dwudziestoma laty pochwyczonego przez piratów, kiedy uchodził przez Atlantyk po wielkiej klęsce rojalistów w bitwie pod Worcester.

Dwa lata spędził na galerze niczym niewolnik. Pływał po ciepłych wodach Morza Śródziemnego, potem uciekł i zdobył własny statek. W lot poznał tajniki żeglowania i nawigacji, a że miał w sobie żyłkę do przygody, wyruszył na ocean. Łupił bogate statki kupieckie i drwił ze sprawiedliwości, nie uznając żadnych ziemskich praw, z wyjątkiem prawa pirata.

W odróżnieniu od innych rozbójników, słynnych z bezwzględności i okrutnych czynów, Nathaniela Wylde'a - bez wątpienia łotra i rabusia - nazywano Piratem Dżentelmenem, a to za sprawą pewnej galanterii, z jaką traktował nieszczęsne ofiary. Załogę trzymał w ryzach. Choć niepiśmienna i przesądna - jak większość załóg w tamtych czasach - prowadziła się nader porządnie. Piraci kapitana Wylde'a z rzadka kłęli i stronili od pijackich burd i wybryków.

Nieco z boku, na obrzeżach tłumu, stała Cassandra Everson, w płaszczu z kapturem zakrywającym jej pół twarzy. Kaptur po trosze chronił ją przed deszczem siąpiącym z ołowianego nieba, po trosze zaś przed wzrokiem ojca. Chowiała się, bo, niestety, to właśnie jej ojciec był głównym bohaterem dzisiejszych wydarzeń. Wszyscy, którzy tu przyszli, chcieli być świadkami, jak osławiony pirat wyzionie ducha.

- Nie powinnaś tego oglądać - mruknął stojący obok Cassandry wysoki chudzielec. W dłoni ścisnął rękojeść noża ukrytego w fałdach sutej peleryny. - Czasami nie rozumiem twojego uporu. Obiecałem Natowi, że się tobą zajmę. Nie prosił mnie, żebym cię tutaj przyprowadził.

- Musiałam przyjść. Sam o tym wiesz najlepiej. Nie martw się, to nie potrwa długo. Już prawie południe.

Chudzielec nazywał się Drum O'Leary i jeszcze bardziej zakrył twarz niż Cassandra, bo był ścigany listem gończym i za jego głowę wyznaczono nie małą nagrodę. To on pierwszy przybył do domu Eversonow w Chelsea z wieścią o pojmaniu Wylde'a. Cassandra ubłagała go, by wraz z nią wybrał się nad Tamizę.

Drum był posepnym i groźnym Irlandczykiem. Ten, kto mu wchodził w drogę, ryzykował, że dostanie nożem pod żebro. Na policzku miał starą bliznę po cięciu kordelasem. Żle zagojona, wykrzywiła mu usta w górę, co sprawiało wrażenie, jakby się uśmiechał, lecz nie był to przyjemny uśmiech. Drum mówił cicho i spokojnie, chociaż dla wrogów bywał bezlitosny. Przydomek Drum, czyli Bęben, zyskał w czasach wojny domowej, gdy jako dobosz służył w oddziałach króla Karola. Już od ponad dwudziestu lat był zaufanym i wiernym przyjacielem Nathaniela Wylde'a. Po klęsce rojalistów razem uciekli z Anglii, razem wpadli w ręce piratów i jako niewolnicy razem trafili na galerę. Ostatnio Drum wybrał się na Wyspy Zielonego Przylądka, w odwiedziny do pewnej Portugalki, którą niegdyś pojął za żonę. Nie było więc go na „Delfinie”, kiedy Wylde został schwytany.

Drum spojrzał prosto w oczy Cassandry - tak podobnych do oczu Nathaniela - i ujrzał w nich przejmujący smutek. Pokręcił głową. Żle zrobili, że tutaj przyszli. To nie miejsce dla młodych dziewcząt.

- Nie martw się, Drum. Nie pozwolę na to, żeby mnie zobaczył - zapewniła Cassandra.

Dzień był chłodny - jak zwykle w listopadzie - ona jednak nie czuła przenikliwego zimna ani smrodu bijącego od zanieczyszczonej rzeki. Wciąż wyciągała szyję, by spojrzeć na drogę, którą miał przejeżdżać wóz ze skazańcem. Po chwili usłyszała skrzypienie kół i chlupot grząskiego błota.

Wóz wyruszył z więzienia Marshalsea na południowym brzegu Tamizy i przez Most Londyński zmierzał pod szubienicę. Nathaniel Wylde wpadł w ręce sprawiedliwości u zachodnich brzegów Afryki. Admiralicja wysłała tam ciężki okręt, wyposażony w listy kaperskie i rozkaz przejęcia „Delfina”. Jeniec przesiedział trzy miesiące w celi, zanim zapadł wyrok skazujący.

Pochód otwierał jadący konno wysoki urzędnik admiralicji. Potem szli wartownicy. Cassandra nie widziała ojca już półtora roku, ale z daleka rozpoznała grzywę jasnych włosów, przetykanych siwizną. Kapitan Wylde zazwyczaj bardzo dbał o swój wygląd, lecz w więzieniu nie mógł się golić, więc zapuścił gęstą brodę. Ogorzała i opalona twarz zdradzała, że większość życia spędził na morzu pod palącymi promieniami tropikalnego słońca. Teraz jednak - po trzech miesiącach spędzonych w ciemnicy - wydawał się nieco bledszy.

Cassandra mocniej naciągnęła kaptur na głowę i niemal całkiem zasłoniła twarz, pozostawiając tylko mały otwór na wysokości oczu. Nie chciała, aby ojciec wiedział, że była świadkiem jego poniżenia. Kiedy przejeżdżał obok, stłumiła szloch, zła na siebie za chwilę słabości.

Wóz stanął na brzegu rzeki i Wylde wysiadł w towarzystwie więziennego kapelana, który wciąż jeszcze łudził się nadzieją, że osławiony pirat uzna swoje grzechy i wypowiada się przed samą śmiercią. Padło pytanie, czy skazaniec chce coś powiedzieć zgromadzonym. Wylde przecząco pokręcił głową. Wbił wzrok w szubienicę i energicznym krokiem wstąpił na platformę, jakby chciał pokazać, że spieszno mu rozstać się z tym światem.

Zachowywał się tak swobodnie, jakby z rozwianym włosiem wciąż stał na chwiejnym pokładzie „Delfina” i wydawał komendy. Przypominał teraz strzelistą topolę, opromienioną złotem jesiennych liści. Był rabusiem, piratem i nędznym złoczyńcą, ale tuż przed śmiercią dał dowód hartu ducha i sprawił, że na wielu twarzach zabłysnęła niestosowny w tych okolicznościach uśmiech niekłamanej dumy.

Zgoła inne były odczucia Cassandry. Zimny gniew ją ogarnął, kiedy patrzyła na posepną scenę, która rozgrywała się przed jej oczami. Oburzało ją, że nie może podejść do własnego ojca i choćby ucałować go na pożegnanie. Tak mocno zaciskała pięści, aż paznokcie wbiły się jej w

ciało. Wyraźnie słyszała słowa kapelana, odmawiającego kolejną modlitwę. Nawet nie czuła falowania tłumu, który raz po raz kołysał się gwałtownie, niczym wzburzone wody oceanu. Widziała, jak kat zarzucił pętlę. Przemknęło jej przez głowę, że powinna umrzeć wraz z ojcem. Drum stał przy niej nieruchomo, jak posąg wykuty z kamienia.

- Boże, nie pozwól mu okazać strachu - wyszeptła Cassandra, nie odrywając wzroku od ojca. - Spraw, żeby jak najkrócej cierpiał. I niech już będzie po wszystkim.

Nathaniel Wylde zdawał się nie słyszeć głosu kapelana, który znów wezwał go do spowiedzi. Z wolna ogarnął spojrzeniem tłum i chyba coś zobaczył, bo nagle zmrużył oczy i na czole pojawiła mu się pionowa zmarszczka. Potem uśmiechnął się powoli i z galanterią uniósł dłoń w uprzejmym, ale drwiącym pozdrowieniu.

Cassandra z ciekawością odwróciła głowę, żeby sprawdzić, na kogo patrzył. Zobaczyła mężczyznę stojącego samotnie kilka kroków od ciżby. Nieznajomy, ubrany w czarną pelerynę, miał kapelus z szerokim rondem mocno wciśnięty na oczy. Z daleka nie mogła rozpoznać jego twarzy. Wydawał się całkowitym przeciwieństwem Wylde'a. Otaczała go aura władzy, jakby był kimś więcej niż zwykłym widzem.

W pewnym momencie musiał wyczuć, że ktoś mu się przygląda, bo niespodziewanie zwrócił wzrok na Cassandrę. Ich spojrzenia spotkały się, zanim jednak dziewczyna zdołała zareagować, obcy odwrócił się i odszedł sprężystym krokiem. Popatrzyła za nim, lecz usłyszała nagle, że Drum z cichym świstem wciągnął powietrze. Spojrzała na szafot i... zobaczyła bezwładne ciało, kołyszące się na stryczku.

Ze zgrozą przymknęła oczy.

- Już po wszystkim - zwróciła się do Druma. - To najczarniejszy dzień w moim życiu. Chodźmy. Dość się napatrzyłam.

Z wolna odeszli brzegiem rzeki, oddalając się od podnieconego tłumu. Cassandra kroczyła sztywno niczym automat. Wciąż miała przed oczami ów przerażający widok.

- Odprowadzę cię do Chelsea - przerwał milczenie Drum.

- Nie.

Drum przystanął i spojrzał na nią z ukosa.

- Nie chcę, żeby Nat tu wisi, dopóki go nie zaleją fale - powiedziała Cassandra głosem drżącym z napięcia i złości. - Nie chcę, żeby został pomału zjedzony przez kraby i by na koniec jego kości zawisły w klatce nad rzeką w drodze do portu. Gdybym tylko mogła, to w czasie przyływu skoczyłabym do wody, podpłynęła do niego i odcięła stryczek.

Drum popatrzył na nią współczującym wzrokiem, a potem zerknął za siebie.

- Nic już nie można zrobić - westchnął.

- Można! - zaprotestowała Cassandra. - Jest przecież coś, co nam po sobie pozostawił. Mam na myśli „Delfina”.

- Okręt został zarekwirowany i czeka na swój los w górze rzeki - przypomniał jej Drum.

- Sami postanowimy, co z nim zrobić. Zdobądź go, Drum, a będzie twój. Nie chcesz być kapitanem? - zapytała, odwołując się do ambicji pirata. - Nat bez wątplenia pochwaliłby ten pomysł.

Drum popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe - mruknął.

- Niemożliwe?! - zawołała Cassandra. - Wiesz co, Drum? Chyba zawiodłam się na tobie. Od kiedy to uważasz coś za niemożliwe? Daj spokój. Tylko mi nie mów, że straciłeś chęć do przygód.

- Żebyś wiedziała, że straciłem - odparł Drum. -Wziąłem na dobre rozbrat z przygodami, gdy usłyszałem o schwytaniu Nata. A poza tym skąd zwerbować załogę? Już co najmniej połowa naszych dzielnych ludzi podzieliła los kapitana.

- Zapewne masz rację, ale w brudnych zaułkach Wapping i Rotherhithe na pewno znajdziesz dobrych żeglarzy, poszukujących pracy za odpowiednią płacę.

- Załadują trzy razy tyle, kiedy się dowiedzą, że zamierzamy wykraść statek Nata.

- Nie tylko statek, ale i zwłoki. Nie dopuszczę, żeby Nat wisił w Tilbury Point ku uciesze gawiedzi. Poszukaj kogoś, kto pod osłoną wysokiej fali zdoła dopłynąć do szubienicy. Potem niech złoży ciało w morzu. Do kroćset, sama bym to zrobiła, gdybym była mężczyzną - dodała. W jej oczach migotały niebezpieczne błyski. - Zemściłabym się na mordercach!

Drum obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

- Jesteś odważna, ale popędliwa - rzekł. - Wykapany Nat.

Z namysłem przesunął ręką po czole. Niełatwo będzie sprzątnąć zwłoki sprzed nosa wartowników, a ze statkiem będzie jeszcze trudniej. Nie zamierzał jednak przepuścić tej okazji. Poczuł, że po tygodniach bezczynności na nowo budzi się w nim chęć działania. Wiedział już, co powinien zrobić.

- Znam paru takich, którzy na pewno nie zapomnieli Nata.

Cassandra pochwyliła znajomą nutę w jego głosie i serce zabiło jej szybszym rytmem.

- Pomożesz mi?

- Tak, chociaż jestem skończonym głupcem, że na to się zgadzam. Miejmy tylko nadzieję, że zrzędzeniem losu noc będzie równie pochmurna jak rano. Księżyc tylko by nam przeszkadzał.

- Wszystko się uda - zapewniła z przekonaniem. -Och, Drum, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ci zazdroszczę! Bywają chwile, gdy mam serdecznie dość gnuśnego życia w Chelsea.

Tęsknię za morzem i wolnością. A tak przy okazji, jestem ci naprawdę wdzięczna, że nie zważając na niebezpieczeństwa, pojawiłeś się w Londynie z wieścią, co spotkało Nata.

Nie wiedziała, co ją czeka po śmierci ojca. W mieście miała zaledwie kilkoro przyjaciół i żadnej bliższej rodziny. Kuzynka Meredith kilka tygodni temu wyjechała na wieś, do babki ze strony ojca. Kuzyn John też był daleko. Zaraz, zaraz, przecież John wybrał się na Karaiby.

- Zabierz mnie z sobą - zażądała.

Drum popatrzył na nią w tak, jakby miał do czynienia z kimś niespełna rozumu. Zaciśnął usta w wąską linię.

- Nie ma mowy! To absurdalny pomysł! - zawołał podniesionym głosem, lecz po chwili się zmitygował. - Chcesz wejść na okręt piratów? - zapytał ciszej. - Wybij to sobie z głowy.

Cassandra uśmiechnęła się i poślą mu błagalne spojrzenie. Jej ojciec zawsze dawał się na to nabrać.

- Nie patrz tak - burknął Drum, nadrabiając miną. - Nie jestem twoim ojcem i nie owiniesz mnie tak łatwo wokół małego palca.

- Proszę cię. Przecież wiesz, że nic mnie tu już nie trzyma. Zawsze obiecywałam sobie, że wyjadę z Anglii przy pierwszej sposobności. Po ostatniej wizycie Nata niektórzy z sąsiadów zaczęli się domyślać, kim jestem. Stali się dla mnie niemili. Wołają za mną: „Bękart!”, „Córka pirata!” albo jeszcze gorzej. -W jej głosie zabrzmiała niekłamana gorycz. - Jak ja ich nienawidzę! Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, ile w życiu zawdzięczam Johnowi i Meredith.

Drum już otwierał usta, żeby ją pocieszyć, ale w porę ugryzł się w język. Cassandra nie czekała na słowa współczucia. Nie użała się nad sobą. Gniew zabarwił jej policzki na różowo, a w

oczach migotały groźne błyski. Tak. Piękna dziewczyna obdarzona była niespokojnym i buntowniczym duchem. Rwała się na wolność.

- Nat byłby na mnie zły, gdybym naraził cię na niebezpieczeństwo - powiedział. - Wolałby, żebyś pozostała pod opieką Johna.

- Opieką?! - wykrzyknęła. - Dlaczego nie powiesz raczej „dominacją”? Z całego serca kocham Johna i Meredith, ale nie chcę tego, co dla mnie szykują. Nie spędzę życia z obcym człowiekiem, którego każą mi poślubić „dla mojego dobra”. Tu mnie nie czeka nic prócz nieustannej nudy. Naprawdę tego nie rozumiesz?

Marzyła, że zostanie żoną przystojnego awanturника - takiego, jakim za młodu był kapitan Nathaniel Wylde.

Drum popatrzył na nią spod oka.

- Myślisz, że życie marynarza składa się z samych przyjemności? - spytał. - Cóż... Znając Nata, mogę się domyślić, że opowiadał ci niestworzone rzeczy.

Miał rację. Wylde potrafił godzinami snuć barwne morskie opowieści. Cassandra słuchała go urzeczona, lecz miała na tyle trzeźwy umysł, że była w stanie odróżnić fikcję od prawdy. Dobrze zdawała sobie sprawę, że „bohaterowie” z opowiadań ojca są w istocie wyrzutkami, stojącymi poza prawem.

- Nat był kowalem własnego losu - ciągnął Drum. - Pod tym względem chyba go przypominam. Nigdy nie stroniliśmy od ryzyka i dążyliśmy do wyznaczonego celu. Nat kochał walkę. W czasie bitwy był w swoim żywiole. O tobie myślał z troską, której zapewne nikt by się nie spodziewał po piracie. Ja zaś znałem go zbyt dobrze, żeby uznać to za słabość. Bywało, że nie bacząc na nic, porzucał okręt i przybywał tutaj, żeby cię zobaczyć. Kilka razy niewiele brakowało, a przypłaciłby to życiem. Wyznam ci szczerze: kochałem go jak brata, lecz to nie zmienia faktu, że był piratem i w zupełności zasługiwał na swą reputację.

Cassandra zbladła. Widząc to, Drum postanowił kuć żelazo, póki gorące. Chciał, żeby zobaczyła Nathaniela Wylde'a takim, jaki był naprawdę, odartego z romantycznej aury i bez sentymentów.

- W twoich oczach Nat był człowiekiem pozbawionym wad i wszelkich przywar. Uważałaś go niemal za świętego. Prawda jest taka, że stał bliżej piekła niż nieba. To nie tajemnica. Chyba nie wierzysz, że nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził?

- Był moim ojcem... i wciąż go kocham - broniła się Cassandra.

- Kochasz złudzenie, które stworzyłaś przez minione lata. Byłaś naiwna, czysta i niewinna.

- Tak, wiem - przerwała mu, z trudem panując nad wzburzeniem. - Oprócz tego ślepa, głupia i ławtowierna. Nie wmówisz mi, że moja matka pokochała zatwardziałego łotra. Nat był dla mnie królem władającym bezmiarem oceanów. Zawsze wierzyłam, że pewnego dnia wkroczę do jego królestwa.

- Miłość naprawdę bywa ślepa. Niewiele wiesz o ojcu.

- Chciałabym przynajmniej w części dzielić jego przeżycia.

- Ryzykując niewolę albo wyrok śmierci?

- Tak. Proszę cię, Drum, weź mnie z sobą. Nie boję się, co ze mną będzie. Nie dbam o to, czy umrę dzisiaj, za miesiąc, czy za pół roku.

- Właśnie dlatego chcę, żebyś została.

- Kuzyn John popłynął w swoich sprawach na Wyspy Karaibskie. Meredith jest teraz w Kent u swojej babki i nie zamierza stamtąd szybko wrócić. Zostawię jej list z wyjaśnieniem, dlaczego wyjechałam. Będzie zła, ale zanim przyjedzie do Chelsea, my zdołamy pokonać pół Atlantyku. -

Cassandra nie martwiła się już o kuzynkę. Plan, który zrodził się pod wpływem chwili, nabierał coraz realniejszych kształtów.

- Wszystko już sobie obmyślaś, co?

Drum skrzywił się. Na ten widok Cassandra straciła cierpliwość.

- Nie jestem głupią gęsią, która rozplacze się, gdy zostanie sama wśród żeglarzy! - zawołała. - Wiem, że nie zaznam od nich krzywdy choćby dlatego, że tak bardzo szanowali Nata.

- Tu się nie mylisz - odrzekł Drum. - Martwi mnie jednak, czy podołasz...

- Bez wątpienia - wpadła mu w słowo. Miała ochotę chwycić Druma za ramiona i potrząsnąć nim z całej siły. - Mogę popłynąć w ślad za Johnem na Barbados. Zabawi tam co najmniej rok. Och, Drum. - Westchnęła, widząc, że nie pozbył się resztek wątpliwości. - Zrozum, że chcę wreszcie stanąć na pokładzie „Delfina”, poczuć wiatr we włosach i zapach morza. Chcę wiedzieć, jak to było, kiedy żeglowałaś z Natem. Tylko ty możesz teraz spełnić moje marzenie.

- Nie każdy znosi ciągłe kołtysanie. Ludzie chorują. - Drum nie pochwalał uporu Cassandry, lecz w głębi serca podziwiał jej odwagę. Starał się jednak tego nie okazać.

Ochłonęła nieco i spokojnie popatrzyła na groźną, pobrużdżoną twarz pirata.

- Dam sobie radę - powiedziała twardo. - Kiedy dołyniemy na Barbados, będziesz mógł zatrzymać „Delfina” na własność.

Drum mimo woli błysnął oczami i uśmiechnął się krzywo.

- Dałbym tysiąc hiszpańskich dublonów, żeby zobaczyć minę, jaką zrobi kuzynek na twój widok.

Cassandra w lot wyczuła jego wahanie.

- Zabierzesz mnie? - spytała prędko. Drum wybuchnął śmiechem.

- Masz dar przekonywania. Chociaż w dalszym ciągu to mi się nie podoba. Nie lubię kobiet na pokładzie. Nawet jeżeli zdołam wykraść „Delfina”, to z tobą będzie dodatkowy kłopot. Ktoś przecież musi cię ochraniać, a ja nie lubię występować w roli błędnego rycerza. Może jednak z bożą pomocą trafimy na dobrą pogodę i w miarę szybko oddam cię w ręce Johna.

Poszli dalej. Drum wyraźnie palił się do działania. Cassandra zaraziła go swoim entuzjazmem.

Tak, pomyślał, nieodrodna córka Nata. Wysoka, zgrabna i smukła. Do tego piękna, o świetlistych oczach, promieniejących energią i radością życia. A jednocześnie twarda i uparta. Inteligentna, dumna i odważna - zupełnie jak jej ojciec.

- Jest jeszcze coś, o czym musimy szczerze porozmawiać. Przez minione lata Nat zgromadził skarb, który ukrył w bezpiecznym miejscu. Nikt poza mną i paroma ludźmi z załogi nie wie, gdzie go szukać. Co z nim zrobić?

- Co tylko zechcesz. Niepotrzebne mi skarby. Możesz je zwrócić władzom albo zatopić na dnie morza. Nic mnie to nie obchodzi. To bogactwo zostało zdobyte siłą i wbrew prawu. Pod tym względem nigdy nie pochwalałam postępowania ojca. Wręcz przeciwnie, błagałam Boga, żeby się kiedyś zmienił.

- Podjął decyzję w dniu, w którym zdobył „Delfina”.

- To akurat wiem. Był złoczyńcą - zdecydowanym i odważnym - ale złoczyńcą. Wprawdzie miał swój urok, który mu przysparzał dodatkowej sławy, ale uczynił wiele złego i to go stawia w jednym rzędzie z piratami wszystkich czasów.

- To prawda. - Drum westchnął. - Rzeczywiście. Łzy napłynęły do oczu Cassandry. Szybko zatrzepotała powiekami.

- Mimo to byłam z niego dumna - szepnęła - i zawsze go kochałam. Nigdy mnie nie skrzywdził. Miałam trzynaście lat, gdy zmarła moja ciotka i Nat po raz pierwszy przyjechał mnie zobaczyć.

Spędziłam z nim najszcześniejsze chwile w życiu. Ciotka Miriam nie była dla mnie dobra. Nigdy nie pozwoliła mi zapomnieć o moim pochodzeniu. Wciąż słyszałam, że jestem nieślubną córką jej zmarłej siostry, bękartem. Jej polecenia wypełniałam tylko z poczucia obowiązku. Jednak od czasu, gdy poznałam Nata, wszystko się zmieniło. Przy nim dowiedziałam się, co to miłość. Chodźmy! - dodała nagle rażno i przyspieszyła kroku.

Tłum stojący dotąd pod szubienicą też z wolna zaczął się rozchodzić.

- Co z załogą? - zapytała Cassandra. - Najpierw muszę wrócić do Chelsea, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i wydać polecenia służbie. Ty też masz sporo do roboty.

Drum jeszcze chciał zaprotestować i poradzić jej, żeby jednak została w Chelsea, ale po namyśle dał spokój. Wiedział, że zdoła znaleźć odpowiednich ludzi, którzy pomogą mu wykraść „Delfina” i wyprowadzić go na pełne morze. Oczywiście nie zrobią tego za darmo. Zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się przekonać Cassandry, by została w Anglii. Dalsza rozmowa na ten temat nie miała większego sensu.

Tylko jeden człowiek na świecie mógł poskromić Cassandrę Everson. Niestety, nie było go już wśród żywych. Wisiał teraz na szubienicy, na brzegu Tamizy.

Kapitan sir Stuart Marston odszedł z miejsca kaźni z ulgą, że to się skończyło. Znienawidzony wróg, którego ścigał od dłuższego czasu, wreszcie poniósł w pełni zasłużoną karę i zawisł na stryczku.

Nathaniel Wylde nie skorzystał z amnestii ogłoszonej w Anglii po powrocie na tron Karola II. Nie oddał się w ręce władz i dalej łupił kupieckie statki żeglujące do Indii Zachodnich. Gwoli prawdy, z początku, niechętny wobec Cromwella, ograniczał się tylko do okrętów rządowych. Później jednak na dobre zasmakował w piractwie i w poszukiwaniu dużo bogatszej zdobyczy napadał na wszystkich, bez względu na banderę, pod jaką pływali.

Niemal rok temu starszy brat Stuarta udał się w długi rejs na Jamajkę, w odwiedziny do stryja, który był jednym z najbogatszych plantatorów na wyspie. Wielki statek handlowy zabłądził w gęstej mgle, oderwał się od konwoju i nieoczekiwanie został zaatakowany przez dwa okręty piratów, szybkie jednomasztowce o łącznej sile ognia czterdziestu armat.

Mało kto przeżył huraganowy ostrzał. Ocaleni opowiadali potem, że dowódcą piratów był Nathaniel Wylde. Kazał wynieść z ładowni to co cenniejsze, a tonący statek wraz z garstką rozbitków pozostawił na pastwę losu i odpłynął. Wieść o tych okropnych wydarzeniach wywołała oburzenie w admiralicji i w całej Anglii. Kapitan Stuart Marston postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Uzyskał od władz odpowiedni patent i wyruszył na morze, żeby szukać zabójcy brata.

Patent głosił, że kapitan Stuart Marston, dowodzący okrętem „Jastrząb Morski”, płynie po to, aby aresztować i przywieźć do Londynu osławionego pirata Nathaniela Wylde'a. Było to czymś niezwykle, bo takie dokumenty wydawano dotychczas wyłącznie kapitanom okrętów marynarki królewskiej. Anglia potrzebowała teraz całej swojej floty do walki z Holendrami, więc ochoczo przyjęła petycję Marstona.

Stuart wykurzył Wylde'a z bezpiecznej kryjówki w Zatoce Meksykańskiej i ścigał go przez Atlantyk aż do brzegów Afryki, gdzie o wiele trudniej było znaleźć cichą i spokojną przystań niż na Karaibach.

Wylde bronił się zaciekle, lecz w końcu musiał ulec. Stuart zdobył „Delfina” i schwytał pirata wraz z połową załogi. Nathaniel Wylde w kajdanach pożeglował do Anglii i wreszcie poniósł śmierć na szubienicy.

Sir Stuart Marston opuszczał brzeg Tamizy z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Pomścił brata i uwolnił morza od groźnego rabusia. Powoli odszedł w stronę tej części nadbrzeża, którą dzierżyła kompania kupiecka i gdzie stał przycumowany „Jastrząb Morski”.

Stuart już tylko raz miał popłynąć do Indii Zachodnich, żeby wypełnić zobowiązania wobec kompanii. Potem zamierzał osiąść na stałe w przytulnym Charnwood w hrabstwie Kent, w posiadłości od niepamiętnych lat zamieszkiwanej przez jego rodzinę. Tam też chciał, zgodnie z wolą matki, sprowadzić przyszłą żonę i splotzić dziedzica.

Pogrążony w myślach, bezwiednie popatrzył na smukłą dziewczynę, która z dość daleka z napięciem obserwowała egzekucję Wylde'a. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Dziewczyna nie umknęła wzrokiem. Zdaniem Stuarta to wyraźnie świadczyło o jej sile charakteru.

Widział tylko jej oczy i pukle jasnych włosów. Reszta była ukryta pod płaszczem i kapturem. Stuart wpatrywał się w nią jak urzeczony. Stała się dla niego promykiem nadziei w mrocznych dniach, które nastąpiły od czasu, kiedy po raz pierwszy usłyszał nazwisko „Wylde”. To zabawne, pomyślał, ale dzisiejszego deszczowego ranka widać w ponurym tłumie tylko dwie jasne plamy - loki tej dziewczyny i włosy skazańca.

Nagle uświadomił sobie, że owa nieznajoma może być córką Nathaniela Wylde'a! W pierwszej chwili uznał, że nie chciałaby widzieć, jak wieszają ojca. Pamiętał jednak opowieści zasłyszane od żeglarzy zarzekających się, że kapitan Wylde miał urodziwą i bystrą jedynaczkę, wychowywaną u dalekich krewnych właśnie tutaj, w Londynie. Może zatem to była ona? Zerkał na nią kątem oka. Zobaczył, że po egzekucji pospiesznie odciągnęła na bok swojego towarzysza i oddaliła się od tłumu. Nadal skrywała twarz, co budziło uzasadnione podejrzenia, że nie chciała, aby ktoś ją spostrzegł. Zatem rzeczywiście mogła być córką Wylde'a.

Powiniem zawrócić, wezwać wartowników i polecić im schwytać tego łotra, który tu z nią przyszedł, pomyślał Stuart. To na pewno jeden z dawnych kamratów Wylde'a. Jednak nie zrobił tego. Zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć do portu, na statek. Marzył o odpoczynku. Chciał zaszyć się samotnie w wygodnej kajucie, zjeść coś i przepłukać gardło łykiem przedniego wina. Nazajutrz rano Stuart poczuł wyrzuty sumienia, że okazał słabość i nie wezwał straży. Bosman powiadomił go, że minionej nocy „Delfin” podniósł kotwicę, wyszedł z portu i zniknął w mroku. Ponoć widziano na pokładzie dziewczynę. Miała złociste włosy sięgające niemal do pasa. Odziana po męsku, stała dumnie na dziobie, wpatrując się w horyzont.

Nieco później, w czasie odpływu, wyszło jeszcze na jaw, że ktoś odciął ze stryczka ciało Nathaniela Wylde'a.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ciężki sztorm u wybrzeży Ameryki Południowej mocno nadwerżył drewniany kadłub „Delfina” i zmusił żeglarzy do szukania lądu. Najbliżej była wyspa Trinidad. Niespodziewana zwłoka zmartwiła Cassandrę, która chciała jak najszybciej dostać się na Barbados, pod opiekę kuzyna, sir Johna Eversona.

Wkrótce nastąpiła chwila pożegnania Nathaniela Wylde'a z załogą okrętu. Morski pogrzeb na zawsze zapadł w pamięć Cassandry. Przez łyż patrzyła, jak ciało ojca znika w szarych falach oceanu.

- Żegnaj, tato - szepnęła i zdawało jej się, że wiatr szumiący w wantach odpowiedział: „Zegnaj”.

Teraz bez żalu myślała o rozstaniu z okrętem i ludźmi, z którymi ją łączyło tak wiele smutnych wspomnień. Wykupiła przejazd na dużym angielskim statku handlowym o nazwie „Inicjatywa”, płynącym na Barbados i Antiguę. Ten sam sztorm, który uszkodził „Delfina”, sprawił, że „Inicjatywa” zgubiła konwój i jej dowódca, kapitan Tillotson, kazał wziąć kurs na Trinidad dla uzupełnienia zapasów świeżej wody.

Drum nie chciał, żeby Cassandra była jedyną kobietą na pokładzie „Delfina”. Zabrał więc w rejs osiemnastoletnią córkę Rosę. Dziewczyna była cichym, łagodnym stworzeniem o ciemnych oczach i południowej urodzie. Bardzo przypominała swoją portugalską matkę. Wsiadła na okręt podczas krótkiego postoju na Wyspach Zielonego Przylądka.

„Delfin” nie zamierzał długo pozostawać na Trinidadzie. To byłoby zbyt niebezpieczne. Drum skierował przeciekający okręt na sąsiednie wyspy, o których od lat mówiono, że są siedliskiem piratów. Tam chciał dokonać niezbędnych napraw i wziąć prowiant.

Wbrew jego wcześniejszym obawom załoga „Delfina” bez protestów przyjęła obecność Cassandry. Żeglarze od pierwszego wejrzenia pokochali bystrą i śmiałą córkę Nathanela Wylda'a. Teraz niejeden z nich ukradkiem ronił łzę, że przyszło im się rozstać przed zakończeniem rejsu.

Drum nie mniej kochał swoją córkę, więc w chwili pożegnania wziął ją w ramiona i przygarnął do siebie. Rosa oparła mu głowę na piersi. Ojciec poklepał ją po plecach.

- Bądź grzeczna i bez szemrania spełniaj wszystkie rozkazy Cassandry - polecił z udawaną szorstkością.

Zapewniła go o swym posłuszeństwie. Potem wspięła się na palce i ucałowała w policzek przecięty blizną. Drum z wyraźnym trudem odwrócił od niej głowę i spojrzał na Cassandrę.

- Nie martw się o nią - powiedziała, wzruszona tym widokiem. Nie spodziewała się, że pirat ma w sobie tyle rodzicielskich uczuć. - Kapitan Tillotson przyrzekł nam pomoc i opiekę, dopóki bezpiecznie nie zawiniemy do portu na Barbadosie. U Johna też jej będzie dobrze, a ja postaram się, żeby jak najszybciej wróciła na Wyspy Zielonego Przylądka. Dokąd popłyniesz, gdy już skończysz naprawę „Delfina”?

- A kto to wie? - odparł Irlandczyk z buńczucznym uśmiechem. - Pożeglujemy z wiatrem w stronę horyzontu.

Kapitan Tillotson zapewne zachodził w głowę, co robią dwie młode panny tak daleko od ojczystych brzegów, był jednak dżentelmenem, więc o nic nie pytał. Gwoli prawdy, o wiele większe podejrzenia budzili w nim żeglarze z „Delfina”, choć musiał przyznać, że ich dowódca, mimo strasznej twarzy, z niezwykłą troską i kurtuazją odnosił się do pasażerek. Z czystym sumieniem mógł mu obiecać, że je dowiezie na Barbados.

Pewnego kwietniowego ranka, niemal pięć miesięcy po ucieczce z Anglii, Cassandra zobaczyła koralowe rafy okalające Barbados. Ten widok sprawił, że poczuła się dużo bezpieczniej. Wyspa, podobna kształtem do kropli, leżała mniej więcej sto mil morskich na wschód od archipelagu Karaibów. Tu, dzięki korzystnym prądom i północno-wschodnim wiatrom, przecinały się szlaki morskie wiodące z Europy ku brzegom Ameryki. Wyspa wyłoniła się zza widnokregu spowita w złocistą mgłę niczym miraż - urzekająca, tajemnicza i obdarzona niemal hipnotyczną siłą. Im była bliżej, tym więcej przeróżnych zapachów wraz z wiatrem docierało do Cassandry.

Żaglowiec rzucił kotwicę w spokojnej zatoce opodal Bridgetown. Na migoczących falach kołysały się dziesiątki łodzi rybackich i barek, zakotwiczyło też kilka wielkich statków kupieckich. Na

wyspie istniały olbrzymie plantacje trzciny cukrowej, zaś Bridgetown w krótkim czasie z małej przystani zmieniło się w ruchliwy ośrodek handlowy.

Cassandra była oszołomiona feerią barw i gwarem. W srebrzystym blasku upalnego karaibskiego słońca zobaczyła długie rzędy kupieckich składów, zbudowanych tuż nad brzegiem morza. Wszędzie panował zgiełk i chaos. Niezliczona rzesza półnagich niewolników uwijała się wśród łodzi, wozów i towarów. Ciężkie barki nieustannie kursowały między statkami a nadbrzeżem. Przewoziły po dwadzieścia lub trzydzieści ton, więc czasem się zdarzało, że ładunek lub pasażerowie ulegli zamoczeniu.

Rozedrgane powietrze sprawiało, że postacie ludzi stojących na brzegu wydawały się zamazane. Rosa zajęła miejsce w wypełnionej po brzegi barce, która popłynęła w stronę lądu. Cassandra musiała chwilę poczekać na następną. W połowie drogi krypa zaczęła się chybotać na martwej fali. Ładunek niebezpiecznie przesunął się na jedną burtę. Łada chwila mógł się wyrzucić. Stuart Marston stał na pomoście, nadzorując rozładunek „Jastrzębia Morskiego”. Do magazynów trafiały właśnie wielce poszukiwane narzędzia i grube bele rozmaitych tkanin. Stuart na moment odwrócił głowę i przypadkowo spostrzegł dziewczynę płynącą na rozkołysanej barce. Nieznajoma miała na głowie olbrzymi kapelusz z białym piórem i była ubrana w elegancką suknię, bardziej pasującą na dwór króla Karola niż do zatłoczonego portu na tropikalnej wyspie.

Była piękna. Stuart nie potrafił oderwać od niej oczu. Zdawało mu się, że otacza ją srebrzysta mgiełka, coś na kształt świetlistej poświaty, promieniującej od świętych. Z lubością musnął wzrokiem jej ponętne kształty i nagle zmarszczył brwi. Łódź kołysała się coraz mocniej. Stuart w lot pojął, co się dzieje, i bez namysłu zeskoczył z pomostu w płytką wodę. Brodząc, szybkim krokiem skierował się w stronę barki.

Cassandra mimo woli wydała zdławiony okrzyk, kiedy silne ręce uniosły ją i przytrzymały. Barka wyrzuciła się do góry dnem. Zapanowało zamieszanie. Cassandra szarpnęła się, próbując wyzwolić się z rąk człowieka, który postąpił z nią tak bezceremonialnie.

- Przestań! - usłyszała nad uchem krótki rozkaz wypowiedziany głębokim męskim barytonem. Nieznajomy przytrzymał ją jeszcze mocniej. - Jak się będziesz wiercić, to za chwilę oboje wylądujemy w wodzie.

Cassandra oburzyła się, lecz posłuchała polecenia. Widząc urodziwą twarz wybawiciela i błysk humoru w jego ciemnych oczach, uspokoiła się i objęła go za szyję. Zauważyła kropelkę potu, srebrzącą się niczym maleńka perła na jego opalonym czole. Po plecach przebiegł jej dreszcz podniecenia. Nawet w najśmielszych snach nie marzyła, że już pierwszego dnia pobytu na Barbadosie spotka ją taka przygoda.

- Z pańskiego zachowania wnoszę, że widział pan, co się dzieje z łodzią - powiedziała - i pospieszył mi pan na ratunek. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszej wdzięczności. - Wciągnęła w nozdrza delikatny zapach bijący od nieznajomego. - Zapewniam pana jednak, że potrafię pływać, a poza tym jest tutaj za płytko, żeby utonąć.

- W takim razie cieszę się, że o tym nie wiedziałem, gdyż nie miałbym tej przyjemności, aby przenieść panią na brzeg wyspy. Mam nadzieję, że nie chcesz, pani, żebym rzucił cię do wody - odparł z przesadną galanterią. Na jego twarzy zagościł lekko drwiący uśmiech. - Często się zdarza, że rekiny wpływają na płycznę, szukając łatwego łupu.

- Nie mam zatem innego wyjścia, jak pozostać w twych ramionach, panie - tym samym tonem odrzekła Cassandra. - Nie chcę być żerem dla rekinów, więc będę wdzięczna, jeśli bezpiecznie doniesiesz mnie do brzegu.

Mówiła na pozór zupełnie obojętnie, lecz była pod urokiem przystojnego nieznajomego. Obserwowała go spod oka. Zauważyła lekko wysuniętą szczękę, znamionującą siłę charakteru, i pełne usta, wyraźnie skore do uśmiechu. Dostrzegła także bliznę na policzku tak małą, że nie szpeciła. Ciemne oczy lśniły inteligencją.

Ma najwyżej trzydzieści lat, uznała Cassandra. Na pewno nie więcej. W dodatku jest pewny siebie do granic arogancji, jakby uważał, że kobiety nie mogą mu się oprzeć. Czarne, gęste i błyszczące włosy opadały mu na czoło. Opalona twarz zdradzała, że większość życia spędzał na świeżym powietrzu, w promieniach równikowego słońca.

Chyba wyczuł, że jest obserwowany, bo nagle pochylił głowę i przenikliwie spojrzął na Cassandrę. Popatrzyli sobie prosto w oczy. Chwilę później Stuart uśmiechnął się, jakby z aprobatą. Cassandra poczuła, że rumieniec wypełza jej na policzki. Wzięła głębszy oddech i umknęła wzrokiem, zdając sobie sprawę, że jej zachowanie wykraczało poza przyjęte normy przyzwoitości. Stuart od razu zauważył jej zakłopotanie i uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując mocne białe zęby.

- Speszyłem panią? - zapytał cicho.

- Ależ skądże - odpowiedziała, niezupełnie zgodnie z prawdą. Do tej pory niewiele miała do czynienia z mężczyznami i nie wiedziała, jak się zachować.

- Jeżeli jednak tak, to pokornie przepraszam. Jesteś, pani, niezwykle piękna - wybac mi śmiałość - a ja zbyt długo krążyłem po morzach z dala od urodziwych kobiet. Z przejęcia zapomniałem o dobrych manierach - wyznał ściszym głosem.

Wciąż na nią patrzył. Doszedł do wniosku, że nigdy dotąd nie widział tak pięknych oczu. Były niebieskie - barwy czystego nieba - z czarnymi jak węgiel źrenicami. Urzekające i niebezpieczne. Nieznajoma była lekka jak piórko. Pomimo sukni i koronek wyraźnie czuł jej powabne kształty. Pachniała świeżą wonią jaśminu, a jej skóra miała złocisty odcień. To ciekawe, pomyślał Stuart. Damy z jego sfery na ogół unikały słońca.

Ta dziewczyna była jednak inna. Wyczuwał w niej awanturniczego ducha, a więc na pewno żyła na bakier z etykietą i nie przywiązywała większej wagi do konwenansów. Nie miała w sobie nieśmiałości cechującej młode dziewczęta, które bywały w salonach jego matki. Spoglądała na świat trzeźwo i odważnie.

Na smukłej szyi nosiła aksamitną wstążkę z brylancikiem. I choć miała na sobie obfitą jedwabną suknię, zdawała się nie cierpieć z powodu upału. Nie przejmowała się tym, że obcy mężczyzna, ubrany jedynie w koszulę i w spodnie, trzyma ją w ramionach na oczach licznych dokerów i marynarzy. Ani razu nie spojrzała w stronę przewróconej łodzi i pływających obok niej skrzyń i bagaży.

- Zatem... jest pani Angielką - odezwał się Stuart po chwili milczenia. Wciąż patrzył na nią z ciekawością zmieszaną z podziwem.

- To pana zaskakuje?

- Zważywszy, że jesteśmy aż w Indiach Zachodnich, po drugiej stronie oceanu, to raczej tak, panno...

- Everson.

- Miło mi, panno Everson.

- Przyjechałam tu w odwiedziny do mojego kuzyna, sir Johna Eversona.
- Jest plantatorem?
- Nie. To dyrektor i jeden z udziałowców spółki handlowej z Londynu. Chodzi o Wyndham Company. Może pan słyszał o niej?
- Podejrzewam, że mało kto nie słyszał. Ich sukcesy budzą zrozumiałą zazdrość i podziw wśród innych kupców. Spółka znana jest na całym świecie, aż po Indie i Malaje.
- Być może. Nie wiem. John nie rozmawia ze mną o tych sprawach. Wpadłam na pomysł, żeby go odwiedzić, bo jeszcze nigdy w życiu nie byłam w Indiach Zachodnich. Jeśli mi się spodoba, na przykład, na Barbadosie, to zostanę tutaj dłużej - powiedziała tak swobodnym tonem, jakby rozmawiali o zwykłej wycieczce z Londynu na prowincję, a nie o długim rejsie przez ocean.
- Mieszka pani w Londynie?
- Mniej więcej. W Chelsea.
- Zatem musiała pani zauważyć, że tutejszy klimat i mieszkańcy w niczym nie przypominają Chelsea.

Cassandra powiodła wzrokiem po piaszczystym brzegu. Zobaczyła kolorowy tłum białych, śniadych i czarnych jak heban ludzi. Czarni byli niewolnikami, mieli własną kulturę i mówili zupełnie niezrozumiałym językiem. Przywieziono ich tu z Afryki, do pracy na plantacjach trzciny cukrowej.

Na wyspie rządziło tylko jedno prawo - prawo białego plantatora. John tłumaczył podopiecznej, że plantacje praktycznie nie istniałyby bez niewolników. Była to smutna prawda, lecz Cassandra nie pochwałała tego stanu rzeczy i cieszyła ją, że statki Wyndham Company nie wychodzą w rejs „po trójkącie”.

Taki rejs zaczynał się w jednym z portów Europy. Statek wyładowany towarami płynął do Afryki. Tam cały ładunek sprzedawano lub wymieniano na niewolników. Druga część trasy - zwana „środkową” - wiodła z Afryki przez ocean na Karaiby. Murzyni trafiali na targ niewolników albo od razu na plantację, a statek zabierał ładunek cukru, kakao i innych miejscowych specjałów. Potem wyruszał w rejs powrotny do Europy.

Cassandra przeczuwała, że w najbliższym czasie pozna najciemniejsze strony niewolnictwa, teraz jednak, w słonecznym blasku, wyspa wydawała jej się prawdziwym rajem. Spojrzała na błękitne niebo i białe grzywy fal i zrozumiała, że chce tu zostać. W nozdrza uderzyła ją egzotyczna, nieznana dotąd woń tropików. Nie potrafiła jej rozpoznać, ale mimo to wiedziała, że tak pachną tylko Karaiby. Krew pulsowała jej szybciej w żyłach.

- Już mi się tu podoba - powiedziała cicho i ułożyła się wygodniej w ramionach nieznajomego. Stuart tymczasem niezmordowanie brnął przez płyciznę. Zachowanie Cassandry sprawiło, że odruchowo przytulił ją mocniej do siebie. Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach czaiło się nieme pytanie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle zmieniła zamiar. Zastanawiała się przez chwilę.

- A co pan robi na Barbadosie? - spytała wreszcie. - Co pana tu sprowadziło?

- Mój statek, „Jastrząb Morski”, został wynajęty przez kompanię handlową Wheatley and Roe z Londynu. Co prawda, nie jest to tak znana spółka jak Wyndham, ale też nie narzeka na brak klientów. Ja zaś nazywam Marston. Kapitan Stuart Marston, do pani usług.

Doszli do brzegu, ale Stuart ciągle jej nie wypuszczał z objęć. Co ciekawe, Cassandrze w ogóle to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, bliska obecność kapitana sprawiała jej dużą przyjemność. W pewnym momencie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jesteśmy już na wyspie, kapitanie Marston. Może mnie pan postawić. Zna pan mojego kuzyna? Stuart z ociąganiem spełnił jej prośbę i ostrożnie postawił ją na ziemi.

- Nie. Chyba nie. Przyłynęłam dopiero wczoraj.

- Domyślam się, że to nie jest pierwszy pański pobyt w Indiach Zachodnich - odparła, wyglądając spódnicę. Suknia była gdzieś mokra, ale Cassandra się tym nie przejęła. W tropikalnym słońcu wszystko wysychało w ciągu paru minut.

- Owszem, w ostatnich latach odbyłem kilka rejsów na Karaiby i do Ameryki.

- Nie wątpię zatem, że przeżył pan wiele ekscytujących przygód - powiedziała znaczącym tonem.

- Szkoda, że nie mam czasu posłuchać pańskich opowieści. Uwielbiam takie historie.

Opaloną twarz Stuarta rozjaśnił uśmiech.

- Bierze mnie pani za samochwałę, panno Everson?

Przecząco pokręciła głową.

- Nigdy bym się nie odważyła, kapitanie Marston. Wiem natomiast, że zna pan tutejszą okolicę, więc niech pan powie zupełnie szczerze: co myśleć o Barbadosie? Naprawdę lubi pan tę wyspę? Mój kuzyn twierdzi, że o pewnych rzeczach należy mówić tylko na podstawie własnego doświadczenia. Pan z tym się zgadza?

- Oczywiście. Pani kuzyn ma całkowitą rację. Ze swej strony mogę panią zapewnić, że Wyspy Karaibskie są czymś wyjątkowym. Mało tego, otacza je pewna - jak by tu powiedzieć? - tajemnicza aura, która przyciąga niespokojne duchy z całego świata. - Zmrużył oczy i spojrzał na stojącą w zatoce „Inicjatywę”. - Widzę, że przyłynęła pani na „Inicjatywie”, którą dowodzi mój dobry przyjaciel, Samuel Tillotson. Rad jestem, że chociaż oderwał się od konwoju, to jednak udało mu się szczęśliwie dopłynąć na Barbados. Przecież tutejsze wody aż roją się od piratów i wiele statków z bogatym ładunkiem padło łupem tych krwiożerczych łotrów. Wyżynano wszystkich, którzy znajdowali się na pokładzie.

Stuart wyrzucał z siebie słowa z niekłamną pasją, lecz oprócz tego w jego głosie słychać było głęboką gorycz. Nie umknęło to uwagi Cassandry. Pochyliła głowę, nieco zbita z tropu, i odruchowo pomyślała o ojcu i Drumie.

- Tak - odpowiedziała. - Los nam sprzyjał.

- Płynęła pani sama?

- Ależ nie! - odparła i cofnęła się o pół kroku, jakby nagle speszona jego obecnością. Stuart był wysoki, musiał mieć powyżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Ubrany był w luźną białą koszulę, w dodatku rozpiętą z przodu i ukazującą umięśnione ciało. Szeroki skórzany pas opinał smukłe biodra, a pod czarnymi obcisłymi spodniami rysowały się muskularne uda. Spodnie miał zawinięte nad kolana i mokre stopy powalane piaskiem. W podobny sposób ubierała się część załogi „Delfina”, ale to nigdy nie wywierało wrażenia na Cassandrze.

Tymczasem teraz...

- Mam... towarzyszkę... - wyjąkała.

- Dame? - z powątpiewaniem spytał Stuart.

- Oczywiście - roześmiała się Cassandra. - Przecież nie wybrałabym się sama jedna w podróż przez pół świata. To nie do pomyślenia. - Nie chciała przyznać, że swobodniej czuła się na pokładzie pirackiego statku niż wśród londyńskiej socjety. Podejrzewała, że kapitan Marston uciekłby od niej, słysząc takie słowa.

- A pani kuzyn? Czeką na panią?

Cassandra przymknęła oczy i nagle spoważniała, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Wręcz przeciwnie - wyznała szczerze. - Nic nie mówiąc nikomu, porzuciłam zaciszny dom w Chelsea i wyruszyłam na poszukiwanie przygód. Bez wątpienia narażę się tym na słuszny gniew kuzyna Johna, który jest nie tylko moim krewnym, ale i opiekunem. Będzie zły, a ja w dodatku nic nie mam na swoją obronę.

- I spodziewa się pani kary. - Stuart popatrzył na nią uważnie. Usta drgnęły mu w uśmiechu, chociaż nie potrafił uwolnić się od nagłej myśli, że piękna młoda dama zapewne kocha się w kuzynie.

- Niestety, tak. Obawiam się, że John nie omieszka powiedzieć bez ogródek, co sądzi o moim postępkach. Otrzymam srogą burę. Potem jednak, kiedy gniew mu minie, ucieszy się, że przyjechałam.

Lekki wiatr poruszył piórem na jej kapeluszu. Cassandra odwróciła głowę, wystawiając twarz na chłodny powiew. W tym upale odrobina wiatru była prawdziwym błogosławieństwem.

Stuart nie mógł oderwać od niej oczu. Z minuty na minutę nabierał przekonania, że ma do czynienia z kimś wyjątkowym.

- Wniosek stąd, że jeszcze pani nie wie, czy zostanie dłużej na wyspie?

- Prawdę mówiąc, chciałabym pozostać tutaj tak długo, jak to możliwe. Podejrzewam jednak, że John w końcu zabierze mnie ze sobą na powrót do Anglii. Kiedy to będzie? Tego nie wiem i nie będę wiedzieć, póki się z nim nie zobaczę. A pan, kapitanie Marston? Jak długo pan zabawi na Barbadosie?

- Tylko czekam na wyładunek, a potem płynę na Jamajkę. Mam tam krewnych, których chcę odwiedzić, a przy okazji wezmę spory transport cukru. Spędzę na wyspach parę tygodni, lecz potem znowu tu wrócę, żeby przyłączyć się do konwoju płynącego do Europy.

Spojrzeni w stronę plaży. Załozce udało się już wyciągnąć na brzeg przewróconą łódkę i wyłović wszystkie bagaże. Rosa przyptynała wolno poruszającą się szalupą, w towarzystwie młodego kadeta, przydzielonego jej do eskorty przez kapitana Tillotsona.

Stuart przeniósł wzrok na Cassandrę.

- Niechętnie z panią się rozstaję, panno Everson. A może jednak odprowadzę panią do kuzyna?

- Dziękuję, jest pan bardzo uprzejmy, kapitanie Marston, ale kapitan Tillotson już nam przydzielił odpowiedniego przewodnika - wyjaśniła z wahaniem.

Młody kadet właśnie pomagał wysiąść Rosie z szalupy.

- Zatem wie pani, gdzie go szukać?

Stuart przysunął się bliżej do Cassandry. Czują się speszona tak bliską jego obecnością. Wydawał jej się jeszcze większy, bardziej władczy i silniejszy. Zdjęta nieśmiałością, nie umiała mu spojrzeć prosto w oczy.

- T... tak - wyjąkała. - Zatrzymał się na plantacji Courtly u sir Charlesa Courtly, w parafii Świętego Jerzego. Sir Charles to dawny przyjaciel Johna i zarazem jeden z największych akcjonariuszy Wyndham Company.

Stuart skinął głową. W dużej mierze rozumiał jej zakłopotanie. Była młoda, o twarzy niewinnego dziecka, i na pewno nieczęsto miała do czynienia z takimi jak on mężczyznami. Sycił wzrok jej widokiem, marząc jednocześnie, żeby wycisnąć na jej ustach pocałunek, a potem chwycić ją w ramiona i unieść w głąb wyspy, z dala od wścibskich spojrzeń - i tam kochać, kochać, kochać. Cassandra nawet nie zdawała sobie sprawy, że jej widok budzi głębsze uczucia w sercach mężczyzn.

Tymczasem Stuart musiał przyznać w duchu, że żadna kobieta nie zrobiła na nim większego wrażenia. Wiedział już, że jedno spotkanie to za mało i że musi ją znów zobaczyć. Nie potrafił myśleć o niczym więcej.

- Pozwolisz, pani, że przynajmniej zawezwę dla was bryczkę?

Cassandra skinęła głową. Stuart zdecydowanym krokiem pospieszył na nadbrzeże. Miał w sobie coś władczyego, niemal aroganckiego. Przypomniała sobie wszystkie ostrzeżenia, których w przeszłości nie szczędziła jej zagna Meredith. Kapitan Marston jak ułaf pasował do opisu. Miał giętki język, dumne spojrzenie i diabła za skórą. Do tego był szaleńczo przystojny. Nie chciał się z nią rozstawać - przynajmniej tak twierdził - a ona podzieliła to odczucie. Głupia jesteś, pomyślała nagle. Zwykle pochlebstwa bierzesz za dobrą monetę. Chcesz mieć męża żeglarza? Sama siedzieć w domu?

Stuart wrócił prędzej, niż się spodziewała.

- Wszystko załatwione. Bryczka czeka, ażeby zabrać panie na plantację Courtly. Wprawdzie to nie jest powóz odpowiedni dla damy, ale ma koła i toczy się do przodu.

- Jestem panu ogromnie wdzięczna za okazaną pomoc.

- Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, zanim wyjadę do Anglii. Może po moim powrocie z Jamajki? Intryguje mnie pani. Nie mogę się doczekać, aby poznać panią lepiej.

Kolejne pochlebstwo, uznała Cassandra i nerwowym śmiechem pokryła zakłopotanie. Mimo wszystko słuchała tego z przyjemnością. Uspokój się! - nakazała sobie w myślach. Uciekaj! Musiała użyć całej siły woli, żeby wyzwolić się spod uroku Marstona. Był zbyt przystojny, nazbyt pociągający i pewny siebie.

- Jest pan niepoprawny, kapitanie - powiedziała. - Każdej kobiecie prawi pan takie komplementy? Ma pan w sobie coś z zaklinacza węży. Ile pan złamał serc niewieścich? Rzucił jej szybkie spojrzenie. Oczy błyszczały mu niczym dwie gwiazdy.

- Było ich kilka - przyznał bez ogródek. - Pani nie musi się mnie obawiać. Większość kobiet nie ma odwagi, żeby mi zadawać podobne pytania.

Cassandra dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu. Droczył się z nią.

- Nie należę do większości kobiet, kapitanie Marston - odparła z naciskiem. W jej głosie dał się słyszeć gniewny ton.

Stuart uniósł brwi z podziwem. Zauważył groźne iskierki w jej oczach i to wprawiło go w jeszcze lepszy nastrój.

- Pod tym względem ma pani całkowitą rację - przytaknął z zapałem. - Jest pani piękna i czarująca, panno Everson, chociaż nie wiem, czy w pełni tego świadoma. Nie zamierzałem pani urazić. Całkowicie ją tym rozbroił. Cassandra nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie gniewam się - odparła.

- Zatem pozwoli pani, że ją odwiedzę, wracając z Jamajki?

- Oczywiście. Z niecierpliwością będę czekać na pańską wizytę.

- Dziękuję, a teraz muszę się pożegnać. Wzywają mnie obowiązki. Zapewniam jednak, że nasze rozstanie nie potrwa długo. Jeśli nie znajdę pani tutaj po powrocie, to na pewno spotkamy się w Londynie.

Ostatnie zdanie wypowiedział namiętym, uwodzicielskim głosem. Cassandra skinęła mu głową na pożegnanie, odwróciła się i odeszła. Stuart spoglądał za nią ze ściągniętymi brwiami, gdy zmierzała w stronę swojej towarzyszk i młodego kadeta.

Po chwili westchnął z głębi piersi. Cassandra szła energicznym i zdecydowanym krokiem, jakby gotowa do odparcia setki niebezpieczeństw. Prosta jak świeca, z dumnie uniesioną głową, poruszała się z niezwykłą gracją, podkreślającą jej wrodzony wdzięk. Już wtedy, gdy ją ujrzał na rozchybotanej łodzi, wiedział, że czeka go przygoda, której tak łatwo się nie zapomina. A jednak nie był w pełni gotów na to, co go spotkało. Nie przypuszczał, że nieznajoma piękność zawładnie jego sercem. Nagle ostatni rejs „Jastrzębia Morskiego” stał się najważniejszy w życiu kapitana Stuarta Marstona.

Młoda, niezwykła i piękna Cassandra Everson łączyła w sobie niewinność dziecka ze zmysłowością, co jak magnes podziało na Stuarta. Kiedy się śmiała, robiły się jej urocze dołki na policzkach, rozchyłała karminowe usta, ukazując śnieżnobiałe zęby. Stuart wciąż nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło na nim to spotkanie. Doszedł do wniosku, że na całym świecie jest niewiele dziewcząt podobnych do Cassandry. Była klejnotem, i to tak rzadkim, że postanowił zdobyć ją dla siebie.

Na razie nic o niej nie wiedział, lecz mimo to miał pewność, że spotkał kobietę, z którą chciałby spędzić resztę życia. Dotąd nie pragnął, aby któraś ze znajomych dam go usidliła. Zamierzał poszukać żony, kiedy na stałe już osiadzie w Anglii. Teraz jednak wprost nie mógł się doczekać ponownego spotkania z panną Everson. Poczuł podekscytowanie na myśl o tym, co zrobi, gdy tylko powróci z Jamajki.

Już miał odejść, kiedy nagle zamarł w bezruchu, zmarszczył brwi i jeszcze raz popatrzył za dziewczyną. Z namysłem spojrzął na pukiel jasnych włosów, który wymknął jej się spod kapelusza. Coś zamajaczyło w jego pamięci. Mimo to nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i kiedy oglądał całkiem podobny widok. Pokręcił głową. Po chwili podszedł do niego jeden z marynarzy, pytając o ładunek. Stuart otrząsnął się z zamyślenia i, chcąc nie chcąc, wrócił do realnego świata.

Cassandra przez cały czas czuła na sobie wzrok przystojnego kapitana Marstona. Miała ochotę odwrócić się i też na niego spojrzeć, ale coś jej podpowiadało: Nie! Nie rób tego! Weszła więc w kolorowy tłum przechodniów, nie obejrawszy się za siebie.

Jak to możliwe, że tęskniła za nim, skoro rozstali się zaledwie przed minutą? Pierwszy raz w życiu spotkała mężczyznę, który obudził w niej tak silne emocje. Był fascynujący. Rzutki, przedsiębiorczy, pełen humoru i... podniecający. Do tego władczy i wymagający u innych posłuchu.

W duchu miała nadzieję, że znów się spotkają. Ale po co? Westchnęła ze zniecierpliwieniem. Gdzie się podział jej zdrowy rozsądek? Może to wpływ tropikalnego słońca? Nigdy dotąd nie czuła się tak dziwnie. Co się z nią działo? Przecież nie mogła zakochać się w kimś, kogo spotkała przypadkiem i właściwie nie znała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Plantacja Courtly leżała w głębi wyspy sześć i pół kilometra od wybrzeża, na szerokiej równinie po południowej stronie graniczącej z obszernym płaskowyżem. Pierwsi angielscy koloniści przybyli na Barbados w 1627 roku i od tamtej pory wyspa uległa ogromnym przemianom. Wykarczowano lasy pod uprawę trzciny, a cukier i przetwory, jak rum i melasa, stały się podstawowym towarem eksportowym. Ludzie - rzecz jasna biali - żyli tu dostatnio, a w polityce panowała stabilność. Siłą napędową gospodarki byli niewolnicy.

Cassandra rozpięła nad głową parasolkę, którą kupiła jeszcze na Trinidadzie, i zajęła miejsce obok Rosy w rozchwianej bryczce. Z tej wysokości miała doskonały widok na skąpaną w słońcu wyspę. Siedziała plecami do szmaragdowego morza, przed sobą zaś widziała łąkę sielską krainę, pełną białych domów, kolorowych ogrodów i łagodnych wzgórz.

Wśród tropikalnej roślinności wiły się kręte ścieżki i przecinki. Z gęstwiny krzewów strzelały w górę smukłe i wysokie palmy o postrzępionych liściach.

Powóz skręcił z głównego traktu na szeroką pylistą drogę. W oddali już widać było pierwsze budynki plantacji. Główny dom, dwupiętrowy, zbudowany w typowym angielskim stylu z drewna i kamienia, stał na szczycie łagodnego wzgórza, górując nad polami trzciny cukrowej. Trochę dziwnie wyglądał w obcym otoczeniu.

Niżej wznosiła się mała cukrownia, niezbędna na każdej plantacji. W krytych palmowymi liśćmi chatkach za wzgórzem mieszkali niewolnicy. Chaty przestaniał rząd drzew. Stały tak daleko, żeby dochodzący z nich niemiły zapach nie drażnił delikatnego nosa plantatora i jego rodziny ani dystygowanych gości, którzy czasami odwiedzali Courtly Hall.

John niewiele mówił swej podopiecznej o mieszkańcach plantacji. Ojciec sir Charlesa przybył na Barbados w latach czterdziestych XVII wieku, przywożąc ze sobą pokaźny kapitał zgromadzony w Anglii. Uprawa trzciny cukrowej przynosiła niemałe dochody, więc w krótkim czasie dorobił się fortuny. Majątek z czasem przeszedł na syna. Rodzina Courtly należała teraz do miejscowej elity i miała poważny wpływ na politykę oraz gospodarkę wyspy. Sir Charles Courtly często przebywał w Anglii, ostentacyjnie obnosząc się ze swym bogactwem. Na wyspie zaś urządzał wystawne bale, przyjęcia i zabawy.

Powóz jechał długą i wąską aleją pod palmami. W pobliżu domu Cassandra rozejrzała się po okolicy. Ciągłe zaskakiwały ją nowe dźwięki, widoki i zapachy. Z lubością wciągnęła powietrze w płuca. Po chwili jednak powóz zatrzymał się przed domem i poczuła niepokój w sercu.

Przeczuwała, że pierwsze spotkanie z kuzynem nie będzie należało do najprzyjemniejszych. Zaczęła się denerwować.

Drzwi otworzył czarny służący ubrany w niebieską liberię. Na widok stojących w progu dziewcząt uśmiechnął się szeroko i gestem zaprosił je do środka. Na imię miał Henry i był tak uprzejmy, że Cassandra od razu poczuła się rażniej.

Wymieniła swoje nazwisko i przedstawiła Rosę. Henry ukłonił się i zniknął w głębi domu.

Cassandra zapytała młodego kadeta, ile kosztuje wynajęta bryczka, lecz usłyszała w odpowiedzi, że przejazd został opłacony z góry przez kapitana Marstona. Uśmiechnęła się mimo woli. Muszę mu podziękować, uznała. Ani przez moment nie miała najmniejszych wątpliwości, że znowu się spotkają.

Kadet wyładował bagaże z powozu, ustawił je na podjeździe, zasiadł z powrotem koło woźnicy i odjechał do Bridgetown. Niemal w tej samej chwili do dziewcząt podeszła drobna, elegancka dama w średnim wieku. Ubrana była w liliową jedwabną suknię i roztaczała wokół siebie delikatny zapach róż. Podobnie pachniał dom w Londynie i kochana Meredith, z nieoczekiwaną nostalgią pomyślała Cassandra. Mam nadzieję, że już mi wybaczyła ucieczkę.

- Jestem Julia Courtly - przedstawiła się dama, witając dziewczęta ze szczerą radością.

Uśmiechnęła się. Mimo upływu lat jej twarz zachowała ślady dawnej urody. Za młodu musiała być bardzo piękna.

Cassandra poczuła na sobie uważne spojrzenie piwnych oczu.

- Nazywam się Cassandra Everson - odezwała się - a to moja towarzyszka, Rosa. Proszę wybaczyć, że przyjechałam bez zapowiedzi, lecz chciałabym zobaczyć się z kuzynem, sir Johnem Eversonem. Powiedziano mi, że zatrzymał się właśnie w Courtly Hall.

Lady Courtly nie kryła zaskoczenia.

- Owszem, to prawda, moja droga, lecz nie wspominał o tym, że spodziewa się twojej wizyty. Cassandra zrobiła skruszoną minę.

- Prawdę mówiąc, nic o tym nie wie. Chciałam mu zrobić niespodziankę.

- I udało ci się, moje dziecko! Na pewno będzie zaskoczony. Z całego serca witam was obie w Courtly Hall - wylewnie powiedziała lady Courtly. - Nikt was nie będzie pytał, jak i po co zjawiłyście się na Barbadosie, lecz dołożymy wszelkich starań, aby wam było tu przyjemnie.

- A John... Jest tutaj? - ostrożnie zapytała Cassandra.

- Tak, ale nie w domu. Woli mieszkać w pawilonie na plantacji. - Lady Courtly przeniosła wzrok na Rosę, która wyglądała tak, jakby za chwilę miała się osunąć zemdlna na ziemię. - Och, błagam o wybaczenie! Zapomniałam o obowiązkach gospodyni. Przecież na pewno jesteście ogromnie zmęczone. Musicie odpocząć i się odświeżyć. Chodźmy do gabinetu.

Przywołała do siebie Henry'ego i wydała mu kilka poleceń.

Gabinet był przestronny i gustownie urządzone. Na ścianach wisiały jedwabne draperie, lustra i obrazy, a meble, sprowadzone przed laty z Francji i Anglii, były świadectwem dobrego gustu i smaku właścicieli.

- Musicie się rozgościć - oznajmiła lady Courtly. - Odpocznijcie chwilę, a ja pójde dopilnować, żeby przygotowano wam pokoje.

Cassandra uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nie spodziewała się tak ciepłego przyjęcia.

- Dziękuję, lady Courtly - powiedziała ściszym głosem - ale nie chcemy sprawiać nadmiernych kłopotów. Źle postąpiłam, przyjeżdżając bez zaproszenia i w zupełności mi wystarczy, jeśli zamieszkać z Johnem.

- Co takiego? W tym lichym pawilonie, w którym nawet nie ma się gdzie obrócić? Wykluczone. Jesteś kuzynką Johna, więc zostaniesz pod moim dachem. A poza tym, mój syn wyjechał z żoną do Anglii i dom stał się pusty i cichy. - Lady Courtly z uśmiechem położyła rękę na dłoni Cassandry. - Z chęcią przedstawię cię moim przyjaciołom. Opowiesz nam wszystkie nowinki z Londynu.

- Dziękuję, lady Courtly - powtórzyła Cassandra, - Pomówię o tym z Johnem.

- Oczywiście, chociaż jestem pewna, że pozwoli ci u nas zostać. Och, jeszcze jedno. Mam na imię Julia. „Lady Courtly” brzmi oficjalnie i trochę nie na miejscu. Zjecie razem, a potem poznacie mojego męża.

Cassandra i Rosa z ulgą umyły się i odświeżyły. Służba przyniosła im posiłek, później zaś mały i nieco nieśmiały czarny chłopiec zaprowadził je do domu Johna. Pawilon stał nieco na uboczu, niemal zupełnie zasłonięty gęstwiną drzew i kwitnących krzewów. Po ścianach piął się pachnący powój o czerwonych i białych kwiatach. Powietrze przesycone było ciężkim aromatem, monotonne brzęczenie pszczoł stwarzało nastrój spokoju.

Chłopiec wskazał im pawilon i uciekł, ledwie Cassandra zdążyła mu podziękować. Dziewczęta weszły na zacienioną werandę. Stały tu dwa wiklinowe fotele na biegunach, a między pobliskimi drzewami wisiał hamak. Cassandra zajrzała przez uchylone drzwi, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Zobaczyła przestronny pokój z drewnianą podłogą, wyłożoną barwnymi matami.

Zastony w oknach powiewały przy najłżejszym wietrze. Na sofie, ustawionej pod przeciwległą ścianą, leżał stos kolorowych poduszek z pomponami.

John wybiegł z przyległej izby, potargany, z nieprzytomnym wzrokiem, pospiesznie dopinając bryczesy. Cassandra roześmiała się uszczęśliwiona, bo zawsze darzyła niekłamaną sympatią starszego o dwanaście lat kuzyna. Radość trwała krótko. John wyraźnie pobladał pod opalenizną. To wystarczyło, żeby Cassandra straciła pewność siebie.

Mimo to podeszła bliżej, aby się przywitać. John wpatrywał się w nią bez słowa. Za jego plecami pojawiła się skąpo ubrana, ciemna dziewczyna, która z ciekawością przyglądała się niespodziewanym gościom. John miał powody do niezadowolenia. Nie dość, że Cassandra bez słowa uprzedzenia przybyła na Barbados, to jeszcze zaskoczyła go w biały dzień w ramionach ładnej Mulatki.

- Cassandra! A niech to diabli! - wybuchnął. - Do stu tysięcy piorunów, co ty tutaj robisz?!

- Nie złość się, John. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

- Wyjaśnisz? Co wyjaśnisz?! - krzyknął. Dziewczyna szybko i bezszelestnie zniknęła w drugim pokoju. - Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie! Jak mogłaś wybrać się w tak długą podróż, nie spytawszy mnie przedtem o zgodę? To jest po prostu niesłychane! Brak ci elementarnej odpowiedzialności. Zawsze byłaś uparta, ale sądziłem, że zachowałeś resztki zdrowego rozsądku. Teraz widzę, że to nieprawda. A gdybym tak przed twoim przyjazdem zdecydował się wrócić do Anglii? A gdybym zapadł na chorobę, których nie brakuje w tropikach? Gdybym umarł?

- Wtedy musiałabym na własną rękę poszukać możliwości powrotu do Anglii - odpowiedziała Cassandra potulnie, aby ułagodzić kuzyna. - Och, John. Nie złość się na mnie. Powiedz, że cieszysz się z naszego spotkania.

Te słowa wywołały efekt odwrotny od zamierzonego. John jeszcze bardziej się rozgniewał. Podeszedł bliżej, przesywając ją płonącym wzrokiem.

- Chyba zupełnie oszalałaś! Z czego mam się cieszyć? Z twojej głupoty? Z tego, że przyjechałaś bez uprzedzenia? Na litość boską, Cassandro, co w ciebie wstąpiło?!

Cassandra jednak postanowiła, że nie da się zastraszyć, i uśmiechnęła się przymilnie, co w przeszłości za każdym razem skutkowało.

- Nie wybrałam się w tę podróż sama, John. Przecież widzisz. - Tu wskazała na córkę Druma, wciąż lękliwie stojącą na werandzie. - Jest ze mną Rosa.

John tylko rzucił okiem na wystraszoną dziewczynę i znowu odwrócił się do Cassandry. Zaciśnął zęby, żeby się opanować, po czym rzekł nienaturalnie spokojnym tonem:

- Powiedz mi zatem, co cię przygnało aż tutaj, na Barbados? - Nagle szeroko rozwarł oczy z przerażenia. - Chodzi o Meredith?! - zawołał niespokojny, że coś złego spotkało jego ukochaną siostrę. - Miała wypadek? Zachorowała?

- Nie, nie! - zapewniła pospiesznie Cassandra. - Oczywiście, że nie. Nie musisz się niczym martwić. Gdy wyjeżdżałam, była poza Londynem, w odwiedzinach u waszej babki. Ja zaś... no cóż... chciałam na własne oczy zobaczyć Karaiby. To chyba wszystko.

- Chcesz mi powiedzieć, że tylko dla kaprysu wypuściłaś się w tak daleką podróż? - zapytał zdumiony John.

- To nie był zwykły kaprys - odparła Cassandra. - Wiem, że mój przyjazd jest dla ciebie niespodzianką.

- Rzeczywiście! - warknął.

- Przrzekam, że nie będę dla ciebie ciężarem. Nawet nie zauważysz mojej obecności.

- Szczerze wątpię. - John przyłożył ręce do skroni i stanął odwrócony tyłem. Powoli uświadomił sobie, że nie pozostaje mu nic innego, jak zaakceptować obecność Cassandry. Podszedł do okna. Był średniego wzrostu i miał zbyt drobne rysy, żeby go nazwać przystojnym, ale mógł się podobać. W ciemnych włosach połyskiwały pierwsze pasemka siwizny. Przez długą chwilę stał bez słowa, pogrążony w niewesołych myślach. Wreszcie spojrzał na Cassandrę. Popatrzyła na niego wyczekująco. Stała pośrodku pokoju, niczym ucieleśnienie delikatnej kobiecości, ale John wiedział, że Cassandra miała w sobie coś z rozbrykanego młodego żrebięcia. On sam, chociaż już z niejednego pieca chleb jadł i mógł się pochwalić niemałym życiowym doświadczeniem, wciąż nie wiedział, jak sobie poradzić z niesforną podopieczną. Z pewną dozą cynizmu podejrzewał, że nikomu nie udałoby się ta sztuka.

- Nie należysz do osób, które pozwalają o sobie zapomnieć - powiedział. - Już od dawna przestałem dziwić się twoim wybrykom, ale, jak widać, wciąż potrafisz jeszcze mnie czymś zaskoczyć. Masz niezwykłą zdolność dopasowania się do każdej sytuacji. Ponadto nie obchodzą cię uczucia innych. Nie pomyślałaś, że twój przyjazd wprawi mnie w zakłopotanie? Cassandra zrobiła smutną minę i poważnie pokręciła głową.

- Nie, John. Wcale nie chciałam zrobić ci przykrości. Było mi smutno... i po prostu czułam się samotna. Wiedziałam, że Meredith wróci dopiero za kilka tygodni. A ja... ja... musiałam na pewien czas wyjechać z Anglii. Tak, musiałam - dokończyła ciszej. Mówiąc to, nawet nie zdawała sobie sprawy, że John w lot zrozumiał, co się zdarzyło.

- A może to ma coś wspólnego z jakimś Nathanielem Wylde'em? - spytał. Nie potrafił ukryć pogardy. Nigdy nie akceptował jej ojca. Cassandra spojrzała na niego z namysłem. Wciąż ją prześladowało gorzkie wspomnienie tragicznej śmierci Nata.

- Nathaniel nie żyje, John.

Tego się nie spodziewał. Popatrzył na nią z osłupieniem.

- Nie żyje?

- Tak. Został schwytany i stracony nad brzegiem Tamizy, w dniu, w którym wyjechałam z Londynu.

Szybko i bez emocji opisała przebieg wydarzeń. John słuchał jej w milczeniu, choć jego twarz zdradzała całą gamę uczuć. Odezwał się dopiero wtedy, gdy Cassandra zamilkła.

- Cóż, nie jestem tym zaskoczony. Dostał to, na co zasłużył. - Zobaczył jednak ból w oczach dziewczyny, więc łagodnie objął ją za ramiona i usiedli razem na kanapie.

- Przepraszam, jeśli moje słowa sprawiają ci przykrość, ale nie kryłem, co sędzę o Nathanielu Wyldzie. Zapewne wiesz, że wkroczył w nasze życie tuż po śmierci moich rodziców. Nie mogłem mu zabronić, żeby cię widywał. Podejrzewałem jednak, że za jego sprawą szybko zechcesz uwolnić się z więzów narzuconych ci przez moją matkę. Niestety, miłość bywa ślepa. Kochałaś go i przez to przymykałaś oczy na jego wady. Był złoczyńcą - okrutnym i na co dzień żyjącym wśród piratów. Za to, co wspólnie uczynili, śmierć jest najłagodniejszą karą. Przemawiał cichym i poważnym głosem. Cassandra mocno zacisnęła usta. Słowa Johna zabolaty ją do żywego, ale nie budziły złości. Kuzyn powtarzał tylko to, co mówił przedtem wiele razy.

- Wiem, John, ale to już na zawsze skończone. Muszę z tym żyć, chociaż wciąż pamiętam ostatnie chwile Nata. - Nie chciała bardziej drażnić Johna, więc nie wspomniała mu, że była na pokładzie, kiedy Drum przeciął cumy „Delfina”. Nie powiedziała też, że ciało Wylde'a zdjęto z

szubienicy i pochowano w morzu. Nie mogła jednak zataić prawdy, w jaki sposób dostała się aż na Barbados. John poczerwieniał z gniewu, kiedy to usłyszał.

- Na Boga, przyłynęłaś na pirackim statku? Wprawdzie O'Leary to zwykły łajdak i szubrawiec, ale podejrzewałem go, że ma trochę oleju w głowie. Że też cię zabrał! Zapłaci za to. Niech no tylko dostanę go kiedyś w swoje ręce. A kapitan Tillotson? Rozpoznał O'Leary'ego? Domyślił się, że ma do czynienia z łotrem, który powinien zawisnąć obok Wylde'a?

- Raczej nie - odparła Cassandra i spojrzała szybko na Rosę. Dziewczyna siedziała sztywno na krześle po drugiej stronie pokoju. Była mocno zaczerwieniona i gniewnie błyskała oczami, słuchając oskarżeń rzucanych pod adresem jej ojca. Dzięki Bogu, że do tej pory nie wtrąciła się do rozmowy. Cassandra obiecała sobie, że porozmawia z nią na osobności. Lepiej, aby John na razie nie wiedział, że ma na głowie także córkę Druma.

- Daj spokój, John. Musimy o tym teraz mówić? Co to ma za znaczenie?

- Większe, niż ci się zdaje, moja panno. Kiedy tacy jak O'Leary buszują na wolności, to żaden uczciwy człowiek nie może czuć się bezpieczny. Koloniści żyją w ciągłym strachu, bo nie wiedzą, czy ich towary dotrą do miejsca przeznaczenia. Nic więc dziwnego, że nienawidzą piratów i uważają ich za morderców i złodziei. Pamiętaj zatem: póki tu jesteś, nikt nie może się dowiedzieć prawdy o twoim pochodzeniu i o tym, że coś cię łączy z O'Learym. Wybuchłby skandal. Nie pozwolę na to. Słyszysz mnie, Cassandro?

- Tak, John. Nie chcę, żebyś przeze mnie doznawał przykrości. - Dobrze wiedziała, że w takich chwilach lepiej się z nim nie kłócić. - Mimo to nie zamierzam wracać do domu. Chcę zostać tutaj, z tobą. Pozwolisz mi?

- Wygląda na to, że nie mam wyboru. Możesz zostać. Twoja przyjaciółka także. Czujcie się jak u siebie w domu. - Wstał z kanapy. - Czasami nie ma mnie przez kilka dni. Jeżdżę do Bridgetown lub odwiedzam innych plantatorów. Sama rozumiesz, interesy.

Spojrzał na młodą Mulatkę, która ponownie wyszła z sypialni. Tym razem miała na sobie zieloną jedwabną suknię obszywaną złocistą nicią. Stała w kącie pokoju i przyglądała im się bez słowa. Cassandra jednak zauważyła, że John złagodniał na jej widok.

- Elmina zostanie tutaj, żeby się wami zajmować. To... to moja służąca. Gotuje, pierze... no, przecież wiecie - wyjaśnił. Chrząknął nerwowo i z zakłopotaniem odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na Cassandrę, która w ślad za nim wstała z kanapy i podeszła kilka kroków bliżej.

- Dom wprawdzie jest mały, ale przytulny - dodał John. - Elmina we wszystkim wam pomoże. Poza tym świetnie mówi po angielsku, więc z tym także nie będzie kłopotów.

- Nie ma potrzeby, żebyś przez nas narażał się na niewygody - uspokoiła go Cassandra. - Lady Courtly zaprosiła nas do siebie i od razu kazała przygotować pokoje.

John odetchnął z wyraźną ulgą.

- Wszystko jasne. Kochana Julia. To do niej podobne. Tak, tak, u niej poczujecie się o wiele lepiej.

Cassandra zerknęła spod oka na Elminę. Malutka miała piękne ciemne oczy i krótkie czarne błyszczące włosy. Czekoladowa skóra była bez najmniejszej skazy i tylko pełne usta i lekko spłaszczony nos zdradzały murzyńskie pochodzenie. Poruszała się z niezwykłą, jakby nieco senną gracją i miała w sobie owo „coś” - co bez wątplenia budziło męskie pożądanie. Cassandra domyśliła się, że John jest jej kochankiem, i chociaż ją to zaskoczyło, nie miała mu tego za złe. Uśmiechnęła się lekko, zrozumiała bowiem, dlaczego kuzyn wolał mieszkać w pawilonie z dala od wścibskich spojrzeń.

- Nie myśl, że koniec na tym - ostrzegawczo powiedział John. - Nie zostaniesz tutaj długo. Gdy tylko znajdę odpowiedni statek, natychmiast wyślę cię do Anglii.

Cassandra popatrzyła na niego z rozczarowaniem.

- Dlaczego nie możemy wrócić razem? - zapytała z ciężkim sercem.

- To niemożliwe - stanowczo odpowiedział John.

- Musisz stąd wyjechać jeszcze przed początkiem pory deszczowej. Nie masz pojęcia, co tu się dzieje podczas ulewy i huraganów. Dla plantatorów to prawdziwa katastrofa.

- Ale to za wcześnie! - zaprotestowała. Pamiętała, że kapitan Marston miał zawinąć na Barbados, wracając z Jamajki. - Pozwól mi zostać dłużej, John- zaczęła proszącym tonem. - Nie będziesz miał przeze mnie żadnych kłopotów. Obiecuję.

John westchnął i z rezygnacją pokręcił głową.

- Szczerze wątpię - rzekł - ale zobaczymy. Ostrzegam, że twoje zachowanie będzie miało wpływ na moją decyzję. Zrozumiałaś?

- Ależ tak! Tak! - zawołała, ucieszona jego postanowieniem.

- To dobrze - mruknął i ciepło spojrzał na piękną Elminę. - Tym bardziej że ja pewnie jeszcze długo nie wrócę do Anglii.

W czasie pobytu Cassandry na plantacji sir Charles i lady Julia Courtly urządzali bale i przyjęcia dla miejscowej śmietanki towarzyskiej. John od razu nakazał podopiecznej, aby sprawiła sobie nowe stroje. W starych „nie mogła się pokazać ludziom”. Chciał, żeby wyglądała jak najlepiej. Pochlebiało mu, że przyciągała wzrok jego przyjaciół - w tym najbogatszych właścicieli ziemskich na wyspie.

Julia zabrała ją na zakupy do Bridgetown. Tam kupiły całe bele najprzeróżniejszych materiałów. Potem zjawiła się miejscowa szwaczka i jej rozgadane pomocnice. Biedna Cassandra całymi godzinami stała na stołku, poddając się z rezygnacją ich zabiegom. Ciągłe coś cięty, szyły, upinały, ale efekty były znakomite. Gotowe suknie leżały jak ulał, podkreślając kuszące kobiece kształty.

Wyspa była ekscytującym miejscem, więc Cassandra cieszyła się każdą chwilą, niczym skazaniec, który po wielu latach więzienia wyrwał się na wolność. Bogaci kupcy i plantatorzy żyli tu wręcz po królewsku. Zamiast zwykłych domów stawiali pałace i wypełniali je sprzętami przywożonymi z Europy. Wielkie przyjęcia były na porządku dziennym, a stoły uginały się pod srebrną zastawą. Przyjaciele Johna i sir Charlesa bez wyjątku zaliczali się do elity. Ubierali się w najprzedniejsze stroje i nie trudzili się pracą. Tę wykonywali za nich inni. Mężczyźni wodzili oczami za Cassandrą i prześcigali się w kwiecistych komplementach, zapewniając ją, że nigdy dotąd nie widzieli tak pięknej panny.

W ich spojrzeniu było jednak coś czujnego, jakby wciąż mieli się na baczności. Dotyczyło to nawet sir Charlesa. Wielki plantator był przeciętnego wzrostu, miał jasne włosy, rzadkie wąsy i szczupłą sylwetkę. Nie wyglądał na swój wiek. Wchodził w skład parafialnej rady, którą stanowiło szesnastu najbogatszych ziemian, upoważnionych do pobierania stosownych podatków i czynszu za wynajem gruntów i nieruchomości.

Otaczała go aura władzy, nabyta bez wątpienia przez lata rządów na plantacji i kierowania polityką wyspy. Początkowo wydawał się łagodny i czarujący, ale Cassandra wkrótce spostrzegła, że wśród swych podwładnych budził strach nie mniejszy niż szacunek.

Dni mijały jej niepostrzeżenie w zadowoleniu i spokoju. Starła się nie myśleć o zmarłym ojcu, bo to budziło w niej tęsknotę, wciąż jednak była święcie przekonana, że wyrządzono mu

krzywdę. Choćby dlatego chciała jak najdłużej pozostać na Barbadosie - cieszyć się słońcem, morzem i palmami - by zdobyć siły przed powrotem do Londynu.

Nadszedł wrzesień i wkrótce wszyscy zapomnieli o upałach. Deszcz lał niemal bez przerwy. Mimo to John bez protestów zabierał Cassandrę na wycieczki do Bridgetown, a wieczorami zapraszał ją do siebie na kolację. Jadali zwykle w towarzystwie kupców, powiązanych z Wyndham Company lub inną spółką prowadzącą rozległe interesy na Wyspach Karaibskich. Pewnego dnia John zawiadomił ją, że tym razem spodziewa się tylko jednego gościa. Cassandra usłyszała kroki na werandzie. Po chwili zobaczyła ciemną postać. Przybysz zdjął z głowy kapelusz z białym piórem i wręczył go Elminie. W jego miękkich, niemal kocich ruchach było coś znajomego. Sekundę później wszedł w krąg światła i wesoło spojrzał na Cassandrę. Rozpoznała go od razu. Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki, a oczy rozbłyły wewnętrznym światłem. Gość Johna podszedł bliżej. Wydawało się, że barczystą postacią wypełnia cały pokój. Cassandra już na plaży czuła się zmieszana jego obecnością. Teraz jednak, kiedy spojrzała mu prosto w oczy, pomyślała, że nie będzie musiała czekać do powrotu, aby przekonać się, co też los jej szykuje.

Od czasu pamiętnej przygody na plaży na Barbadosie rzadko zdarzało się, żeby kapitan Stuart Marston nie myślał o pięknej pannie Everson. Z niecierpliwością liczył dni na Jamajce i zastanawiał się, czy przypadkiem nie skrócić pobytu i nie wracać. Z goryczą przypominał sobie, co utracił przez ciągłą pogoń za przygodą. Dla Cassandry był gotów natychmiast zrezygnować z morza i osiąść na stałym lądzie.

Tuż po przybyciu na Barbados spotkał się z sir Johnem Eversonem i zaczął go wypytywać o podopieczną. Z radością stwierdził, że Cassandra wciąż jest na wyspie. Chwilę później oniemiał ze szczęścia, bo sir John spytał go, czy nie zabraliby dwóch pasażerek w rejs powrotny do Anglii. Chodziło oczywiście o Cassandrę i jej towarzyszkę, Rosę.

Z chęcią przyjął zaproszenie na wspólną kolację i nocleg na plantacji sir Charlesa. Propozycja była doprawdy kusząca. Gdyby chodziło o kogoś innego, na pewno wymówiłby się zmęczeniem. Miał za sobą wyjątkowo ciężki dzień przy rozładunku i marzył o tym, żeby się położyć. Przeważała jednak chęć spotkania z ekscytującą panną Everson. Chciał sprawdzić, czy w istocie była taka piękna, jak ją zapamiętał.

Teraz zobaczył ją w pełnym świetle. Chyba w ogóle nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie wywierała. W połyskującej szafirowej sukni, ze złotymi włosami opadającymi aż na ramiona, z cerą gładką jak najprzedniejszy jedwab, była zjawiskowo piękna. Czarodziejka, uznał w duchu. Wiedział jednak, że musi upłynąć sporo czasu, zanim weźmie ją w ramiona. A tego właśnie nie miał zbyt wiele. Spieszyło mu się. Podjął więc postanowienie, że nie wypłynie z portu na Barbadosie, zanim Cassandra nie zostanie jego prawowitą żoną.

Nie mógłby tylko patrzeć na nią podczas długiego rejsu do Anglii. Sama myśl o tym wydawała mu się okrutną torturą. Podejrzewał, że już po kilku dniach zmusiłby ją do uległości. Tego zaś nie chciał. Byłby rad, gdyby związała się z nim na resztę życia. Zaznałby wówczas czegoś więcej - czego nie dałby mu romans ani przelotna przygoda, jakie czasami przeżywał z kobietami. Postanowił bezzwłocznie zdobyć jej względy. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że sir John mógłby patrzeć nań niechętnym okiem. Mocno też wierzył w to, że bez trudu zdoła przekonać do siebie piękną Cassandrę. Pragnął uczynić ją swoją, i to jak najszybciej, a nie wtedy, gdy znajdą się w Anglii. Pierwszy raz zamierzał starać się o łaski panny. Do tej pory to raczej one próbowały zwrócić na siebie jego uwagę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cassandra napotkała spojrzenie czarnych oczu i drgnęła, zaskoczona tym, co zobaczyła. Kapitan Marston był dla niej ucieleśnieniem męskiej urody. W ciemnych oczach czała się obietnica nieziemskich rozkoszy. Na twarzy, przez lata wystawianej na promienie tropikalnego słońca, rysowały się maleńkie zmarszczki, które - zamiast szpecić - jedynie przydawały wyrazistości rysom. Cassandra z niekłamną radością uśmiechnęła się na powitanie, a gdy przypomniła sobie ich mimowolny flirt przy pierwszym spotkaniu, dreszcz przebiegł jej po plecach.

- O ile wiem, już pan poznał moją kuzynkę, kapitanie Marston - odezwał się John przyjacielskim tonem. - Wstyd mi, iż jeszcze nie podziękowałem panu za to, że ją pan wyłowił z morza w dniu jej przyjazdu na Barbados.

- Ależ to drobiazg. Rad jestem, że mogłem się na coś przydać. - Stuart szarmancko ujął dłoń Cassandry i delikatnie musnął ją ustami. Ani przez chwilę nie odrywał wzroku od jej oczu. W jej spojrzeniu widział zachętę. Uśmiechnął się, wiedząc, że w ten sposób trafił już do serca niejednej kobiety. - Cieszy się pani z naszego spotkania? - zapytał cicho.

- Zna pan odpowiedź, kapitanie Marston - odparła. Co prawda, zamierzała powiedzieć coś innego, ale słowa same cisnęły się jej na usta. Z wyraźnym wahaniem cofnęła rękę. A jednak dobrze go zapamiętała. Był śmiały, dumny... i miał w sobie coś z pirata.

- Domyślam się, że spotkał pan Johna w Bridgetown. Jestem szczęśliwa, że przyjął pan zaproszenie na kolację.

- Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że znów panią spotkam, panno Everson, zanim na dobre wyjadę do Anglii. Zatem z radością przyjąłem propozycję sir Johna, abyśmy dzisiaj wspólnie zasiedli do stołu. Muszę przyznać - dodał, obrzuciwszy ją śmiałym i pełnym podziwu spojrzeniem - że wygląda pani przepięknie. Pobyt na Karaibach wyraźnie pani służy. Jego wzrok na nieco dłuższą chwilę zatrzymał się na jej piersiach.

- Dziękuję. - Cassandra uśmiechnęła się. - Cieszyłabym się, gdybym mogła pozostać tu na stałe. Wszystko mi się podoba, to znaczy... - zająknęła się.

- Podoba mi się to, co widziałam. Na Barbadosie odżyłam po długiej podróży i zaczęłam pogodniej patrzeć w przyszłość. Czasami jeżdżę z Johnem do Bridgetown, urządzamy też wycieczki po okolicy, ale dla mnie to ciągle mało. Chciałabym zobaczyć resztę wyspy. Niestety, znam jedynie najbliższe plantacje, będące własnością przyjaciół sir Charlesa. John nie pozwala mi wyprawiać się dalej.

- Ściśle mówiąc, nie pozwalam ci jeździć samej - wtrącił John, wręczając im kieliszki z winem. - Na to na pewno się nie zgodzę. A poza tym w kwaterach niewolników szerzy się sto jeden tropikalnych chorób. Co zrobisz, jak niespodziewanie zapadniesz na zdrowiu? Uwierz mi, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Sam więc pan widzi, kapitanie Marston. Codziennie muszę wysłuchiwać podobnych ostrzeżeń.

- W słowach sir Johna jest sporo racji - odparł Stuart. - Przez choroby sam ostatnio straciłem kilku członków załogi.

John Everson odszedł na bok, aby wydać polecenia służbie. Stuart natychmiast skorzystał z okazji i przysunął się bliżej Cassandry. Nagle spoważniał, popatrzył na nią i powiedział zmysłowym tonem:

- Ślicznie pani wygląda. Ostatni raz widzieliśmy się cztery miesiące temu, ale dla mnie to była cała wieczność. Po opuszczeniu Jamajki przez kilka dni zmagaliśmy się z przeciwnym wiatrem. Bałem się, że już nigdy tutaj nie dołynę. Spyta pani dlaczego? Wciąż przed oczami miałem panią.

- Może pan zatem mówić o prawdziwym szczęściu, ale to nie znaczy, że wybaczę panu zbyt dużą poufalskość.

- Nie oczekiwałem innej odpowiedzi. Mam nadzieję, że pozwoli pani, abym jak najszybciej naprawił wszystkie błędy. - W jego głosie nie było cienia skruchy. Wręcz przeciwnie, uśmiechał się triumfująco. - Zdziwił panią mój widok?

- Oczywiście. Pochlebiam mi, że przyjechał pan tutaj aż z Bridgetown, żeby się ze mną zobaczyć.

- Obiecałem, że wrócę.

- Byłam przekonana, że zapomni pan o swojej obietnicy, kapitanie Marston.

- Miałbym zapomnieć o pani? To niemożliwe. Wywarła pani na mnie zbyt wielkie wrażenie. Cassandra od razu zrozumiała, co miał na myśli, i się zarumieniła.

- Czy to nie dziwne, że dwoje do niedawna obcych sobie ludzi nagle zaczyna paść tym samym uczuciem? Gdy czegoś pragnę, nic mnie nie zniechęca. - Głos Stuarta brzmiał niczym intymna pieszczota. Musnął wzrokiem rozchylone usta Cassandry i popatrzył jej prosto w oczy. Zobaczył w nich właśnie to, co chciał zobaczyć. W jednej chwili zapragnął wziąć ją w ramiona i zawładnąć jej ustami w namiętnym pocałunku.

Uśmiechnął się do siebie z wyraźnym zadowoleniem. Cassandra uświadomiła sobie, że żaden mężczyzna nie pociągał jej tak silnie. Zatem Stuart się nie pomylił. Miał nad nią władzę, choć to mogło brzmieć niewiarygodnie.

- Będę szczęśliwy, jeśli porzucimy zbędne formalności i przestanie mnie pani ciągle tytułować kapitanem Marstonem. Mam na imię Stuart. Wiem od sir Johna, że pani na imię Cassandra. Mogę zatem mówić po prostu: Cassandro?

Był to raczej rozkaz niż prośba.

- Ale... prawie sienie znamy.

- Temu można bez trudu zaradzić - odparł z głębokim przekonaniem.

Cassandra miała przekorną chęć, żeby się z nim podroczyć. Zaraz, miły, trochę spuścisz z tonu, pomyślała. Nie będziesz taki arogancki.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Pan wkrótce wraca z konwojem do Anglii, ja zaś aż do wyjazdu Johna zostanę na Barbadosie.

- Z tego co wiem, to pani kuzyn ma w tej sprawie nieco inne zdanie. - rzekł i dodał prędko, zanim zdążyła zapytać o coś więcej: - Kto oprócz mnie będzie na kolacji?

- Tylko my dwoje. Sir Charles i lady Julia udali się z wizytą do znajomych, a Rosa źle się czuje. To była prawda. Rosa położyła się już po południu, narzekając na ostry ból głowy. Rzeczywiście wyglądała mizernie. Cassandra bardzo się tym przejęła. Na szczęście lady Julia obiecała jej, że jeśli Rosa nie poczuje się do jutra lepiej, pošlą po zaufanego lekarza.

John zdążył już po raz kolejny napełnić swój kieliszek winem. Cassandra zerknęła na stół.

- Możemy siadać - powiedziała do gościa. - Kolacja gotowa.

Usługiwała im Elmina. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach gotowanych jarzyn i świeżo pieczonej ryby. Biesiadnicy gawędzili o różnych błahych sprawach. Płomienie świec migotały w lekkich powiewach wiatru i rzucały na ściany roztańczone cienie. Noc była bardzo ciepła, więc otwarto na oścież okiennice i do pokoju, wraz z chłodniejszą bryzą, wtargnęła słodka woń

ogrodu. Słychać było pokrzykiwanie nocnych ptaków i szmer chropowatych palmowych liści, ocierających się o ściany pawilonu.

W miarę upływu czasu John zaczął zachowywać się coraz głośniej. Jego zaczerwieniona twarz świadczyła o tym, że wypił za dużo wina. Zdarzało się to dosyć często i budziło niechęć Cassandry. Za to kapitan Marston wydawał się zupełnie trzeźwy. Owszem, pił trochę podczas kolacji, ale nie tyle co gospodarz. Tymczasem John potoczył wkoło lekko mętnym wzrokiem wyraźnie w nastroju do zwierzeń.

Głośnym śmiechem skwitował słowa Cassandry, która rozsądnie poradziła mu, żeby odstawił kieliszek.

- Lubię ją, kapitanie Marston! - zawołał i znów sięgnął po karafkę. - Uprzedzam jednak, że to bardzo uparta osoba. Przez cały czas chciałaby wszystkimi rządzić. Jeśli mam być szczery, to wolałbym, żeby już dawno była w Anglii i wyszła za męża. Ale ostrzegam! Małżeństwo z nią może się okazać niezwykle ciężką próbą.

Cassandra rzuciła mu gniewne spojrzenie i roześmiała się, żeby ukryć zakłopotanie.

- Och, John, jesteś niepoprawny. Nie mam nic, co mogłoby choć trochę wzbudzić zainteresowanie mężczyzn. Kto by mnie zechciał? Ciągłe mi powtarzasz, że brak mi ogłady i że jestem biedna jak mysz kościelna.

- Wprawdzie nie masz majątku, moja droga - zaczął, pochylił się nad stołem i protekcjonalnie poklepał ją po rękę - ale odznaczasz się innymi walorami. - Znacząco zawiesił głos. - Moja kuzynka niemal w niczym nie przypomina innych kobiet, kapitanie Marston - podjął. - Nie ma typowych zachcianek i kaprysów, ale od lat swoim uporem psuje mi wszystkie plany. Zdarza się, że jej zachowanie graniczy wręcz z nieposłuszeństwem. Muszę jednak przyznać, że jak dotąd nie posunęła się za daleko. - Ostatnie słowa wypowiedział dużo cieplejszym tonem, a w jego oczach zatańczyły wesołe iskierki. Mimo wszystko kochał swą podopieczną.

Jego stosunek do Cassandry wywarł wrażenie na Stuarcie. Młody kapitan zastanawiał się przez chwilę, czy przypadkiem nie chodzi tutaj o coś więcej. Może dziewczyna odwzajemnia te uczucia? Poczł nagłą zazdrość.

Cassandra właśnie spojrzała w jego stronę i zauważyła zimny błysk w jego czarnych jak węgiel oczach.

- Kapitanie Marston, proszę nie zwracać najmniejszej uwagi na gadaninę Johna. To tylko żarty. Chyba wypił trochę za dużo wina. A ty, John - zwróciła się do kuzyna - nie powinieneś o tym głośno mówić w obecności gościa. Wprawiasz go tylko w zakłopotanie.

Smart odchylił się na krześle i w zamyśleniu obracał w palcach kieliszek z winem. Z zainteresowaniem słuchał żartobliwej sprzeczki gospodarzy. Przy okazji ukradkiem obserwował Cassandrę. Kiedy się śmiała, odsłaniała śnieżnobiałe zęby, a jej niebieskie oczy migotały niczym dwa szafiry. Stuart przyglądał jej się jak urzeczoną. Była prawdziwą czarodziejką, w dodatku nieświadomą drzemiącej w niej olbrzymiej mocy.

- Zapewniam panią, że ani trochę nie czuję się zakłopotany - powiedział. - Wręcz przeciwnie, chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tej młodej damie.

Popatrzyła na niego poważnie i ze spokojem. Stuart zdążył tylko pomyśleć: co za piękne oczy, a już obdarzyła go drwiącym uśmiechem.

- A co dokładnie chciałby pan o mnie wiedzieć, kapitanie Marston?

- Myślę, że coś natury bardziej osobistej. - John zachichotał. - Muszę panu wyznać, kapitanie Marston, że moja matka aż do końca życia uważała Cassandrę za trudne dziecko. Po latach sam

zaczęłam przyznawać jej rację. Współczuję temu, kto w najbliższym czasie zechce przejąć opiekę nad najbardziej niesfornym, krnąbrnym i upartym stworzeniem na ziemi.

- Ale nie zaprzeczysz, że mam pewne walory -ostro przerwała mu Cassandra, nieco obrażona za tę, jej zdaniem, krzywdzącą opinię. - Jestem odcytana, w miarę wykształcona i wbrew temu, co mówi John, moje maniery nie są aż takie złe, żeby nie wpuszczano mnie na salony. Chyba sam przyznasz? - zwróciła się do kuzyna.

John parsknął śmiechem.

- Tak, tak. - Pokiwał głową. - Dobrze to ujęłaś, moja droga. - Syty i zadowolony, odchylił się na krześle i wyciągnął nogi przed siebie. - A więc, kapitanie Marston, pański statek jest załadowany i gotów do drogi z konwojem.

Cassandra wiedziała, że Stuart zamierza w krótkim czasie opuścić Barbados, lecz mimo to poczuła żal. Nagle wieczór stracił dla niej urok.

- Ile czasu potrzeba, zanim zbierze się konwój?

- Niewiele. Najwyżej dwa tygodnie - odparł Stuart, który z zadowoleniem zauważył jej rozczarowanie. - Czekamy jeszcze na kapitana Tillotsona i kilka innych statków płynących z Antigui. Potem ruszamy w rejs do Anglii.

Cassandra zdobyła się na bladą uśmiech, żeby zamaskować przygnębienie. Zatem czekało ich rozstanie, zanim na dobre się poznali.

- A jakież to cenne towary bierze pan z sobą do Europy?

- Nic tak egzotycznego, jak można byłoby przypuszczać - odpowiedział. - Głównie cukier i bawełnę. Na to zawsze jest rynek zbytu.

- Nic dziwnego, że piraci czyhają na każdy statek.

- Och, to prawda. To rzeczywiście plaga tych okolic. Rozbój szerzy się na niestychaną skalę i dlatego kupieckie statki są wyposażone w działa i płyną konwojami.

- Kiedy zamierza pan ponownie zjawić się w Indiach Zachodnich?

- To moja ostatnia podróż. Rzucam morze. Zaskoczył ją tymi słowami.

- Ach! Dlaczego?

- Obowiązki zmuszają mnie, żebym o wiele więcej czasu spędzał w rodzinnym Kent. Od wielu lat tułałem się po oceanach, więc strach pomyśleć, co się stało z moją posiadłością. Chcę doprowadzić ją do ładu.

- Proszę wybaczyć, kapitanie, moje zaskoczenie, lecz wydawało mi się, że jest pan żeglarzem z krwi i kości. Nie żal panu po tak długim czasie na zawsze zejść z pokładu?

Stuart popatrzył na nią spod oka.

- Przyznaję, że to może być troszeczkę trudne -odparł.

- A nie może pan zatrudnić zarządcy? Nie ma pan brata, który mógłby objąć pieczę nad majątkiem?

Stuart zeszywniał lekko.

- Zatrudniłem zarządcę, a brata, niestety, nie mam- odpowiedział sztywno. Cassandra domyśliła się, że mimo woli dotknęła bolesnej sprawy. - Moja matka większość czasu woli spędzać wśród przyjaciół w Londynie.

- Rozumiem. - Cassandra zastanawiała się, co sprawiło, że nagle spoważniał. Nie chciała jednak wtykać nosa w jego prywatne sprawy. - Co pan potem zrobi ze statkiem? Sprzeda go pan?

- , Jastrząb Morski" zostanie kupiony przez kompanię. A co z panią, panno Everson? - Smart usiadł wygodniej na krześle i delikatnie, choć stanowczo skierował rozmowę na inny temat.

Widać nie zamierzał zbyt wiele mówić o sobie, a zwłaszcza o swojej rodzinie. - Sir John wspominał mi, że pani także ma zamiar opuścić Barbados.

- Naprawdę? - Cassandra bacznie spojrzała na kuzyna. W tej samej chwili zrozumiała wcześniejsze słowa kapitana Marstona.

- Tak - szybko powiedział John. Żałował teraz, że nie porozmawiał z kuzynką przed przyjściem gościa.

- Spytałem kapitana Marstona, czy byłby łaskaw zabrać dwie dodatkowe osoby na pokład „Jastrzębia Morskiego”. Chodziło mi o ciebie i o Rosę. O wasz powrót do Anglii.

- Co ty wygadujesz? - Cassandra z niedowierzaniem popatrzyła na Marstona, jakby u niego szukała potwierdzenia tej zaskakującej wiadomości. Stuart przypatrywał jej się z kpiącym błyskiem w czarnych oczach.

- Przecież od razu ci mówiłem, że tutaj nie zostaniesz. Wolę, byś była znów bezpieczna, z powrotem w Londynie, pod opieką Meredith.

- Wszystko jasne - powiedziała Cassandra lodowatym tonem i spojrzała gniewnie na Stuarda. - Mam nadzieję, że znajdzie pan wolną kajutę.

- Oczywiście. Z wszelkimi wygodami. Będę zaszczycony pani towarzystwem. - Pośpiech, z jakim sir John chciał się pozbyć kuzynki, stawał pod znakiem zapytania wcześniejsze podejrzenia, że łączy ich coś więcej. Nieco uspokojony Stuart uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dziękuję. Zatem w tej sprawie nie ma nic więcej do dodania. - Cassandra popatrzyła w bok, gdyż nie mogła już znieść spojrzenia jego pałających oczu. Skoro musiała wracać do Anglii, to chociaż dobrze, że z Marstonem.

W tym momencie rozmowa urwała się, bo właśnie weszła Elmina, żeby powiedzieć coś Johnowi. Cassandra skorzystała z okazji, przeprosiła obu dżentelmenów i wyszła na werandę. Z ulgą odetchnęła chłodnym powietrzem. W pawilonie było bardzo gorąco. Lampy zawieszane pod dachem na poprzecznej belce dawały migotliwe światło, które wabiło roztańczone ćmy. Cassandra usłyszała za sobą ciche skrzypienie desek podłogi i domyśliła się, że kapitan Marston wyszedł za nią.

Stał obok i oparł się o drewnianą balustradę. Spod oka spojrzał na Cassandrę. Zobaczył jej uroczy profil na tle rozgwieżdżonego nieba. W bladej księżycowej poświacie jej twarz emanowała blaskiem, niczym wyrzeźbiona z alabastru. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się słowem. Cisza trwała, przerywana jedynie głosami nocnych ptaków.

W przyćmionym świetle Stuart rozkoszował się widokiem Cassandry. Pożerał wzrokiem jej ręce i ramiona, niemal tak gładkie jak najprzedniejsza kość słoniowa. Przez suknię widział zarys kształtnego młodego ciała. Życie nauczyło go, że damy z towarzystwa, mimo pozorów atrakcyjności, są puste i nijakie. Do tej grupy nie zaliczał jedynie własnej matki, kobiety pobożnej i nad wyraz oddanej rodzinie. Poza tym gardził ciągłym plotkowaniem i uganianiem się za nowinkami mody.

Cassandra Everson była zupełnie inna. Prawdę mówiąc, nie przypominała żadnej ze znanych mu kobiet. Zresztą żadna nie wpadłaby na pomysł, by odwiedzić kuzyna gdzieś na krańcach świata. Była odważna, porywcza i piękna. Stuart nie mógł oderwać od niej oczu. Sycił wzrok jej widokiem, jakby dopiero teraz odkrywał tajniki kobiecej urody.

Rzecz jasna pragnął czegoś więcej niż uśmiechów i zdawkowego pocałunku, który mógł złożyć na jej dłoni. Chciał ją traktować delikatnie niczym wspaniałe dzieło sztuki, lecz marzył też o tym, by porwać ją w ramiona i zamknąć w namiętym uścisku.

- O czym pani teraz myśli? - zapytał po dłuższej chwili.

- Och. - Westchnęła. - O tym, jak piękna jest dzisiejsza noc, i o tym, że muszę stąd wyjechać. Żal mi porzucać tę wspólną wyspę.

- Nie chce pani wracać do Anglii? Czy też niechętnie myśli pani o moim towarzystwie?

Popatrzyła na niego.

- Niechętnie? Skądże! Przecież pan nic tu nie zawinił. Skoro John nie chce, żebym została...

- Domyślam się, że sir John jest pani prawnym opiekunem. Wychował panią?

- Wychowywali mnie wuj i ciotka, rodzice Johna. Oboje jednak zmarli, kiedy byłam dziewczynką. Od tamtej pory John przejął nade mną opiekę.

- Kochała pani wuja i ciotkę? Przez twarz Cassandry przemknął cień smutku.

Niechętnie powracała do przeszłości.

- Nie. Wręcz przeciwnie, nie lubiłam ich. Wuj był niezwykle surowym i zasadniczym człowiekiem, a na mnie nie zwracał prawie żadnej uwagi. Ciotka... Nienawidziłam jej - powiedziała ciszej. Głos zdrzął jej z emocji. - Bez przerwy mi dokuczała. Nasza rodzina skłóciła się podczas wojny domowej; niektórzy krewni stanęli po stronie króla. Po śmierci ciotki praktycznie nie było już nikogo, kto mógłby się mną zająć. Pozostali mi tylko John i Meredith. A kądziwość ciotki sprawiła, że stałam się uparta i samowolna. Jak więc pan widzi, kapitanie Marston - dokończyła z cynicznym uśmiechem - nikt nie zdołał złamać we mnie ducha. Mówiła suchym i rzeczowym tonem, ale Stuart doskonale wiedział, że w domu ciotki musiała zaznać krzywd i poniżenia. Zobaczył smutek w jej pięknych oczach i pokiwał głową ze współczuciem.

- Sir John wspominał mi, że pani ojciec zginął pod Worcester, broniąc sprawy króla, zaś matka zmarła przy połogu. Nie znała pani własnych rodziców.

Cassandra lekko zmrużyła oczy i przypatrzyła mu się ze spokojem. Zatem to tak, pomyślała. John chciał zachować w tajemnicy prawdę o jej pochodzeniu. Z wyjątkiem jego, Meredith, kilku wścibskich sąsiadów z Chelsea, Rosy i załogi „Delfina” nikt nie powinien wiedzieć, że Cassandra Everson jest córką osławionego Nathaniela Wylde'a.

John wstydził się powinowactwa z piratem i wciąż jej przypominał, że dla własnego dobra nie powinna z nikim rozmawiać o przeszłości. Cassandra była mu posłuszna, ale bolało ją, że musi zachować w głębi serca wspomnienia o człowieku, z którym wiązały się najszcześniejsze chwile jej życia.

- Tak, nie znałam - odpowiedziała na ostatnią uwagę Stuarta i uśmiechnęła się. Lekki powiew wiatru zmarszczył jej spódnicę. - Wuj i ciotka byli purytanami fanatycznie wierzącymi w Boga. Naszym życiem kierowała Biblia. Gdyby wiedzieli, że po cichu wyjadę na Barbados i zamieszkać gdzieś na plantacji pośród niewolników, uznaliby to za ciężki grzech i przewinienie. - Z kpiącym uśmiechem pokiwała głową. - Johnowi też by się dostało. Zwłaszcza za Elminę.

Stuart zmarszczył brwi i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Elminę?

- Tę Mulatkę, która podawała nam do stołu przy kolacji. To podobno służąca Johna, ale podejrzewam, że są kochankami. To dlatego John nie spieszy się z wyjazdem do Anglii. Nie zauważył pan tych jego spojrzeń? Co chwila wodzi za Elminą rozkochanym wzrokiem.

- Przyznam szczerze, że niczego nie zauważyłem - odparł Stuart. - Patrzyłem na coś innego.

Cassandra zrozumiała znaczenie tej wypowiedzi i na moment wstrzymała oddech. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

- Oczywiście sam mi tego wyraźnie nie powiedział - dokończyła, żeby pokryć zakłopotanie. - Pewnie wychodzi z założenia, że to zbyt osobista sprawa, aby omawiać ją nawet ze mną.

- Ich zażyłość pani nie przeszkadza - zauważył Stuart - co mnie dziwi. Większość londyńskich dam, które poznałem, uznałaby to za skandal.

Cassandra zmrużyła oczy i rzuciła mu ostre spojrzenie. Policzki piekły ją żywym ogniem, uznała bowiem słowa Stuarta za naganę. Zdawało jej się, że usłyszała ironię w jego głosie. Zapanowała nieprzyjemna cisza. Pierwszy raz doszło między nimi do nieporozumienia.

- W takim razie nie zazdroścę panu towarzystwa, w którym na ogół się pan obraca, kapitanie Marston - lodowatym tonem odezwała się Cassandra. - To musi być śmiertelnie nudne. Pańskie damy zapewne rozprawiają wyłącznie o chorobach albo fatałaskach. Ja, niestety, nie należę do tej sfery.

- To nie był przytyk - rzekł Stuart. - Chociaż... nabieram przekonania, że istotnie ma pani diabła za skórą.

- Cieszę się, że pan to wreszcie zauważył. Być może nie powinnam tak bardzo uciszać Johna, kiedy głośno wyliczał wszystkie moje wady. Dowiedziałby się pan czegoś więcej.

- Zatem nie kłamał? - Stuart z uśmiechem patrzył na jej gniewną minę i wojowniczo zaciśnięte usta. - Jest pani uparta, krnąbrna i nieposłuszna. Lubi pani postawić na swoim.

- Zgadza się. To właśnie ja. Sąsiedzi w Chelsea i byli zaszokowani, gdy dowiedzieli się, co robię w wolnych chwilach.

- Och. Naprawdę?

- Oczywiście. John ciągle gorszy się moją kolejną eskapadą. Łowię ryby. Poluję. Wkładam spodnie i włóczę się konno po całej okolicy. Tego Meredith nie może przeżyć. Najczęściej mówię to, co myślę. Od śmierci ciotki już nie muszę się krępować. Nie przepraszam za to, kim naprawdę jestem i co robię, bo tego się nie wstydzę. Bardzo mi przykro, jeżeli jest pan innego zdania, ale nic na to nie poradzę.

Stuart przechylił głowę i popatrzył na nią ze źle skrywanym rozbawieniem.

- Oj, coś mi się zdaje, że próbuje pani mnie czymś zaskoczyć, panno Cassandro - odezwał się spokojnie. - A i tak wiem już wszystko.

- Umie pan czytać w moich myślach?

- Można by tak powiedzieć. Odczuwam coś na kształt współczucia dla sir Johna, bo na pewno ma z panią skaranie boskie. To chyba nic dziwnego, że chciałby się pani pozbyć. Na pewno z niecierpliwością czeka, że wreszcie wyjdzie pani za mąż.

Cassandra popatrzyła na niego uważniej. Twarz miał ukrytą w cieniu, ale widać było, że się uśmiecha. Oczy błyszczały mu w słabym świetle. W dalszym ciągu niedbale opierał się o balustradę, krzyżując ręce na szerokiej piersi. Wyglądał tak wspaniale, że Cassandra zapomniała o złości. Ciekawe, jak to jest naprawdę kochać i być kochaną przez takiego właśnie mężczyznę? - przemknęło jej przez głowę.

Kapitan Marston bez wątpienia był silny, pewny siebie i miał poczucie humoru, które rozpałało błyski w jego czarnych oczach. Na pewno nie bał się niczego i przez całe życie poszukiwał przygód. W pewnym sensie przypominał Nathaniela Wylde'a - z tą różnicą, że miał w pogardzie piratów.

- Nie dziwią pana moje słowa, kapitanie Marston? - Cassandra spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich jedynie rozbawienie. Po chwili Stuart parsknął głośnym, szczerym śmiechem i napięcie znikło.

- Ani trochę. Mówiłem już, że mam na imię Stuart. Droga Cassandro, raczej pociągasz mnie, niż odstręczasz swoim zachowaniem. Zresztą wiesz o tym. Ja zaś wiem, że ci się podobam. Cassandra umknęła wzrokiem. Nie potrafiła dłużej znieść jego spojrzenia. Nagle odkryła w sobie coś, czego nie rozpoznawała. Jakiś przedziwny wstyd albo nieśmiałość. Własna niemoc wprawiła ją w zakłopotanie.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Ależ rozumiesz, moja miła. Nie musisz przede mną udawać. Powiedz szczerze, co o mnie sądzisz?

- Widzimy się po raz drugi. To chyba jeszcze trochę za wcześnie, żeby wyrobić sobie zdanie.

- Oba spotkania były niezwykle. Wywarłaś na mnie wielkie wrażenie i podejrzewam, że nie jestem ci obojętny. Intrygujesz mnie. Powiedz zatem, czy nie chciałabyś zostać moją żoną? Cassandra popatrzyła na niego w osłupieniu. Wokoło panowała cisza, przerywana jedynie głosami nocnych ptaków.

Stuart uśmiechnął się.

- No cóż - odezwał się cichym i uwodzicielskim tonem - nie bardzo wiesz, co odpowiedzieć?

- Pan... pan żartuje, kapitanie - odezwała się zduszonym szeptem.

- Nie zwykłem żartować w tak poważnych sprawach.

Mimo to wciąż się uśmiechał, jakby z lekką przekorą i przypatrywał jej się spod zmrużonych powiek. Cassandra wyczuwała jednak, że to były jedynie pozory. W rzeczywistości z niecierpliwością czekał na jej odpowiedź. Podziwiała jego hart ducha. Oświadczył jej się tak spokojnie, jakby zapraszał ją na krótki spacer po ogrodzie. I to właśnie było najgorsze.

Pociągał ją do szaleństwa. Wbrew rozsądkowi, wbrew konwenansom. Cassandra złękła się własnych myśli i uczuć. Czuła się słaba i bezbronna - zdana na łaskę i niełaskę Stuarta Marstona. To było dla niej coś nowego. Stuart emanował niespożytą, niemal dziką siłą i mógł zawrócić w głowie niejednej kobiecie. Podniecał ją, miał nad nią władzę i przyparował o dreszcz emocji, jakby już samą swoją obecnością stanowił pewne zagrożenie.

Tym razem nie chodziło wyłącznie o przygodę. Stuart poprosił ją o rękę, więc od tej decyzji już nie będzie odwrotu. Cassandra chciała iść za głosem serca, choćby na przekór wszelkim przeciwnościom, ale nie mogła.

- Jeśli naprawdę szuka pan żony, to przecież nie brak pięknych kobiet - powiedziała, siląc się na beztroskę.

- Och, nie. Pragnę jedynie tej, która przypadła mi do serca - odparł powoli. - Co prawda, mam pewne doświadczenia, lecz ty, Cassandro, pod każdym względem przewyższasz wszystkie znane mi damy. W przeszłości wiele żeglowałem i odwiedziłem wiele portów. Nieraz całymi miesiącami byłem na morzu, wypatrując lądu. A mimo to aż do tej pory nie spotkałem żadnej, którą naprawdę chciałbym za żonę.

- Nie wie pan o mnie jeszcze wielu rzeczy. W przeciwnym razie nie należałby pan na małżeństwo.

Stuart roześmiał się, przekonany, że mówiła o zwykłych dziewczęcych psotach.

- Chętnie podejmę to ryzyko.

- A ja nie. To niemożliwe.

- Niemożliwe? Dlaczego?

- Cóż, tego nie mogę zdradzić. Proszę nie pytać. Zdawało mu się, że w jej oczach dostrzegł cień bólu. Widocznie miała wspomnienia, do których nie chciała wracać.

- To mi zupełnie nie przeszkadza.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Naprawdę sądzi pan, że odpowiem „tak” na pańską szaloną propozycję?

- Nie ma w niej nic z szaleństwa. Wręcz przeciwnie, wszystko starannie przemyślałem, zanim zadałem pytanie.

- Ale... Powtarzam, przecież pan mnie nie zna! Jesteśmy sobie całkiem obcy i spotkaliśmy się przez przypadek. Proszę wybaczyć moje zaskoczenie, lecz każdy na moim miejscu by się zdziwił. W świetle księżycy oczy Stuarta połyskiwały tajemniczym blaskiem.

- Nie wierzę w przypadki - powiedział niskim, uwodzicielskim głosem. - To przeznaczenie zawiodło mnie nad Zatokę Bridgetown, żebym wyłowił cię z tonącej łodzi. W stosownym czasie wyjdzie na jaw, co się naprawdę za tym kryje. W podobnych razach działam bez zastanowienia. Pragnę cię, Cassandro Everson. Pragnę od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. To mi wystarczy.

- Wciąż zachowywał się spokojnie, lecz patrzył na nią wyczekująco. - Jesteś piękna, powabna i fascynująca. Prostolinijna i niepokornego ducha. To chyba w tobie cenię i podziwiam. Oczy masz tak błękitne, jak wody oceanu wokół Karaibów. Urzekłaś mnie. Słyszysz? Urzekłaś. Dokonałaś czegoś, co dotąd nie udało się żadnej kobiecie.

Cassandra zduszonym śmiechem zbyła te komplementy, lecz coś podpowiadało jej, że nie są to tylko puste słowa. Poczowała, że jej serce mięknie. W uszach dźwięczał jej ciepły, niemal pieszczotliwy ton jego głosu.

- Przecież to zwykły nonsens, panie kapitanie - szepnęła. - Na pewno wszystkim prawi pan gładkie słówka.

- Krzywdzisz mnie takim posądzeniem. Lepiej pomyśl o czymś innym. O tygodniach, które spędzimy razem na pokładzie „Jastrzębia Morskiego” o rozkoszach, które nas czekają. Żadne z nas na pewno się nie rozczaruje.

- Nadzwyczaj śmiało pan sobie poczyną, kapitanie Marston.

- Powiem od razu, że nie jestem święty. Lubię brać to, co wydaje mi się godne uwagi. Bywam uparty i ostrzegam, że przede mną łatwo nie uciekniesz.

- Nie ucieknę? Sugeruje pan, że jestem pańskim więźniem?

- Nie. - Zacisnął usta. - To raczej ja dostałem się w niewolę.

Cassandra roześmiała się i z niedowierzaniem pokręciła głową.

Stuart błysnął białymi zębami w uroczym uśmiechu.

- Jesteś okrutna, Cassandro Everson.

- To nieprawda. Muszę się bronić, bo przecież nie znam pana prawdziwych intencji. Dlaczego pan chce się ze mną żenić? Przecież nie mam posagu. Jestem bez pensa przy duszy.

- To dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Mój majątek starczy dla nas obojga. Zanim wyjechałem z Anglii, matka dała mi do zrozumienia, że powinienem znaleźć sobie żonę. Czeka na wnuka i następcę. Jestem głęboko przekonany, że z radością przyjmie mój wybór. Sama więc widzisz, że teraz wszystko zależy od twojej zgody.

Stał bardzo blisko. Cassandra wyraźnie czuła jego zapach i ciepło bijące od ciała. Przyciągał ją niczym magnes. Szybko zrobiła krok do tyłu, żeby nie znaleźć się w pułapce. Stuart spoglądał na nią z wyczekiwaniem, bo przecież dalszy los obojga zależał od jej odpowiedzi. Ona zaś wyczuwała, że stojący obok niej mężczyzna też w głębi duszy chowa tajemnicę.

Mimo wszystko nie mogła go poślubić. Prawdę mówiąc, dopiero teraz w pełni zrozumiała, że nie wolno jej słuchać podszeptów serca, że w przyszłości będzie musiała poważnie się zastanowić,

zanim wyjdzie za mąż. Wciąż wisiał nad nią ponury cień ojca. John okłamał Stuarta, że starszy „pan Everson” zginął pod Worcester, broniąc sprawy króla. A gdyby Stuart przypadkiem odkrył prawdę? Gdyby dowiedział się, że jej ojciec był postrachem mórz i piratem?

Na pewno nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzyjaźniłby się z córką Nathaniela Wylde'a. A co zrobiłby kapitan Stuart Marston, usłyszawszy, kim w rzeczywistości jest jego żona? Wszak w jego oczach zasłużyłaby tylko na wzdrgnięcie. Co gorsza, miałby rację. Nie powinna go karmić kłamstwem. Zresztą nie chciała tego.

- Wierzę, że jest pan człowiekiem śmiałym i przywykłym do rozkazywania. Widzę to, rozumiem i doceniam, ale powiadam po raz wtóry: nie wyjdę za pana. Przykro mi.

Stuart chciał spojrzeć jej prosto w oczy, lecz Cassandra przezornie przymknęła powieki. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, jakby próbował zapamiętać jej doskonałe rysy.

- Mnie także - mruknął - ale to nie koniec. Nie poddam się tak łatwo i coś mi podpowiada, że nie będziesz mi się opierać zbyt długo. Jutro wrócimy do naszej rozmowy.

- Jutro?

- Dzisiejszą noc spędzę tutaj, w pawilonie. Sir John zaprosił mnie rano na przejażdżkę w twoim towarzystwie. Oczywiście z radością przyjąłem tę propozycję.

Jego nadmierna pewność siebie i obojętność, z jaką przyjął kosza, rozdrażniły Cassandrę.

- Rozumiem. Chce pan ze mnie uczynić kolejną zdobycz?

Stuart ze spokojem wysłuchał tej uwagi. Postąpił krok naprzód i stanął tuż przed Cassandrą.

Górował nad nią wzrostem i posturą.

- Zdobycz? Mylisz się, Cassandro. Źle odczytałaś moje intencje. Nie mam zamiaru cię zdobywać siłą i wcale nie chcę, żebyś się broniła. W życiu człowieka szczęśliwe są tylko te chwile, które dobrowolnie dzieli z ukochaną osobą. Chcę, abyś była mi prawdziwą żoną i partnerką.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli Cassandra nie uległa jego słowom.

- To niczego między nami nie zmienia, kapitanie Marston. Nie mogę wyjść za pana.

- W takim razie musisz być ostrożna. Użyję wszelkich dostępnych mi środków.

- Nawet przemocy?

Twarz rozjaśnił mu powolny uśmiech.

- Może. Ale poważnie: jestem sprytny i uparty. Nigdy nie cofam się z obranej drogi i teraz także tego nie zrobię.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stuart długo stał na werandzie, patrząc w ciemność i mocno zaciskając usta. Sam nie wiedział, co mu się stało, że tak bardzo pragnął Cassandry. Zżymał się na myśl, że mogłaby należeć do innego. A przy tym chodziło o coś więcej. Byli duchowo spokrewnieni.

Dobry Boże, co się ze mną dzieje? - pomyślał. Mam trzydzieści lat i sypiałem z tak wieloma kobietami, że nigdy bym ich nie zliczył. Co mi się stało, że jak młodzieniaszek smalę cholewki do tej dzierlatki? Muszę ją zdobyć, bo zwariuję. Jak dotąd żadna mi się nie oparła. Dlaczego nie potrafię zdobyć panny Everson, chociaż uważam się za zręcznego uwodziciela i kochanka? Może się pomylił? Nie. Zmrużył oczy i pokiwał głową. Wiedział już, co powinien zrobić.

Cassandra wstała bardzo wcześnie, o wschodzie słońca, by jak najlepiej przygotować się do przejażdżki. Trochę się obawiała powtórnego spotkania ze Stuartem, więc z wdzięcznością przyjęła propozycję lady Julii, żeby pojechać w większym gronie. Co prawda, Rosa czuła się

znacznie lepiej, lecz nie na tyle, aby dosięść konia. John i Stuart czekali przed frontowymi drzwiami. Przeprowadzili ze sobą konie. Cassandra pochwyciła zachwycone spojrzenie Marstona i już nie żałowała minut spędzonych przed lustrem. Na ten dzień wybrała najładniejszą suknię, z czerwonego jedwabiu.

- Do twarzy ci w niej - zauważył Smart, kiedy usadowiła się na damskim siodle. - Cieszę się, że jedziemy razem. Zapowiada się uroczy ranek.

Z początku chciała potraktować go bardziej oficjalnie, ale rozbroił ją swoim zachowaniem. Przypominał niesfornego chłopca.

- Ponoć na północ od parafii jest piękna okolica. Warto tam pojechać - odparła.

John przedstawił Stuarta lady Courtly, która jak zwykle wyglądała kwitnąco i świeżo. Nigdy się nie pociła, bez względu na upały. Z uznaniem popatrzyła na młodego i przystojnego kapitana. Jadąc obok Cassandry, uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

- Piękniś z niego, choć to ciemne i nieco groźne piękno. Wyczuwam w nim coś niebezpiecznego... jakby był piratem. Zgadzasz się ze mną?

Cassandra odpowiedziała jej uprzejmym skinieniem głowy. Rzeczywiście, trudno było zaprzeczyć tym słowom. Stuart Marston był śniady, barczysty, ciemnowłosy i miał wyzywający uśmiech. Brakowało mu tylko kolczyka w uchu i kordelasa w ręce, żeby stał się podobny do pirata, na przykład takiego jak Nathaniel Wyld.

John spojrzał w niebo, po którym lekki wietrzyk ze wschodu pędził białawe strzępki chmur.

- Wspaniała pora na przejażdżkę - oznajmił. - Chociaż w ciągu dnia na pewno będzie padać. Lepiej nie oddalajmy się za bardzo.

Cassandra raz po raz spoglądała na Stuarta, który wraz z Johnem wysforował się nieco naprzód. Jechał na rosnącym gniaszku, odziany w czerń - od butów z cholewami, aż po wstążkę na szerokoskrzydłym kapeluszu. Co prawda, nie zmieniła zdania, lecz gdzieś w głębi serca czuła, że nie potrafi mu się przeciwstawić.

Jechali wśród łagodnie szumiącej trzciny cukrowej. Poranek był rześki i chłodny. Kręta droga zawiodła ich pod wysokie palmy, w cień gęstych krzewów i jaskrawych kwiatów. W górze latały kolorowe motyle, a w gałęziach drzew świergotały dziesiątki egzotycznych ptaków.

W pewnej chwili spotkali grupkę ludzi, zdążającą w przeciwną stronę. Julia zobaczyła kilka znajomych twarzy, więc zatrzymała się na krótką pogawędkę. Przedstawiła Cassandrze i Stuarta. John przyłączył się do rozmowy, młodzi zaś, pozostawieni sami sobie, bezwiednie pojechali dalej.

Konie szły równym powolnym krokiem. Nad głowami jeźdźców zamknął się baldachim splątanych liści i droga utonęła w cieniu. Zapadła cisza. Cassandra nagle uświadomiła sobie, że od pewnego czasu nie słyszy głosów Johna i Julii. Z niepokojem zerknęła na swego towarzysza. Nie była pewna, dlaczego wcześniej się nie zatrzymał, żeby poczekać na pozostałych uczestników przejażdżki. Właśnie minęli kolejne rozwidlenie ścieżki. Łatwo było zabłądzić w tym gąszczu.

Cassandra szybko spojrzała przez ramię, lecz nie zobaczyła Johna i Julii. Szlak był pusty. W pierwszej chwili miała ochotę zawrócić i pogalopować z powrotem na plantację, ale Stuart jechał zbyt blisko i na pewno by ją dogonił.

- Chyba za bardzo się oddaliliśmy - zauważyła. - Nie sądzi pan, że powinniśmy stanąć i poczekać? John i Julia nie znajdą nas w tej głuszy. Nic pana to nie obchodzi?

- Nic a nic - cicho odparł Stuart. - Nie masz najmniejszych powodów do obaw. Przy mnie jesteś bezpieczna.

Cassandra postanowiła, że nie da się wziąć na lep słodkich słówek i kłamstw, którymi karmił ją od wczoraj. Chciał ją za żonę? Za wszelką cenę? Przeszył ją dreszcz podniecenia. Dobrze byłoby mieć takiego męża. W tej samej chwili przed oczami stanął jej obraz egzekucji Nata.

Zaczerwieniła się, zawstydzona własnymi myślami i spojrzała przed siebie. Nie zamierzała być bezwolnym pionkiem w grze kapitana Stuarta Marstona.

- Specjalnie mnie tu sprowadziłeś, prawda, Stuarcie? - spytała. Pierwszy raz odezwała się do niego po imieniu.

Błysnął zębami w buńczuczny uśmiech.

- Widzę, że umiesz czytać w moich myślach.

- To był paskudny podstęp. Uważasz mnie za głupią gąskę?

- Ależ skądże! Nie mów tak, Cassandro. Jestem tobą bez reszty urzeczony i chcę cię poznać odrobinę lepiej. Oczarowałeś mnie niczym syrena z dawnych morskich legend. Było mi smutno, kiedy wczoraj tak stanowczo odrzuciłaś moje oświadczenia, lecz potem pomyślałem, że może z czasem zmienisz zdanie. Widząc, że lady Julia i sir John zostali w tyle, skorzystałem z okazji, żeby cię tu zabrać i adorować w ciszy, z dala od ludzkich spojrzeń.

Cassandra bezskutecznie starała się zachować spokój. Głos zdrzął jej z emocji.

- A cóż to za zuchwałość?! - rzuciła podniesionym tonem. - Nie boisz się gniewu Johna? Jak możesz zachowywać się tak głupio?

Stuart wydawał się rozbawiony tą gwałtowną reprimendą, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Kiedy pobędziesz ze mną dłużej, przekonasz się, że nie zwykłem tak szybko rezygnować ze swoich zamiarów. Wolę iść prosto do celu i niechętnie zawracam z raz obranej drogi.

Zniknął ostami promień słonecznego blasku. Na niebie gromadziły się ołowiane chmury. Nagle zerwał się przenikliwy wiatr i Cassandra poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu. Wstrzymała konia i z wyczekiwaniem spojrzała na Stuarta, który w ogóle nie zwracał uwagi na kaprysy pogody.

- Musimy wracać - powiedziała. - Za chwilę będzie ulewa. John i Julia na pewno się o nas martwią.

Stuart spojrzał w pociemniałe niebo i pokręcił głową.

- Nie ma już na to czasu. Przemokniemy do suchej nitki, zanim dotrzemy na plantację.

Jakby na potwierdzenie jego słów deszcz zaczął padać coraz mocniej.

- Lepiej poszukać w okolicy jakiegoś schronienia. Uśmiechnął się i obrzucił Cassandrę przeciągłym

spojrzeniem, które zdawało się przenikać przez jej jedwabną suknię.

- Nie chcę. Nie mogę tutaj zostać sama z tobą. To niewłaściwe.

- Nie pora teraz na sprzeczki - odparł. - Mam w sobie mocno zakorzeniony instynkt samozachowawczy, który mi podpowiada, żebym jak najszybciej rozejrzał się za kryjówką. Chcesz zmoknąć? Chodź, znam odpowiednie miejsce.

Cassandra przerażona tym, że zostanie sama ze Stuartem, nawet nie zapytała, skąd tak dobrze znał wszystkie drogi i ukryte ścieżki biegnące w pobliżu plantacji.

- Nie. Nie mogę. - odpowiedziała niemal bez tchu, cichym i roztrzęsionym głosem. Dobrze wiedziała, że w tej sytuacji jej upór jest po prostu śmieszny, ale nie była aż tak naiwna, by nie zdawać sobie sprawy ze wszystkich niebezpieczeństw.

Tymczasem Stuart nie nalegał dłużej. Głuchy na jej prośby o jak najszybszy powrót, odwrócił się i spokojnie podjechał do splątanej kurtyny pnączy, zwisającej z wysokiej skały. Tam przystanął, zerknął na Cassandrę i wyjaśnił, że za zieloną ścianą kryje się labirynt jaskiń, w których bez wątpienia znajdą schronienie przed deszczem. Zanim skończył mówić, błyskawica przecięła niebo i głuchy grzmot przetoczył się nad wzgórzami. Deszcz zmienił się w ulewę i mgnieniu oka przemoczył ich do suchej nitki. Stuart zwinnie zeskoczył z siodła i pomógł zsiąść Cassandrze. Wciąż nieco się opierała. Stuart odgarnął ręką pnącza i delikatnie, lecz stanowczo popchnął ją do środka.

- Zaczekaj tutaj, a ja uwiążę konie pod tamtym nawisem.

Cassandra, na wpół oślepiona deszczem, niepewnym krokiem weszła do jaskini. Mokre włosy lepiły jej się do twarzy. Kiedy oczy przywykły do półmroku, zobaczyła ogromną grootę, w której na dobrą sprawę mogła się pomieścić co najmniej setka ludzi. W zasadzie nie była to jedna grotka, ale cały labirynt większych i mniejszych jaskiń, przez stulecia powoli żłobionych przez wodę w stosunkowo miękkiej powierzchni piaskowca. Cassandra z zachwytem patrzyła na dziwaczne głazy i wielkie stalaktyty, zwieszające się ze sklepienia. Wokół panowała uroczysta cisza, zakłócana jedynie cichym szmerem spadających kropel.

Cassandra zdjęła kapelusz, otrząsnęła go z kropli deszczu i położyła obok siebie na kamieniu. Za sobą usłyszała ciche kroki. Odwróciła się szybko i zobaczyła Stuarta. Na lekko rozstawionych nogach stał w wąskim skalnym przejściu. Światło dnia miał za plecami, więc swoją barczystą sylwetką zadawał się wypełniać całą jaskinię.

- Tu będziemy bezpieczni aż do końca burzy.

Mówił cichym, spokojnym, ale dźwięcznym głosem, przywodzącym na myśl upalną noc pod gołym niebem. Odgarnął na bok spory kłęb pnączy, żeby w jaskini było więcej światła i dla pewności przycisnął go kamieniem. Zdjął kaftan i kapelusz. Rzucił je na ziemię. Cassandra przypatrywała mu się z zapartym tchem. Patrzyła na węzły mięśni, wyraźnie rysujące się pod białą koszulą, na szerokie ramiona i wąskie biodra. Stuart pochwycił jej spojrzenie i podszedł bliżej. Cofnęła się odruchowo.

- Skąd wiedziałeś o tej jaskini?

- Już kilka razy byłem na Barbadosie. Tę jaskinię pokazał mi parę lat temu jeden z tubylców, z którym włóczyłem się po okolicy. Służył mi za przewodnika.

- O co chodzi? - spytała ze zmarszczonymi brwiami, widząc jego znaczącą minę. Nadal przytłaczała ją swoją obecnością.

- Zdejmij suknię. Jest całkiem przemoczona. Cassandra przycisnęła rękę do piersi, gwałtownie pokręciła głową i cofnęła się jeszcze dalej.

- Nie zrobię tego - odpowiedziała zduszonym głosem. Wyglądam pewnie jak siedem nieszczęść, przemknęło jej przez głowę. Mokra, z włosami w strąkach.

- Rozbierz się - powtórzył Stuart spokojnym, lecz stanowczym tonem. - Jeśli się przeziębisz, to możesz nawet umrzeć.

Wyciągnął ręce, bez ceregieli odwrócił ją do siebie tyłem i zaczął rozpinać haftki. Cassandra zaprotestowała głośno, ale zanim się spostrzegła, rozległ się cichy szelest jedwabiu i została tylko w halce. Stuart pochylił się, podniósł z ziemi mokrą suknię i rozwiesił ją na olbrzymim głazie, w pobliżu wejścia do jaskini.

Po chwili wrócił. Powolnym, niemal czułym ruchem dotknął policzka Cassandry... i nagle poczuła jego gorące wargi na swoich ustach. Szarpnęła się do tyłu.

- Nie, Stuarcie. Natychmiast przestań! Czyżbyś chciał mnie zhańbić?

Ujął jej twarz w obie dłonie i powiedział namiętnie i z głębokim przekonaniem:

- Nie, Cassandro. Możesz być zupełnie pewna, że nie zrobię nic wbrew twojej woli. Nie wezmę od ciebie niczego, czego byś mi nie dała. Pomyśl tylko. Zdajesz sobie sprawę, jak okropnie cierpię przez twoją odmowę? Nawet sobie nie wyobrażasz. - Lekko musnął kciukiem jej policzek i Cassandra poczuła nagły dreszcz rozkoszy. - Chyba nie zaprzeczysz, że i z tobą dzieje się coś przedziwnego. Przestań mnie torturować, moja ukochana.

Pochylił się i dotknął ustami tego miejsca, które przed chwilą gładził opuszkiem palca. Potem uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Wabił, czarował i w tajemniczy sposób odbierał jej resztki siły. Rozbrajał łagodnym uśmiechem.

- Nie... nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiał - wyjąkała Cassandra - ale to szaleństwo - dodała, z trudem usiłując zachować resztki rozsądku.

- Masz rację. Oszalałem dla ciebie. - Znów złożył leciutki pocałunek na jej jedwabistej skórze. Cassandra czuła jego ciepły oddech.

- Pocałuj mnie - szepnął Stuart. - Jeden maleńki całus. Chyba mi tego nie odmówisz? Zamknęła oczy. Nie potrafiła zebrać myśli, ogarnęło ją gorąco. Jeden całus, powiedział Stuart. Tylko jeden. Nic więcej. Przecież nic się nie stanie. Nie! - odezwał się wewnętrzny głos. Nie ulegaj! Gdzie twoja godność? Lecz przecież jeden mały całus nie splami jej honoru. Stuart wyczuwał jej wahanie. Jeszcze w tej chwili mógł się wycofać i poskromić żądzę, lecz nie chciał. Był zbyt blisko zwycięstwa i słodkiej nagrody.

- Droga Cassandro - szepnął, zasypując jej zaczerwienioną twarz namiętnymi pocałunkami. - Pragnę cię... i ty mnie pragniesz.

Nerwowo potrząsnęła głową.

- Nie... nie...

- Dlaczego kłamiesz?

To nie jego słowa, lecz ton głosu sprawił, że się poddała. Nie potrafiła się dłużej bronić. Wabił ją swoim zachowaniem, czułością i pełnymi zachwyty spojrzzeniami. Cassandrę przeszedł dreszcz; wsparła dłonie na jego szerokiej piersi i lekko rozchyliła usta. Pierwszy pocałunek wyrwał jęk z jej gardła, jęk długo tłumionej rozkoszy.

Cassandra jeszcze nie знаła takich pocałunków. Smart powoli gładził ją po karku, prowokował, drażnił i używał wszelkich znanych sobie sztuczek, żeby nakłonić ją do uległości.

Wiedziona jego wprawną ręką, Ignęła do niego niczym ćma do światła. A że nie miała doświadczenia w trudnej sztuce miłości, to bezwiednie poddała się jego zakłębom i pieszczotom. Sprawił, że zapomniała o całym świecie i nie zauważyła, że w pewnej chwili Stuart wraz z nią osunął się na ziemię. Nie poczuła pod sobą chłodnej skały. Miała wrażenie, że spoczywa na miękkim puchu.

Stuart też dał się porwać uniesieniu. W pośpiechu pozbył się ubrania i rozebrał Cassandrę. Aż mu dech zaparło, kiedy ją ujrzał nagą. Nie potrafił oderwać spojrzenia od płaskiego brzucha i małych, ale jędrnych piersi. Była cudowna, w rozkwicie świeżej kobiecości, już nie dziewczynką, a przecież jeszcze nie całkiem niewiasta. Wiedział, że nikt przedtem nie widział jej w pełnej krasie. I oprócz mnie nikt nie zobaczy, obiecał sobie w duchu.

Cassandra jak przez mgłę widziała nad sobą męską, opaloną postać. Stuart spoglądał na nią z czułością połączoną z pożądaniem. Kiedy przygarnął ją do siebie, na chwilę zamarli w bezruchu, jakby na zawsze chcieli pozostać w tym przedziwnym miejscu, głowa przy głowie, ciasno objęci

ramionami. Potem Cassandra drgnęła lekko, a Stuart w odpowiedzi na to zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku.

Niezwykle delikatnie, choć pewnie, badał najskrytsze zakamarki jej ciała. Cassandra bez protestów znosiła te pieszczoty, nawet go zachęcała, wzdychając z rozkoszy. Stuart pamiętał, że jest dziewczyną, więc zachowywał się najczulej, jak umiał. Uniósł głowę, popatrzył w szeroko rozwarte niebieskie oczy i zobaczył w nich nieme przyzwolenie.

Jej usta były miękkie i słodkie, a skóra gładka niczym kosztowny jedwab. Stuart nie wahał się już dłużej. Cassandra tylko raz, pod wpływem chwilowego bólu drgnęła, na moment wyrwana z uniesienia. Potem ciasno objęła kochanka i razem z nim oddała się ekstazie.

Dopiero teraz w pełni zrozumiała, co znaczy kochać i być kochaną. Pojęła, jak szczęśliwa może być kobieta w ramionach silnego mężczyzny. Zapomniała o ojcu, o Anglii, o zmartwieniach. Wydawało jej się, że leci gdzieś wysoko, ponad światem, który na zawsze zmienił swoje oblicze od dnia poznania Stuarta Marstona.

Gdy opadły emocje, leżeli zdyszani, patrząc sobie w oczy, mocno przytuleni. Była to czarodziejska chwila, bez końca i bez początku, zanurzona we wszechobecnej ciszy. Wiedzieli jednak, że nawet najpiękniejsze chwile nie trwają w nieskończoność. Nie mogli na zawsze zostać ukryci przed światem w jaskini. Stuart z niedowierzaniem myślał o tym, co się stało. Nagle uświadomił sobie, że przestało padać. Promienie słońca wpadały przez odsłonięte wejście do grotty, ogrzewając ich nagie ciała.

Smart mocniej przytulił do siebie Cassandrę. Było mu wstyd, że z premedytacją uwiódł tak piękną, pełną życia, niewinną istotę.

Uwiódł? - pomyślał. To chyba zbyt łagodne słowo na określenie tego, co przed chwilą zrobił.

Niemal podstępem zwabił ją do jaskini, rozebrał i jak dzika bestia kochał się z nią na kamieniach. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby z nią trafić do sypialni. To, że

Cassandra oddała mu się z własnej woli, w niczym nie umniejszało jego winy.

Nikt inny tylko on ponosił pełną odpowiedzialność za to, co się stało. Od tej pory John Everson miał prawo żądać zadośćuczynienia.

Stuart pochylił się i pocałował Cassandrę w czubek głowy. Poruszyła się lekko i poczuł jej tętno na swojej piersi. Zrozumiał, że płakała. Łagodnie ujął ją pod brodę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie płacz, proszę. Ogromnie mi przykro. Popełniłem niewybaczalny błąd, choć muszę przyznać, że nigdy dotąd nie zaznałem tak wielkiego szczęścia. Za późno, żeby to naprawić. - Odgarnął kosmyk z jej czoła. - Dlaczego płaczesz? Coś cię boli?

Cassandra pokręciła głową i uśmiechnęła się przez łzy. To najpiękniejszy uśmiech, jaki widziałem w życiu, pomyślał Stuart i poczuł ogromną ulgę. Miód na moje skołatane serce.

- Zawsze płaczę, gdy jestem szczęśliwa - wyjaśniła. - Przybyłam na Barbados, bo chciałam uciec przed pustką i zniechęceniem. Moje życie było beznadziejne. Ty dałeś mi szczęście. Pierwszy raz poczułam się potrzebna i kochana. Potrzebowałam tego. Możesz być pewien, że bez względu na to, co się z nami stanie, tej chwili nie zapomnę aż do końca życia i niczego nie będę żałować.

Stuart spodziewał się raczej gorzkich wyrzutów niż rozgrzeszenia. Cassandra mówiła cicho, ale z takim uczuciem, że Stuart z niedowierzaniem spojrzał w jej szeroko rozwarte i błyszczące oczy. Każde słowo zapadało mu głęboko w serce.

- Jesteś niezwykle hojna, Cassandro - powiedział przez ściśnięte gardło. - Prawdę mówiąc, nie zasłużyłem na to, co dla mnie zrobiłaś. Gdybyś mi odmówiła. .. Gdybyś odepchnęła - zająknął się. - Na pewno nie wziąłbym cię siłą.

Cassandra odwróciła wzrok, bo wspomnienie miłosnych uniesień było w niej jeszcze zbyt silne i cudowne. Jestem rozwiązła, pomyślała. Rozwiązła, słaba i uległa, a jednocześnie mam ochotę znów oddać się rozkoszy.

- Mówiłeś mi, że też cię pragnę. - Westchnęła. - Nie pomyliłeś się. Budziłeś we mnie takie pożądanie, że nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Jakże miałam się przed tobą bronić? Postępowałam więc głosu serca, zapominając o rozsądku. Byłeś uparty, i to właśnie przypieczętowało moją klęskę.

Zauważyła, że Stuart skrzywił się przy ostatnich słowach i skwitowała to uśmiechem.

- Szczerze mówię to, co myślę. Miałabym kłamać w takiej chwili? Nie potrafiłam ci się oprzeć. Dałeś mi szczęście i spełnienie i chcę, byś to robił nadal.

- Wciąż mnie pragniesz, Cassandra? - spytał, chłonąc słodki zapach jej rozgrzanego ciała.

- Tak, chociaż wątpię, żebym zachowała dość sił, by wytrzymać twój następny atak -

odpowiedziała ze zduszonym śmiechem. Z ociąganiem uwolniła się z jego objęć i wstała. - Pora wracać. John zada nam masę pytań. Co mu powiemy?

Stuart milczał. Cassandra zastanawiała się przez kilka sekund.

- Niech to będzie nasz sekret. Kiedyś spojrzymy na siebie i uśmiechniemy się, przypominając sobie wspólnie spędzone chwile. Deszcz, jaskinię. Wspomnienie dzisiejszego dnia na zawsze zostanie z nami.

Włożyła jedwabne pończochy, halkę i suknię, która zadziwiająco szybko wyschła na rozgrzanych słońcem kamieniach. Potem spojrzała na Stuarta. Wstał i właśnie dopinał bryczesy. Wstrzymała oddech na widok jego wspaniałej męskiej postaci. Aż dziw bierze, jak dobrze nam było ze sobą, pomyślała. To chyba zaplanowano w niebie.

Nagle pociemniało jej w oczach ze strachu.

- Wiesz, co to znaczy? - spytała ochryple.

- Oczywiście, kochanie - odparł. Wziął ją w ramiona, odgarnął włosy i musnął ustami jej policzek.

- Teraz musimy się pobrać - szepnęła. - Chociaż moim zdaniem, w oczach Boga już jesteśmy mężem i żoną. Ślub będzie jedynie formalnością.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy usłyszała te tak proste słowa. A zatem Stuart nie zamierzał uwieść jej i porzucić, lecz chciał dotrzymać wcześniej złożonej obietnicy.

- Dziękuję - powiedziała krótko.

- Taka miłość jak nasza nie rodzi się na kamieniu. Należymy do siebie i żadna siła nas nie rozłączy. Tylko z tobą chcę spędzić resztę życia. Pragnę twojego ciała, umysłu i duszy.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- W dalszym ciągu nie potrafię uwierzyć, że bym mogła się komuś tak podobać.

- Mam cię przekonać? - Wycisnął na jej ustach kolejny pocałunek.

Cassandra odsunęła się na wyciągnięcie ręki i popatrzyła na niego z zadumą. Podobał jej się. Uwielbiała te jego czarne oczy i niesforny kosmyk opadający na czoło.

- Spróbuj - odpowiedziała. Pomimo tego, co między nimi zaszło, wciąż byli sobie obcy. Niemal nic o nim nie wiedziała i bardzo chciała się dowiedzieć.

Stuart uśmiechnął się na widok jej zafrasowanej miny.

- Wedle życzenia - odparł. - Dopóki nie zostaniesz moją prawną żoną, tu i teraz ślubuję żyć w pełnym celibacie. Tak nakazuje honor. Na dalszy ciąg będziesz musiała poczekać do nocy poślubnej. Wiem, że biorę na siebie niełatwe zadanie, lecz powetuję sobie to w małżeństwie.

Teraz muszę oszczędzać siły.

- Słabeusz z ciebie. - Zobaczyła przekorny błysk w jego oczach i serce zabiło jej trochę szybciej, gdy przycisnął usta do jej szyi.

- Nie martw się, szybciej, niż ci się zdaje, odzyskam dawną formę i kondycję. Z ochotą ci to udowodnię, kiedy będziemy poślubieni. Przed powrotem do Bridgetown porozmawiam z sir Johnem - powiedział, wkładając koszulę. - Im szybciej, tym lepiej.

- A jeśli odmówi?

Stuart uniósł brwi i uśmiechnął się z wyższością.

- Nie odmówi. Po pierwsze, zgodzi się przez wzgląd na ciebie, a po drugie, biada temu, kto chciałby mi cię odebrać!

Przez piękną twarz Cassandry przemknął cień niepokoju. Stuart przypomniał sobie wczorajszą rozmowę. Podświadomie wyczuwał, że na jej przeszłości zaciążyła smutna tajemnica. Nie zamierzał jednak domagać się wyjaśnień. Przynajmniej nie teraz. Wszystko w swoim czasie, pomyślał. Łagodnym ruchem ujął Cassandrę pod brodę i popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie bój się mnie, kochana. Przy mnie nie zaznasz krzywdy. Zostaniesz moją żoną?

Spojrzała na niego i z wolna zrozumiała, że na tę właśnie chwilę czekała całe życie. Tak, chciała go za męża, ale niech Bóg broni, aby kiedykolwiek miał poznać jej sekret.

- Tak, Stuarcie - odpowiedziała cicho. - Będę twoja.

John i Julia schronili się przed burzą w pobliskim domu jednego z przyjaciół Julii. John z lekkim niepokojem myślał o tym, że Cassandra została sam na sam z Marstonem, ale pocieszał się, że na pewno znaleźli jakąś kryjówkę przed deszczem i że nic się nie stało.

Przecież to dżentelmen, uspokajał się w duchu, a żaden dżentelmen nie zwabiłby dziewczyny -w dodatku jeszcze panny, z dobrego rodu - na odludzie, żeby...

Na szczęście tuż po deszczu wszyscy uczestnicy porannej wycieczki spotkali się na głównej drodze biegnącej przez plantację. John z ulgą wysłuchał wyjaśnień Cassandry i Stuarta. Uwierzył im bez zastrzeżeń i w pogodnym nastroju ruszyli do Courtly Hall. John spod oka przyglądał się jadącej przed nim Cassandrze i stwierdził, że mimo wszystko coś jednak się zmieniło.

Była cicha, jakby zamyślona. Na jej ustach igrał uśmiezek, a oczy błyszczały niecodziennym blaskiem, jakby patrzyła gdzieś w głąb świata niedostępnego dla zwykłych śmiertelników. Otaczała ją aura szczęścia. Raz porozumiewawczo zerknęła na Marstona. Zachowują się niczym para zadowolonych z siebie spiskowców, pomyślał John. Wprawdzie nie podejrzewał ich o nic złego, ale trochę się zaniepokoił.

Cassandra była młoda i niedoświadczona, ale mogła liczyć na opiekę Marstona. Kapitan nie posunąłby się aż do tego, by skompromitować kuzynkę angielskiego dżentelmena, który gościnnie przyjął go pod swój dach. Może połączył ich przelotny pocałunek? John nawet nie dopuszczał myśli, że doszło do czegoś więcej.

John był zaskoczony - i bardziej niż uradowany -kiedy kapitan Smart Marston oficjalnie poprosił go o rękę Cassandry. Bez wahania się zgodził i w duchu podziękował Bogu za taki rozwój wypadków. Ślub miał się odbyć jeszcze na Barbadosie, zanim konwój kupieckich statków wyruszy w drogę do Anglii.

W dniu wesela Rosa starannie wykąpała swoją przyjaciółkę i natarła jej skórę wonnym olejkiem o zapachu jaśminu. Później Cassandra włożyła białą suknię z cieniutkiej jedwabnej koronki, naszywaną małymi perełkami. Na szyi miała perłową kolbę, oprawioną w złoto, a na głowie delikatny welon, zwiewny niczym mgiełka, który nikomu nie przeszkadzał podziwiać jej pięknych włosów, spiętych z tyłu głowy w luźny pęk, zwieszający się niemal aż do talii.

Ślub stał się wielką atrakcją dla przyjaciół sir Johna

1 małżonków Courtly. Sir Charles i lady Julia stanęli na wysokości zadania i przygotowali wspaniałą ucztę weselną.

Stuart ubrał się odświętnie. Podczas ceremonii wystąpił w czarnych skórzanych spodniach i w czarnym kaftanie, sięgającym mu aż do kolan. Rękawy kaftana były haftowane złotem. Dumny jak paw, nie dostrzegał niemal nikogo z gości, wodząc rozkochanym wzrokiem za oblubienicą. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wejdą na pokład statku i znajdą się sam na sam w jego kajucie.

Słońce karmazynowa kulą wisało tuż nad widnokretem, kiedy szalupa z nowożeńcami przybiła do burty „Jastrzębia Morskiego”. Cassandra dopiero teraz ze strachem zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Było za późno, aby się wycofać. Została żoną człowieka, o którym prawie nic nie wiedziała.

Popatrzyła na niego. Siedział naprzeciwko Rosy, z twarzą zwróconą w stronę oceanu. Profil wyraźnie rysował się na tle zachodzącego słońca. Cassandra mimo woli dotknęła obrączki na palcu. Właściwie to był pierścień, nie obrączka, wysadzany brylancikami, z ogromnym szafirem pośrodku.

Przypomniała sobie spojrzenie, którym obdarzył ją Smart w chwili, kiedy wkładał jej pierścień na palec. Przypomniała sobie także miękki dotyk jego warg na swoich ustach, kiedy kapłan zezwolił im na tradycyjny pocałunek dla przypieczętowania związku. Wspomnienie to wystarczyło, żeby pozbyła się wszelkich wątpliwości.

Na brzegu pożegnała Johna, który odprowadził ją aż do portu. Zostawał na Karaibach, żeby pilnować interesów kompanii i bez przeszkód cieszyć się miłością pięknej Elminy. Chyba wyczuwał wahanie i wątpliwości Cassandry, bo dla dodania jej otuchy uściskał ją serdecznie i pocałował w policzek.

- Jedź i bądź szczęśliwa, kochana kuzynko. Masz dobrego męża, który na pewno o ciebie zadba. Nie musisz się niczym martwić. Przekaż Meredith najlepsze pozdrowienia i oddaj jej mój list. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko przyjadę do Londynu.

Przez dłuższy czas patrzył za odpływającą szalupą. W zatoce czekał konwój około czterdziestu solidnie załadowanych statków. Wśród nich był także „Jastrząb Morski”, na którym Cassandra wyruszała w podróż na spotkanie nowego, szczęśliwszego życia. John pomodlił się w duchu, by pokochała męża i przy jego boku zapomniała, że jest córką Nathaniela Wylda'a. Niech stary pirat zginie w mroku niepamięci. Czyż nie tam z czasem trafiają legendy?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cassandra z łatwością wspięła się po sznurowej drabince wiszącej na burcie statku i stanęła na wyszorowanym do czysta pokładzie. Głęboko wciągnęła w płuca znajomą woń konopi i smoły. Miała wrażenie, jakby znalazła się wśród starych przyjaciół. Żeglarze siedzieli na beczkach albo na zwiniętych linach, podśpiewując szantę. Skrzypek usadowił się na samym środku. Wszyscy chcieli jak najlepiej wykorzystać ostatnie godziny dzielące ich od wyjścia w morze.

Stuart ściszone głosem zamienił kilka słów z pierwszym oficerem, Jamesem Randellem, a potem odprowadził Cassandrę do kajuty. Tuż obok, na rufie statku, mieściło się obszerne pomieszczenie, służące oficerom za jadalnię.

Załoga składała się z osiemdziesięciu marynarzy, lekarza okrętowego, żaglomistrzów, ślusarzy i cieśli. Pokład lekko kotysał się pod stopami. Wysokie maszty kreśliły ósemki na niebie, trzeszczały deski, a w ładowniach leżały rozmaite dobra potrzebne na czas rejsu - od zapasów począwszy, poprzez smołę i olej, aż do prochu i amunicji dla czterdziestu dział ustawionych na pokładzie armatnim. Drogocenny ładunek, przeznaczony na sprzedaż, zgromadzono osobno pod kluczem.

Srebrny blask księżyca wpadał przez duże okno do kajuty Stuarta. W rogu stał wielki globus, na stole zaś leżały rozmaite księgi, mapy, zapiski, kompas, sekstans, luneta, słowem wszystko to, z czym Cassandra miała okazję się zapoznać podczas rejsu „Delfinem”.

Była podniecona wydarzeniami mijającego dnia. Twarz miała zaróżowioną od nadmiaru wrażeń. Stuart napełnił kieliszki winem. Jeden z nich podał żonie. Ich palce zetknęły się na krótki moment i Cassandra poczuła ciepło bijące od jego dłoni. Stuart wciąż zachowywał się powściągliwie, jak przystało na dżentelmena i kapitana statku.

- Wznoszę toast za twoje zdrowie, Cassandro, ukochana żono. Obyśmy zawsze byli tak szczęśliwi jak dzisiaj.

Mówił miękim i głębokim głosem. W jego ciemnych oczach czały się z trudem skrywane emocje. Wciąż jeszcze nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście - w to, że ta urocza istota jest jego żoną. Przekonał się, że choć na pozór dzielna i energiczna, w istocie rzeczy jest krucha i delikatna. Potrzebowała jego opieki.

- Denerwujesz się? - spytał, widząc cień niepewności w niebieskich oczach.

Cassandra, nie zastanawiając się, powiedziała to, co przyszło jej do głowy.

- Trochę. Nigdy przedtem nie byłam mężatką. Nie bardzo wiem, jak się zachować.

- Ja też nie byłem nigdy żonaty. Będziemy więc się uczyć wspólnie i, szczerze mówiąc, coś mi podpowiada, że czeka nas wiele zabawy.

Cassandra odwróciła wzrok.

- To trochę... coś innego. Zwłaszcza dla mężczyzny. Dobrze wiem, że inaczej patrzycie na te sprawy, i nie chciałabym, żebyś przypadkiem przy mnie poczuł się rozczarowany.

Smart roześmiał się, ujął ją pod brodę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Naprawdę myślisz, że szukałem żony doświadczonej w sztuce kochania? Gdyby tak rzeczywiście było, to najprędzej znalazłbym ją na ulicy. Uwielbiam cię za to, że jesteś naiwna i niewinna, a jednocześnie dumna, spontaniczna i pełna temperamentu. Żałuję, że musimy odpłynąć bladym świtem. Dzisiejsza noc będzie dla nas stanowczo za krótka.

- Myślałam, że czekamy na kapitana Tillotsona, który przecież miał tutaj dopłynąć z Antigui.

- Jego statki zauważono przy pobliskiej wyspie. Z pewnością dotrą na Barbados na długo przed wschodem słońca. Reszta nocy, moja droga żono... - Stuart wyjął z dłoni Cassandry kieliszek i odstawił go na stół - ...reszta nocy należy do nas. To noc miłości i rozkoszy.

Cassandra westchnęła z głębi piersi i spojrzała na męża. Przypomniała sobie wszystkie wspaniałe chwile, które tak niedawno spędzili wspólnie, kochając się po raz pierwszy.

- Wkrótce zacznie świtać.

- Do rana zostało jeszcze parę godzin. Potem zaś, zanim statek dobije do brzegów Anglii, mamy przed sobą wiele nocy. - Smart uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. - A na razie... możesz mną rozporządzać wedle własnego uznania.

- Nie masz dla mnie litości?

- Nasza znajomość zaczęła się nietypowo, prawda? Nie zostaliśmy sobie przedstawieni przez wspólnych przyjaciół, nie bawiliśmy się w próżne podchody, umizgi i karesy.

- A ty wzięłeś ślub, o nic nie pytając krewnych. Jak sądzisz, co powie twoja matka, kiedy staniesz w progu z nieznaną jej żoną?

- Będzie tobą oczarowana i pochwali mnie, że nareszcie dojrzałem do małżeństwa. Nawet nie wspomni o tym, że nie była na ślubie. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy cię jej przedstawię. Wszystko trwałoby dużo dłużej, gdybyśmy się poznali w Anglii. Najpierw musiałbym tygodniami przekonywać sir Johna, a potem czekałyby nas miesiące narzeczeństwa. Na szczęście tutaj nie było na to czasu.

- Twoja matka mieszka w Charnwood?

- Rzadko tam jeździ. Woli dom w Londynie. Nie lubi wsi - w przeciwieństwie do mnie. Zawsze chciała być w pobliżu dworu i większość jej przyjaciół to londyńczycy. Nie przejmuj się - dodał, widząc minę Cassandry. - Na pewno ją polubisz, zapewniam cię. A ona ze swej strony pochwali mój wybór.

- Czekam więc, kiedy ją będę mogła poznać. Smart wziął żonę w objęcia. Czuły pocałunek trwał długo. Gdy Cassandra oderwała usta od warg męża, szepnęła:

- Jesteś dla mnie taki dobry i kochany, taki delikatny i łagodny.

- Nie mogę ci obiecać, że zawsze tak będzie - odparł ochryplym z podniecenia głosem. Oczy mu pociemniały i na nowo zaczął ją całować, wplatając palce w jej jedwabiste włosy. Po pewnym czasie odsunął się na wyciągnięcie ręki.

- Od lat wiedziałem, jaką kobietę chciałbym mieć za żonę, ale w najśmielszych nawet snach nie sądziłem, że taką naprawdę spotkam. Myślałem, że to tylko mrzonki. Później jednak poznałem ciebie.

- Więc mam być twoim ideałem? - spytała cicho, patrząc na niego zamglonym wzrokiem.

Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył na nią stanowczo, lecz czule.

- Chcesz czy nie chcesz, jesteś nim, Cassandro - powiedział. - A teraz pójdź, moja ukochana. Nie zamierzam już dłużej zwlekać. W noc poślubną znikają wszelkie bariery.

- Zdaje mi się, że znikły już o wiele wcześniej, w pewnej cichej jaskini na Barbadosie - odparła z przekąsem.

Stuart roześmiał się na te słowa i zaczął rozbierać Cassandrę. Robił to powoli, jakby rozwijał drogocenny prezent. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, zostawiwszy otwarte drzwi, aby blask księżyca dawał im nieco światła.

Tym razem nie musieli się spieszyć. Kochali się więc powoli, smakując każdą chwilę. Później jednak namiętność wzięła górę i porwała ich burza zmysłów.

Światało już, kiedy Cassandra - zmęczona, lecz w pełni usatysfakcjonowana - zapadła w głęboki i spokojny sen. Śniła jej się wspaniała podróż do dalekiej Anglii, pod pełnymi żaglami, bez trosk i kłopotów.

Nie przypuszczała nawet, że na horyzoncie już gromadzą się chmury zwiastujące burzę. Nie wiedziała, że wkrótce będzie chciała za wszelką cenę uciec z nieszczęsnego „Jastrzębia Morskiego”. Kiedy spała, Smart po cichu wstał z łóżka i poszedł na spotkanie ze swoim starym przyjacielem, dowódcą „Inicjatywy”, kapitanem Tillotsonem. Wybrał się tym chętniej, że nie zdążył się z nim zobaczyć podczas poprzedniego pobytu na Barbadosie.

Wrócił na „Jastrzębia” ze ściśniętym sercem. Cały jego świat legł w gruzach, gdy Samuel Tillotson zdradził mu, kto był ojcem Cassandry.

Wysłuchał przyjaciela w ponurym milczeniu i z zaciętą miną. W pierwszej chwili nie wierzył w ani jedno słowo. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że sam widział Cassandrę pod szafotem, w dniu śmierci Nathaniela Wylde'a. To dlatego wydała mi się znajoma, pomyślał. Rysy twarzy, kolor włosów. Już nie miał wątpliwości. Dlaczego więc od razu tego nie zauważył?

Głupiec ze mnie! - urągał sobie w duchu z narastającą złością. Po stokroć głupiec! Jak dziecko dałem się nabrać na najstarszą sztuczkę! Co za zręczna aktorka, podstępna zdrajczyni. Usidliła go, strojąc się w szatę niewinności, a on - urzeczony jej niezwykłą urodą - zaczął się zachowywać niczym błędny rycearz, zamiast ją rzucić w morze na pożarcie rekinom. John Everson też musiał maczać w tym palce. Na pewno śmiał się w kułak, kiedy go poprosił o zgodę na małżeństwo. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie oświadczyłby się córce Nathaniela Wylde'a.

Everson skłamał, mówiąc, że ojciec jego podopiecznej zginął za sprawę króla pod Worcester. Powiedział to przy kolacji, w obecności Cassandry, a ona nie zaprzeczyła. A zatem to ich wspólna sprawka. Niech to szlag! Bądź na zawsze przeklęta, obłudnico!

Stuart pokręcił głową. Owszem, pamiętał, że w pierwszej chwili Cassandra nie chciała zgodzić się na małżeństwo. Być może miało to coś wspólnego z Wylde'em. Ale później? Bez protestów dała wciągnąć się w „pułapkę”. Nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie, nawet nie trzeba było jej specjalnie namawiać do grzechu. Nie uwiódł jej, bo sama mu się oddała. Omotała go do tego stopnia, że świata poza nią nie widział. Nawet teraz miał ją przed oczami - piękną wiedźmę, patrzącą nań spod na wpół przymkniętych powiek, uśmiechającą się uwodzicielsko.

Samuel zaproponował mu jeszcze jeden kielich wina przed powrotem na „Jastrzębia Morskiego”, ale Smart odmówił. Żaden trunek nie był aż tak mocny, żeby ukoić jego gniew i choć trochę złagodzić ból.

Wszedł do kajuty i popatrzył na śpiącą Cassandrę. Widział jej płaski brzuch, jędrne piersi, rysujące się pod cienką kołdrą, gładkie ramiona. Dała mu tak wiele rozkoszy i podstępnie zmieniła go w niewolnika.

Przyglądał się jej pięknej twarzy. Coś go ścisnęło w gardle. Pomimo złości nie potrafił jej obudzić, wyciągnąć z łóżka, kazać się spakować i odesłać do Johna Eversona. Odwrócił się i wyszedł. Jeszcze przez jakiś czas szalał ze wściekłości, ale później gniew przygasł i zamienił się w zimną, zapiekłą nienawiść.

Cassandra otworzyła oczy, kiedy słońce stało już wysoko na niebie. Przeciągnęła się leniwie. Było jej dobrze. Spojrzała w bok i stwierdziła, że leży w łóżku sama. Przez otwarte drzwi zobaczyła Stuarta.

Wstała, owinęła się prześcieradłem i podeszła do niego. Był ubrany, stał tyłem, patrząc w morze, z jedną ręką opartą o framugę okna. Objęła go rękami w pasie, przytuliła twarz do jego pleców i westchnęła z zadowoleniem.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? - zamruczała. Powoli, lecz stanowczo uwolnił się z jej objęć i wtedy zrozumiała, że stało się coś złego. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, chociaż w kajucie było bardzo ciepło. Smart odwrócił się, patrząc na Cassandrę zimno i nienawistnie. Zrzucił maskę światowca i dżentelmena. Teraz widziała go takiego, jakim był naprawdę - bezlitosnego i niebezpiecznego.

Ubrany w granatowy kaftan i ciemne spodnie, stał przed nią niczym ucieleśnienie gniewu. Emanowała z niego tak wielka siła, że Cassandra jęknęła głucho i mimo woli cofnęła się o pół kroku. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

- Ależ... - zająknęła się. - Stuarcie? Co się stało? - spytała, próbując zapanować nad narastającym przerażeniem. - Coś złego? - dodała zdławionym głosem.

- Można tak powiedzieć - odparł, starannie akcentując każde słowo. To jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. Cassandra zadrżała, lecz nie chcąc, żeby widział ją w takim stanie, nakazała sobie spokój. Wzięła głęboki oddech.

- O co chodzi? - zapytała równie chłodnym tonem. - Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

- Chciałem ci złożyć gratulacje - odparł, nie kryjąc pogardy. - Jesteś mistrzynią zdrady, kłamstwa i obłudy. - Zauważył, że zbladła, i pokiwał głową. - Okłamywałaś mnie przed ślubem. Podawałaś się za kogoś innego. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że na Trinidadzie wsiadłaś na statek kapitana Tillotsona?

Cassandra nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Bez słowa popatrzyła na męża. Serce ścisnęło jej się z rozpaczą za utraconą miłością. Stuart spoglądał na nią z jawną nienawiścią. Chciała odwrócić się i uciec, ale zmusiła się do spokoju i została w kajucie.

- Dlaczego mnie okłamałaś?

- Nie... nie okłamałam. Przecież o nic mnie nie pytałeś. Nie było nic ważnego.

- Nie? - zapytał lodowatym tonem. Podeszedł bliżej i popatrzył jej prosto w oczy. Bała się go, ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Podejrzewała, że za chwilę usłyszy coś okropnego - coś, co potwierdzało jej najgorsze podejrzenia.

- Pozwól, że zadam ci pewne pytanie. Czy jesteś córką Nathaniela Wylde'a, złoczyńcy i pirata, z wyroku sądu powieszzonego w listopadzie zeszłego roku w Londynie?

Cassandra zbladła jak ściana i przez dłuższą chwilę nie mogła wykrztusić słowa. A zatem się dowiedziała! Wyczuwała, że Stuart nie spocznie, póki nie otrzyma odpowiedzi. Złościło go jej milczenie. Wyciągnął ręce, brutalnie chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Cassandra z przerażenia nawet nie czuła bólu.

- Odpowiedz mi, do stu piorunów! - wykrzyknął Stuart. Doprowadzony do furii, potrząsnął nią ponownie. - A jeśli znowu skłamiesz, to Boże przebac, ale na miejscu cię uduszę! Ty mała, oszukańcza i podstępna dziewczko! Chociaż ten jeden raz w swoim nędznym życiu nie kłam! Cassandra, drżąc na całym ciele, już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Początkowo chciała zaprzeczyć, lecz pomyślała, że Stuart i tak jej nie uwierzy. Zraniłaby go jeszcze bardziej. Nie wiedziała, co robić. Nigdy w życiu nie bała się tak jak teraz. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na skurczoną z gniewu twarz Stuarta, aby wiedzieć, że tym razem nie pora na wykręty.

- Pytam raz jeszcze, czy to prawda, że Nathaniel Wylde był twoim ojcem?!

Odwróciła wzrok.

- Tak.

- Tak? Nie zaprzeczasz?

Stanowczo pokręciła głową, aż włosy opadły jej na twarz i odpowiedziała z cichą rezygnacją:

- Niczego się nie wypieram. Nie mam ku temu najmniejszych powodów.

Stuart odsunął się o kilka kroków, jakby nie mógł znieść bliskości żony. Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem. Z całej jego postawy emanowała wrogość.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Dlaczego ukrywałaś przede mną sprawę tak ogromnej wagi?! - zawołał.

- Wybacz mi. Nie sądziłam, że to ważne. Teraz już wiem, że źle zrobiłam. Jak o tym się dowiedziałeś?

- Nie sądziłaś, że to ważne? - powtórzył urągliwie. - Nie pomyślałaś, że mąż chciałby znać prawdę o twoim ojcu? Zdziwiasz mnie, kochanie - dodał z drwiną. - Dzisiejszego ranka poszedłem z wizytą do kapitana Tillotsona, który w nocy dołączył do konwoju. Pogratulował mi z okazji ślubu, ale jednocześnie wyraził zdumienie, że wybrałem na żonę właśnie córkę pirata. W dodatku, nie jakiegoś tam pirata, lecz osławionego Nathaniela Wylde'a! Możesz choć trochę wyobrazić sobie moje zaskoczenie?

Cassandra spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Kapitan Tillotson o tym wiedział?

- Zaczął coś podejrzewać już na Trinidadzie, kiedy zobaczył twoich towarzyszy. W dodatku powiedziałaś mu, że sama płyniesz na Barbados. Zaczął więc rozpytywać tu i ówdzie. Podał także opis twojego przyjaciela, który dowodził uszkodzonym statkiem. Niełatwo zapomnieć twarz z taką szpetną blizną. Jak myślisz, czego się dowiedział? Powiedziano mu, że to sam Drum O'Leary, za którego głowę wyznaczono nagrodę nie mniejszą niż za Wylde'a!

Cassandra mocniej owinęła się prześcieradłem. Już się nie bała. Początkowy strach ustąpił miejsca narastającej złości. Zrozumiała nagle, że Smart Marston pragnął ją upokorzyć i wzbudzić w niej poczucie winy za to, że była córką Wylde'a. Pycha kazała mu ukarać córkę za grzechy ojca. Popatrzyła na męża, szukając choćby śladu dawnych uczuć, ale zobaczyła jedynie wzgardę i potępienie. Nie zdążyłam go poznać, pomyślała z goryczą. Postanowiła, że tak łatwo nie da się zastraszyć.

- Rosa jest córką Druma - odezwała się chłodnym i opanowanym tonem. - I co z tego?

- A ja jestem twoim mężem! Ciężko mi przyjąć do wiadomości, że moja żona szlajała się wśród piratów, morderców i rabusiów. Że była z nimi w tak dobrej komitywie, by pokusić się o wykradzenie statku i usunięcie zwłok z szubienicy!

Przeszedł na drugą stronę kajuty.

- Nie wątpię - ciągnął - że między przestępcami istnieje coś na kształt solidarności. Zuchwały wyczyn budzi wśród nich uznanie i szacunek. Gdy pomyślę sobie, jakie „nauki” pobrałaś, obcując z tą zgrają, ogarnia mnie zgroza. Do nich przemawia przecież tylko siła, żyją w cieniu zbrodni. Teraz rozumiem, dlaczego opiekun tak lekceważąco wyrażał się o tobie. Chociaż, wstyd przyznać, tamtego wieczoru miałem mu to za złe. Wiem też, dlaczego chciał się ciebie pozbyć.

- To zwykłe kłamstwo! - wykrzyknęła Cassandra.

- Tak? Przecież to ty jesteś mistrzynią kłamstwa.

To zresztą mało powiedziane, wzięwszy pod uwagę twoją przeszłość. Czy to przypadkiem nie John wspominał o chwalebnej śmierci pana Eversona pod Worcester? Czy to nie on ukrywał fakt, że twój ojciec w rzeczywistości był piratem i złoczyńcą o rękach zbrukanych krwią tysięcy niewinnych ofiar? Dobrze wiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pojmie szatańskiego pomiotu za żonę!

To ostatecznie przeważało szalę. Cassandra zapomniała o dobrych manierach. Nie panowała już nad sobą. Szybkim krokiem podeszła do Stuarta i wymierzyła mu siarczysty policzek. Cios był tak silny, aż coś jej chrupnęło w nadgarstku.

Smart cofnął się, zdumiony. Zbladł z wściekłości.

- Ty mała źmijo!

Chwyił ją za rękę, zanim zdołała uderzyć go po raz drugi i mocno przyciągnął do siebie.

- Uważaj, Cassandro - wydyszał - gdybyś była mężczyzną, mógłbym cię za to zabić.

Odepchnął ją gwałtownie.

- Gdybym była mężczyzną, to już bym cię zabiła, ty bękarcie! - wykrzyknęła bez zastanowienia, nie przebijając w słowach. - Nie zasłużyłam na to, żebyś mnie tak nazywał. Nigdy nie próbuj tego więcej, słyszysz?! Jesteś okrutny i bezlitosny. Wziąłeś mnie na lep słodkich słówek, skłoniłeś do małżeństwa. Och, jaka byłam głupia! Nigdy sobie tego nie wybaczę. Tak ci wierzyłam, tak kochałam - wyznała z nieukrywanym bólem. - Nie ukradłam statku. To był „Delfin”. Należał do mojego ojca i po jego śmierci przeszedł w moje ręce.

Stuart stał w bezruchu. Nawet powieka mu nie drgnęła, gdy z ust Cassandry mimowolnie padło wyznanie miłości. Patrzył na rozgniewaną młodą kobietę, nie wierząc, że to ta sama czuła i powabna istota, z którą dzień wcześniej stanął na ślubnym kobiercu.

- „Delfin” został przejęty przez władze, więc to była zwyczajna kradzież. A twój ojciec? Może zaprzeczysz, że kazałaś odciąć ciało z szubienicy?

- Nie bój się, nie zaprzeczę. Wcale nie muszę tego robić. Owszem, Nathaniel Wylde był piratem, lecz dla mnie przede wszystkim ojcem. Miałam pozwolić, żeby gnął w wiszącej klatce, wystawiony na pastwę kruków? Pochowałam go w morzu. Zawsze o tym marzył.

- Bez względu na to, jak próbujesz usprawiedliwić swoje czyny, powinnaś wiedzieć, że po twoim pospiesznym wyjeździe z Anglii, admiralicja ustaliła, kto wykradł „Delfina”. Na pokładzie widziano Druma O'Leary'ego w towarzystwie młodej dziewczyny, która zadziwiająco przypominała skazanego na śmierć Wylde'a. Była do niego tak podobna, że mogłaby być jego córką.

- Nie mają na to żadnych dowodów. To tylko podejrzenia. O ile wiem, to z wyjątkiem kilku naszych sąsiadów z Chelsea nikt nawet się nie domyśla, że Nathaniel Wylde miał córkę.

- A ja przynajmniej znam jej wygląd - burknął Stuart opryskliwym tonem. - Lecz tu się mylisz. Słuchy o córce Wylde'a doszły nawet do admiralicji.

- I co z tego? Nikt jej nie widział. Nikt mnie nie rozpozna. Zauważono tylko dziewczkę o długich jasnych włosach. To równie dobrze mogła być kochanka jednego z marynarzy.

- Admiralicja jest innego zdania. Wystawiono list gończy z dokładnym opisem statku i wzmianką, że Drum O'Leary oraz córka Nathaniela Wylde'a są piratami i wrogami angielskiej korony. Wyznaczono za ciebie niemałą nagrodę.

Cassandra słuchała go z osłupieniem. Była śmiertelnie blada.

- Teraz, kiedy cię poznałam lepiej, jestem przekonana, że z radością wydasz mnie w ręce kata. Przynajmniej się mnie pozbędziesz.

- Nie kuś losu - ostrzegł Smart.

Te słowa dotknęły Cassandrę do żywego. Popatrzyła na męża z mieszaniną gniewu i rozpacz. Spojrzała na jego zaciśnięte usta - te same, z których kilka godzin temu słyszała zapewnienia o wielkiej miłości.

- Przykro mi, że zataiłam przed tobą prawdziwą tożsamość mojego ojca - odezwała się w końcu - ale nie uważałam za konieczne, żeby o nim zbyt wiele mówić. Nathaniel Wylde już nie żyje i więcej ci nie będzie szkodzić.

Stuart jeszcze bardziej się wściekł, widząc, z jaką łatwością przeszła do porządku dziennego nad dawnymi grzechami ojca. Spojrzał na nią złym okiem i rzucił zjadliwym tonem:

- Jak śmiesz tak mówić? Zapominasz, że nasze dzieci będą miały w żyłach krew tego pirata?

Boisz się nawet przyznać, że nikt go nie zmuszał do zbrodni. A może tak uległaś jego dominacji, że mimowolnie stałaś się ofiarą jak ci, którzy przez przypadek spotkali go na swojej drodze?

- Nie chciałam wierzyć, gdy mi powiedziano, kim jest naprawdę. Mocno to przeżyłam. Nigdy nie próbowałam usprawiedliwiać jego czynów. Jednak nie mogłam go potępić. I... wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego się na mnie złościł za to, co zrobiłam, i za to, kim jestem.

- Masz rację. - Słowa Stuarta zabrzmiały niczym trzask z bicia. - Wylde dopuścił się zbrodni i część pokrzywdzonych w dalszym ciągu domaga się sprawiedliwej zemsty na jego kamratkach. Admiralicja nie uwierzy, że nie masz z tym nic wspólnego. Widziano cię na „Delfinie”. To wystarczy za akt oskarżenia.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzyli na siebie. Słowa Stuarta potwierdzały najgorsze obawy Cassandry. Napięta cisza zdawała się trwać w nieskończoność. Dzieliła ich tak głęboka przepaść, że niepodobna było jej przekroczyć.

- Tak. - Pierwsza odezwała się Cassandra. Mówiła tak cicho, że Stuart ledwie ją słyszał. - Cieszę się, że to powiedziałaś. Początkowo nic nie wiedziałam o sprawkach ojca. Byłam zbyt mała. Jednak zdawałam sobie sprawę, że mnie kochał. Dopóki żyli wuj i ciotka, nie mógł przekroczyć progu naszego domu. Pierwszy raz zobaczyłam go dopiero po ich śmierci. Miałam wtedy trzynaście lat. - Dlaczego nie mógł cię widywać?

- W czasie wojny domowej nasze rodziny walczyły po przeciwnych stronach. Stuart pogardliwie wyduł usta.

- Co nie przeszkadzało mu widywać się z twoją matką - zauważył oschle.

Oczy Cassandry znowu pociemniały pod wpływem tłumionego gniewu.

- Spotykali się w tajemnicy pomimo zakazów wuja. Bardzo się kochali. Ten sam los, który mnie wciąż prześladowa, sprawił, że moja matka zmarła przy porożu. Nie zdążyli się pobrać.

- Boże! Co za nieszczęście! Przestań, bo się popłacę! - zadrwił Stuart i szybkim krokiem podszedł do luku, żeby spojrzeć na statki wchodzące w skład konwoju. Trwał na nich wytężony ruch, co oznaczało, że szykują się do wyjścia w morze. Był zatem potrzebny na pokładzie. Odwrócił się i zimno popatrzył na żonę.

- Jesteś bękartem, Cassandro - powiedział - chociaż przed chwilą mnie tak nazwałaś. Powinnaś była mi powiedzieć, że twoim ojcem był niestawnej pamięci kapitan Nathaniel Wylde. Oszczędziłabyś mi przykrości związanych z małżeństwem. Ostre słowa zraniły Cassandrę w samo serce.

- Skoro tak bardzo mną pogardzasz, zrób wszystko, co w tej materii uważasz za stosowne. Związek został skonsumowany, więc nie można go unieważnić. Zostaje rozwód. Niech i tak będzie.

- Nie zhańbię rozwodem cenionego nazwiska mojej rodziny - padła chłodna odpowiedź. - To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Niech dalsze sprawy toczą się własnym trybem. Z wolna przyzwyczajamy się do tego. W tej sytuacji obie strony muszą zgodzić się na kompromis.

- Jaki kompromis? - ze zdumieniem zapytała Cassandra.

Stuart przyjrzał jej się z zadumą.

- Powiniennem rozpoznać cię od razu, tuż po przybyciu na Barbados. Od początku wydawało mi się, że już cię widziałem. Nie pamiętałem jednak, gdzie to było. Teraz już wiem. Co prawda, skrętnie ukrywałaś twarz, lecz stałaś w tłumie nad Tamizą, w dniu egzekucji Nathaniela Wylde'a.

Cassandra szeroko otworzyła oczy.

- Byłeś tam?! - W tej samej chwili przypomniała sobie drwiący gest, którym jej ojciec pożegnał kogoś tuż przed śmiercią. - Tak, rzeczywiście - powiedziała z wolna. - Widziałam cię. Mój ojciec też cię widział. Już stojąc na szafocie, pozdrowił cię ruchem ręki. Znałeś go, prawda?

- Tak, znałem i do końca życia będę przeklinał los za to, że postawił go na mojej drodze. - Smart skierował się w stronę drzwi. - Idąc na statek nabrałem przekonania, że dziewczyna, którą widziałem, musiała być córką Wylde'a. Być może towarzyszył jej jeden z jego kamratów. W pierwszej chwili miałem ochotę zawrócić i oddać ich w ręce straży. Gdybym to zrobił, uniknąłbym obecnej sytuacji. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co by się stało, gdyby ludzie dowiedzieli się, kim naprawdę jesteś. Wybuchłby skandal. Moja matka tego by nie przeżyła. Za wszelką cenę postaram się oszczędzić jej tej tragedii.

- Zanim odejdziesz, odpowiedz mi przynajmniej na jedno pytanie. - Cassandra stanęła przed mężem, nie pozwalając mu wyjść z kajuty. - Co zrobił ci mój ojciec, że tak go nienawidzisz?

- Zatem nie wiesz, kto ścigał Wylde'a aż na Karaiby? Nikt ci do tej pory tego nie powiedział? Nie wiesz, kto wreszcie dopadł go u zachodnich brzegów Afryki i w kajdanach sprowadził do Londynu?

Cassandra pokręciła głową, lecz w tej samej chwili wszystko zrozumiała. Pociemniało jej w oczach.

- To byłeś ty? - szepnęła blada jak ściana. Odruchowo zacisnęła dłonie na okrywającym ją prześcieradle. - Ty?

- Tak, ja.

- W takim razie powinieneś być z siebie bardzo dumny.

- Ale nie jestem. Pomyśl sama, czy na moim miejscu miałabyś powód do dumy. Wymierzyłem sprawiedliwość. Twój ojciec był moim wrogiem, tak jak Cromwell był wrogiem króla. Nie zmienić się do samego końca. Miałem powody, żeby go ścigać, złapać i powiesić.

- Powiesz mi jakie?

- Zabił mojego brata. To chyba w zupełności wystarczy. Statek, na którym płynął mój brat, odłączył się do konwoju w drodze na Karaiby i został napadnięty i złupiony przez piratów. Zgodnie z zeznaniami tych kilku rozbitków, których niemal cudem wyrwano z morskiej toni, dowódcą napastników był kapitan Wylde. Marynarze zginęli, a pasażerowie - mężczyźni, kobiety i dzieci - z rozkazu Wylde'a pozostali na pokładzie tonącego statku. Skazał ich na powolną śmierć na dnie oceanu.

Cassandra słuchała ze ściśniętym sercem.

- Przykro mi - szepnęła. - Nic o tym nie wiedziałam.

Teraz przynajmniej rozumiała przyczynę wściekłości męża. Ujrzała swego ojca w świetle, w jakim go postrzegali inni, i poczuła się oszukana. Zniknął obraz, który chowała w sercu niemal przez całe życie. Jej świat legł w gruzach - łącznie z małżeństwem, chociaż dopiero niecałą dobę była żoną Stuarta Marstona.

John miał rację - uległa charyzmie ojca i nie dostrzegała jego prawdziwej natury. Nie dostrzegała czy nie chciała dostrzec? Można to złożyć na karb jej młodego wieku i niedoświadczenia, chociaż, jeśli miałaby być szczerą, to wołała przymknąć oczy na złą sławę ojca. Kochał ją i ona go kochała.

- Uniósł dłoń, żeby w ten sposób pogratulować mi udanych łowów - ciągnął Marston. - Z wielką niechęcią, ale muszę przyznać, że znał się na żeglowaniu. A przecież na dobrą sprawę nie miał w tym żadnego doświadczenia, wyjąwszy lata, które jako niewolnik spędził na galerze. Teraz

rozumiesz, na czym polega nasz kompromis? Niełatwo będzie nam żyć obok siebie, wiedząc to, o czym oboje wiemy. Nawet nie jestem w stanie objąć umysłem wszystkich implikacji takiego stanu rzeczy. Pamiętaj, że nad tobą ciąży widmo szubienicy. Kto raz związał się z piratami... - Pokręcił głową. - Nie umiem także przewidzieć swojego postępowania wobec ciebie. Jedno jest pewne: twoja przeszłość na zawsze nas rozdzieli. Upłynie dużo czasu, zanim zapomnę, że jesteś córką mordercy mojego brata, ty z kolei będziesz widzieć we mnie zabójcę swojego ojca. Milczał przez chwilę.

- A teraz wybac - rzekł niespodziewanie. - Wzywają mnie ważniejsze sprawy.

- Nie chciałabym cię zatrzymywać - odparła z goryczą w głosie.

- I nie zatrzymasz. Załoga czeka na rozkazy. Za chwilę wyruszamy w morze. Jeżeli masz trochę rozsądku... - zrobił znaczącą pauzę - to lepiej mnie unikaj, póki jesteśmy na statku. - Obrzucił ją karcącym spojrzeniem. - Ubierz się. Ktoś przyniesie ci śniadanie.

Położył jej ręce na ramionach i zdecydowanym ruchem odsunął. Starannie zamknął drzwi za sobą.

Cassandra stała w bezruchu. Była załamana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Jastrząb Morski” podniósł kotwicę, rozwinął żagle i zajął miejsce w szyku. Konwój opuścił Barbados i skierował się na pełne morze. Czas podróży powolnych statków handlowych zależał w dużej mierze od pomyślnych wiatrów.

Cassandra jeszcze nie ochłonęła po tym, co rano wydarzyło się między nią a Stuartem, więc została w kajucie. Obojętnym wzrokiem patrzyła przez luk na krzątaninę na sąsiednich statkach. Próbowwała zebrać myśli i zastanowić się nad położeniem, w jakim się znalazła.

Pierwszy raz w życiu naprawdę się o siebie bała. Do tej pory działała pod wpływem emocji, nie biorąc pod uwagę skutków swoich poczynań. Nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji.

Gdyby ktoś teraz w Anglii odkrył, kim jest, czekał ją sąd i szubienica. A wszystko przez to, że zachciało jej się przygód! Przecież po egzekucji Nata mogła spokojnie wrócić do Chelsea.

Umyła się i ubrała, ale nie miała chęci na śniadanie. W ogóle nie była głodna. Stała więc przy luku, pogrążona w niewesołych myślach. Rozsądek podpowiadał jej, że popełniła błąd, nie mówiąc Stuartowi prawdy o swoim pochodzeniu. Bała się, że go straci. Dopiero teraz w pełni zrozumiała, że go kocha. Przez otwarte drzwi widziała łóżko w sąsiedniej kajucie. To samo łóżko, które jeszcze wczoraj było świadkiem wielkiej namiętności. To już koniec? Już nigdy w życiu Stuart nie weźmie jej w ramiona?

Rosa od dawna tęskniła za domem, więc z zadowoleniem opuszczała Barbados. Po pewnym czasie przyszła do kajuty Cassandry, żeby pomóc jej się rozpakować. Uśmiechnęła się na widok przestronnego i bogatego wnętrza. Jej kajuta, chociaż znajdowała się tuż obok, była o wiele mniejsza.

- Tutaj na pewno będzie ci wygodnie - powiedziała, ale jej uśmiech zniknął jak zdmuchnięty na widok poblądłej twarzy i zaczerwienionych od płaczu oczu przyjaciółki. - Co się stało?

Rosa była rozsądną i cichą dziewczyną, przyzwyczajoną do twardego życia na Wyspach Zielonego Przylądka. O pewnych sprawach wiedziała dużo więcej niż jej rówieśnice. W czasie kilku miesięcy wspólnej podróży dziewczęta bardzo się do siebie zbliżyły i zostały przyjaciółkami. Cassandra była zadowolona z tego, że Rosa postanowiła najpierw pojechać z nią do Londynu, a

dopiero potem wrócić do domu. Martwiła się tylko jej słabym zdrowiem. Rosa często czuła się źle i za każdym razem leczenie trwało dłużej. Była blada i dużo chudsza niż na początku rejsu.

- Cieszysz się, że stąd wyjeżdżamy? - zapytała Cassandra. - Miałas już dość Barbadosu?

- Tak - szczerze wyznała Rosa. - Za daleko stąd do Wysp Zielonego Przylądka.

Mówiła dźwięcznym głosem z lekką domieszką portugalskiego akcentu.

- W Londynie na pewno znajdę statek płynący do Indii Wschodnich. Niemal każdy z nich zawija do nas, by uzupełnić zapas słodkiej wody. Dlaczego nie wyjdiesz na pokład, żeby popatrzeć na konwój? - zapytała, nagle zmieniając temat.

- Stąd też go widzę.

Smutek, leżący ciężkim brzemieniem na sercu Cassandry, znalazł odbicie w jej głosie i spojrzeniu. Rosa popatrzyła na nią uważniej, a w jej migdałowych oczach pojawił się niepokój. Podeszła bliżej do przyjaciółki i odwróciła ją twarzą do siebie.

- Co się stało? - powtórzyła wcześniejsze pytanie. - Czym się martwisz? Kiedy z samego rana byłam na pokładzie, kapitan Marston w wyraźnie złym humorze pokrzykiwał na ludzi. Tak się nie zachowuje ktoś, kto właśnie spędził noc poślubną. O co chodzi, Cassandro? Jesteś bardzo zdenerwowana.

Cassandra westchnęła głośno, wiedząc, że nie zdoła ukryć prawdy przed Rosą. Poza tym przyjaciółka też była w to wmieszana.

- Stuart dowiedział się, kim jestem - wyjaśniła. - Dzisiaj rano był u kapitana Tillotsona, ten zaś wypytywał o mnie swych przyjaciół, i tak wszystko wyszło na jaw.

W kilku urywanych zdaniach zrelacjonowała, co się stało od chwili, gdy kapitan Marston wrócił na pokład, „Jastrzębia Morskiego”. Powiedziała, że to właśnie on schwycił Nathaniela Wylde'a, wyjaśniła, czym się kierował. Rosa słuchała jej w milczeniu, ale z rosnącym przerażeniem.

- Nic dziwnego, że wpadł we wściekłość - szepnęła, gdy opowieść Cassandry dobiegła końca. - Na pewno nie przeboleał śmierci brata. Musisz zrozumieć jego uczucia. Znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

- Właśnie dlatego, że go rozumiem, sama czuję się jeszcze gorzej! - zawołała Cassandra ze łzami w oczach. - Szkoda, że nie widziałas jego miny, kiedy dowiedział się, że jesteś córką Druma.

Zresztą wcześniej już to podejrzewał. Czekają nas ciężkie chwile.

- Ty, jako jego żona, jesteś w dużo gorszym położeniu, Cassandro. Jak myślisz, co on teraz zrobi? Co zamierza?

- Nie mam pojęcia. Pewnie próbuje przyzwyczaić się do myśli, że poślubił córkę pirata i swojego śmiertelnego wroga. Jeżeli nadal jest tak wściekły jak dzisiaj rano, to obawiam się, że może być zdolny do wszystkiego. Nie znałam dotąd takich ludzi, Roso.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że właściwie nic o nim nie wiedziałam. - Westchnęła ciężko.

- To z mojej winy wpadł w pułapkę. Niepotrzebnie zgodziłam się na małżeństwo. Nie powinnam była tego robić. A że brałam udział w wykradzeniu zwłok Nata i w porwaniu „Delfina” z londyńskiego portu, za moją głowę wyznaczono niemałą nagrodę. Jeżeli wpadnę w ręce władz, to mnie powieszają.

Rosa nawet nie chciała myśleć o czymś tak okropnym.

- Kapitan Marston nie pozwoli ci zrobić krzywdy. Na razie musisz się uzbroić w cierpliwość.

Jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży, zanim jeszcze dotrzemy do Anglii.

- Z całego serca chciałabym w to wierzyć, ale nie mogę - z goryczą powiedziała Cassandra. - Spróbuj go zrozumieć. Początkowo byłam na niego zła, że postawił znak równości pomiędzy

mną i Natem. Potem jednak, kiedy już wyszedł, miałam czas na zastanowienie. I wiesz co? Ogromnie mu współczuję. Zapewne zachowałabym się tak samo. Niby dlaczego ma mi ufać? Jestem córką człowieka, któremu poprzysiągł zemstę i którego na koniec zawiódł na szubienicę.

- Przestań, Cassandro. Jesteś dla siebie zbyt surowa.

- Tak sądzisz? - Pokręciła głową. - Chyba nie. Od pierwszego spotkania Smart nie ukrywał, że mu się podobam. Tak bardzo pragnął pojąć mnie za żonę, że nie zadawał pytań. Nie zastanawiał się nad niczym. Złośliwy los nas rozdzielił w chwili, gdy wydawało się, że wszystko mamy już za sobą. Teraz nie może nawet na mnie spojrzeć, bo zamiast mnie widzi Nata.

- Z czasem zapomni.

- Mam nadzieję. Jeśli nie, to do końca życia będziemy nieszczęśliwi.

- Wspomniał coś o rozwodzie? Cassandra ponownie pokręciła głową.

- W tej sprawie wyraził się zupełnie jasno: nie będzie skandalu. Noszę teraz jego nazwisko i tak już pozostanie. Rozwód wymaga zgody parlamentu, a to jest związane z drobiazgowym dochodzeniem. Może odeśle mnie gdzieś na prowincję i będziemy mieszkać oddzielnie.

- Nie wierzę, żeby to zrobił. Na pewno chce uniknąć plotek. - Rosa wzięła ją za rękę i pociągnęła w stronę miękko wyściełanej ławy koło okna. Popatrzyła na smutną twarz przyjaciółki. - On cię na pewno kocha, Cassandro. Jak myślisz, dlaczego z takim pośpiechem nalegał na wasz związek? Ty też go kochasz, prawda? To przecież widać na pierwszy rzut oka.

Cassandra przytaknęła z bladym uśmiechem.

- Tak. Kocham go. Kocham tak bardzo, że mi serce pęknie, jeżeli mnie odepchnie.

- A zatem uzbrój się w cierpliwość. Na pewno dowiesz się, co cię czeka, zanim statek dobieje do brzegów Anglii. Kapitan Marston wciąż będzie cię widywał. Nie zdoła o tobie zapomnieć. Będzie musiał przywyknąć do tego, co się stało, i zacznie za tobą tęsknić. Miłość góry przenosi. Tak mi mówiła matka, a ona nigdy nie kłamie. - Rosa z czułością popatrzyła w zaptakane oczy Cassandry.

- Twoja matka jest bardzo mądra. - Cassandra westchnęła i spróbowała się uśmiechnąć. - Czego nie można powiedzieć o naszych ojcach.

Rosa pomogła jej się rozpakować i wróciła do swojej kajuty. Cassandra wyszła na pokład, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Jej widok wywołał przyjazne uśmiechy marynarzy.

Odpowiedziała im skinieniem głowy. Morze było gładkie jak lustro i upstrzone dziesiątkami rybackich łodzi. Cassandra powoli przeszła na rufę. Ujrzała Stuarta. Stał przy sterze, pogrążony w rozmowie z Jamesem Randellem.

Cassandra chciała do nich podejść, ale nie była pewna reakcji męża, więc pozostała w oddaleniu. Zauważyła, że Stuart zdjął gruby kubrak i był teraz tylko w czarnych spodniach i białej koszuli z rękawami podwiniętymi aż do łokci. Długie czarne włosy miał związane w kucyk, ale na czoło, tak jak zwykle, opadał mu niesforny kosmyk. Cassandra mogłaby na niego patrzeć godzinami, wspominając wspólnie spędzone chwile. Chyba wyczuł jej obecność, bo nagle uniósł głowę.

Natychmiast przeprosił pierwszego oficera, szybko zakończył rozmowę i z ponurą miną podszedł do żony. Cassandra śmiało popatrzyła mu prosto w oczy. Usiłowała się uśmiechnąć, lecz Stuart spojrzał na nią tak zimno i z taką pogardą, że serce w niej zamarło. Nic się nie zmieniło, pomyślała z rozpaczą. Po chwili jednak odzyskała rezon i uniosła głowę.

- W kajucie zrobiło się naprawdę duszno - odezwała się cierpkim, lekko urągliwym tonem. - Mogę przebywać na pokładzie?

- Oczywiście - odparł Stuart. - Miałbym cię więzić na dnie statku? Ale teraz, gdy już wyszliśmy z portu, muszę z tobą omówić jeszcze kilka spraw. Chodźmy. - Niezbyt szarmancko ujął ją pod rękę. - O pewnych rzeczach chciałbym porozmawiać na osobności.

Cassandra bez protestu poszła z nim do kajuty, którą opuściła zaledwie kilka minut temu, nie mogąc znieść panującej tam ciężkiej atmosfery. Stuart też chyba był zdenerwowany, bo gdy tylko przekroczyli próg, podszedł do stołu, nalał sobie kieliszek wina i pociągnął solidny łyk. Następnie stanął przy luku, tyłem do żony.

Był spięty i wyraźnie zmagał się ze sobą. Cassandra miała ogromną chęć podejść bliżej i przytulić się do niego, lecz wiedziała, że odepchnąłby ją z nieukrywanym wstrętem. Przeciągające się milczenie mocno działało jej na nerwy. Mimo to cierpliwie czekała, aż Stuart odezwie się pierwszy. Wreszcie odwrócił się i popatrzył na nią z kamienną twarzą.

- Ze względu na to, kim był twój ojciec... Kim sama jesteś... - zaczął. - Nie chcę już więcej cię dotykać. To, co się stało ubiegłej nocy, nie może się powtórzyć.

Cassandra popatrzyła na niego ze zmieszanym połączeniem z gniewem.

- Chcesz powiedzieć, że nie będziesz już ze mną dzielił łoża? - zapytała wprost.

- Właśnie. Po przyjeździe do Anglii podejmę decyzję co dalej. Powiem ci o tym - ciągnął suchym i beznamyślnym tonem, nie zwracając uwagi na grę uczuć, malującą się na jej twarzy.

- Rozumiem - odparła Cassandra, załamana o wiele bardziej, niż chciała się przed sobą przyznać. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie poddała się rozpacz. - Może jednak łaskawie na przyszłość zapamiętasz, że nie jestem przedmiotem, który można przestawiać z kąta w kąt. Jeżeli tak to ma wyglądać, lepiej jak najszybciej zakończyć tę farsę.

- Już ci mówiłem, że rozwód nie wchodzi w rachubę. Nasze stosunki muszą na jakiś czas pozostać tajemnicą. Zrozumiałaś? Wiesz, co by się stało, gdyby załoga usłyszała, że na „Jastrzębiu Morskim” płyną córki dwóch najgorszych piratów naszych czasów? Na pewno doszłoby do buntu!

- Tak, jestem w stanie to zrozumieć. Nie obawiasz się niedyskrecji ze strony kapitana Tillotsona?

- Nie. Mam na to jego słowo. Wolałbym także zachować pozory wobec oficerów.

Cassandra uśmiechnęła się z jawną drwiną.

- Trudno to będzie zrobić, jeżeli zaczniesz sypiać w oddzielnej kabinie. Od razu zaczną coś podejrzewać.

- Tu obok mam dodatkową koję, na której będę sypiał. W obecności załogi - zwłaszcza podczas kolacji z udziałem oficerów - powinnaś zachowywać się tak, jak przystało na żonę. Uszanuj nazwisko, które teraz nosisz.

Cassandra zeszywniała, słysząc ostatnie słowa.

- Bez względu na to, czym ci zawiniłam, drogi Stuarcie, powinieneś wiedzieć, że honor i wierność stawiam ponad wszystko - rzuciła ostro, targana sprzecznymi uczuciami, wśród których dominowały gniew i rozżalenie. - Jeśli uważasz, że po wczorajszej nocy masz prawo mną pomiatać, to się grubo mylisz.

Obrzucił ją mrocznym spojrzeniem. Uśmiechnął się z wyższością i powiedział karcącym tonem:

- Jako twój mąż mam prawo do wszystkiego. Chodzi mi jednak o twoje bezpieczeństwo. Nie zapominaj, kim jesteś.

- Jak mam zapomnieć, skoro bez przerwy mi o tym przypominasz? - odcięła się ze złością.

Stuart nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Pamiętaj, co ci grozi na tym statku. Jeśli załoga pozna prawdę, to nie zdołam cię uratować. Za bardzo nienawidzą Nathaniela Wylda'a i wszystkich piratów, którzy tu grasują. Czy jesteś w stanie pojąć to, co do ciebie mówię?

Cassandra z rezygnacją smutno pokiwała głową. Miała ochotę się rozplakać, kiedy pomyślała o swojej sytuacji.

- Tak - odparła cicho. - Obiecuję ci, że odegram rolę wiernej i posłusznej żony. Nie będziesz miał przeze mnie powodów do wstydu. Powiedz mi tylko, jak długo zamierzasz to ciągnąć?

- Dopóki nie znajdziemy się w Anglii. A potem zobaczymy. Uwierz mi, to dla mnie też nie będzie łatwe, ale chcę przynajmniej oszczędzić ci najgorszego. Zresztą już postanowione. Nie może być inaczej.

- Najwyraźniej mój los leży w twoich rękach, Stuarcie - powiedziała z gniewem Cassandra. Tym razem nie mogła powstrzymać łez i niecierpliwie otarła oczy wierzchem dłoni. Była zła, że Stuart jest świadkiem jej słabości. Głęboko zaczerpnęła tchu, uniosła głowę i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Dlaczego zwlekasz? Dlaczego mnie się nie pozbędziesz?! - zawołała zdławionym głosem i wskazała na sztylet, który miał za pasem. - Zakłuj mnie. Zabij tu, na miejscu. Albo wydaj w ręce załogi. Oszczędzisz mi dalszych cierpień. Wolę już to od tej ciągłej niesprawiedliwości z twojej strony!

Stuart popatrzył na żonę i współczucie złagodziło jego rysy. Trwało to jednak chwilę.

- Nie ma tu mowy o żadnej niesprawiedliwości - rzekł zimnym tonem. - Gdybyś nie była kobietą i moją żoną, już dawno oddałbym cię w ręce kata. Lecz jestem głupcem! - zawołał ze złością. - Bez względu na dawne grzechy nie pragnę twojej krzywdy.

- Przed ślubem powtarzałeś, że jestem dla ciebie najważniejsza. Co za różnica, kim był mój ojciec?

- Nie wiesz? Przed ślubem byłaś inną kobietą. Do tej drugiej jeszcze nie przywykłem.

- Wiem, że to musi być dla ciebie trudne, więc nie proszę cię o przebaczenie. Jednak, pomijając sprawę mojego ojca, w niczym się nie zmieniłam. Czuję do ciebie to co przedtem. Naprawdę nie stać cię na to samo? Nie możesz kochać mnie pomimo moich błędów, tak jak zrobiłeś to minionej nocy? Skąd w tobie tyle nienawiści i pogardy?

Stuart wydawał się poruszony szczerym smutkiem żony. Zbladł i zrobił taki ruch, jakby chciał do niej podejść, ale zatrzymał się w pół kroku.

- Zeszłej nocy właściwie nic o tobie nie wiedziałem - odparł. - Rozbudziłaś moją namiętność. Choćby przez to mam wrażenie, że zbrukałem pamięć brata. Teraz mogę tylko żałować, że postąpiłem w taki głupi sposób. Zaś względem ciebie... Nie rozeznaję się dokładnie w swoich uczuciach, ale nie mają nic z pogardy.

- Czy wciąż mnie pragniesz, choć jestem córką twego wroga? - odważyła się spytać Cassandra. Uniosła rękę i odruchowo odgarnęła z policzka jasny kosmyk. Na jej palcu błysnął złoty pierścień, który dostała od Stuarda w dniu ślubu.

Stuart popatrzył w cudowne niebieskie oczy, pociemniałe teraz ze smutku i niepokoju. Miał ochotę podbiec do żony i chwycić ją w objęcia.

I rzeczywiście podszedł, ale nie z miłością, tylko z tłumioną złością. Brutalnie złapał ją za ramiona, przyciągnął bliżej i rzucił jej wściekłe spojrzenie. Cassandra cicho jęknęła z bólu. Próbowwała się wyrwać, ale on był silniejszy.

- Kto by nie pragnął, pamiętając o wczorajszej nocy? - wycedził przez zaciśnięte zęby. Regularne rysy twarzy wykrzywił gniewny grymas. Stuart stał tak blisko, że Cassandra czuła jego gorący oddech na policzkach. - Przyznaję, że mnie omamiłaś. Twój widok w dalszym ciągu budzi we mnie pożądanie. Bądź pewna, że uczynię wszystko, by uwolnić się od tej klątwy. Twój ojciec z zimną krwią zamordował mojego brata. Nie miałbym honoru za pół pensa, gdybym cię pocałował.

Opuścił ręce i Cassandra odruchowo cofnęła się o pół kroku, wstrząśnięta słowami męża. Pomyślała ze zgrozą, że tak już będzie zawsze, póki nie rzucą się na siebie jak para śmiertelnych wrogów.

Zebrała resztki siły.

- Już wiem, czego ode mnie oczekujesz - powiedziała. - Wyraziłeś się jasno i wyraźnie. Nie musisz się mnie obawiać. Postaram się unikać cię tak często, jak to tylko możliwe w tak ciasnej przestrzeni. A teraz wyjdź, zanim stanie się coś, czego później oboje będziemy żałować. Stuart wypadł z kajuty jak burza. Cassandra stała nieruchomo, słuchając cichnących kroków. Kiedy zapanowała cisza, usiadła w fotelu i się rozplakała. Łzy jak groch płynęły jej po policzkach. Czuła się opuszczona i samotna. W pierwszej chwili chciała pobiec za Stuartem, zatrzymać go, ubłagać, żeby jej przebaczył, całkowicie poddać się jego woli.

Łzy obeschły i znów zobaczyła przed sobą dumną twarz i wojowniczy uśmiech Nathaniela Wylda'a. Z nagłą determinacją uniosła głowę i otarła zapłakane oczy. Córka pirata nie będzie o nic błagała. Nawet. .. o miłość.

Stuart liczy na to, że się mnie pozbędzie, przemknęło jej przez głowę. Nadaremnie. Nigdy mu na to nie pozwolę. Nie będę cicho siedzieć zamknięta w kajucie. Nie pograżę się w smutku. Zobaczy mnie jak dawniej roześmianą, jakbym nie miała złamanego serca. W końcu zatęskni i wróci do mnie, żeby nadrobić stracone noce.

„Jastrząb Morski” wyruszył w długi rejs. Było ciepło i zerwał się pomyślny wiatr, więc konwój sunął pod pełnymi żaglami. „Jastrząb” płynął za „Inicjatywą” kapitana Tillotsona. Stuart dokładał wszelkich starań, żeby utrzymać swój statek w linii. Załoga była na pokładzie. Marynarze nadzwyczaj sprawnie się uwijali i ani na chwilę nie tracili kursu.

Największym zmartwieniem Stuarta były choroby. Uboga dieta i szczupłe zapasy słodkiej wody sprawiały, że niejeden zapadał na zdrowiu. Wielu żeglarzy umierało. Największe żniwo zbierała dyzenteria, ospa i żółta febra, szerzona w krajach tropikalnych przez pewien gatunek komara. Lekarz okrętowy, pan Patterson, umieszczał chorych w izolatce, aby odseparować ich od reszty załogi. Jak dotąd dwóch marynarzy zmarło na żółtą febrę, ale reszta na ogół trzymała się zdrowo.

Minął tydzień od dnia, w którym opuścili Barbados. Wiatr ucichł i ciężkie kupieckie statki dryfowały po gładkiej jak lustro wodzie. Załogi próbowały chwycić w żagle choćby najmniejszy powiew. W takich chwilach większość marynarzy z „Jastrzębia Morskiego” nie miała nic do roboty. Jedli, pili, łatali żagle i dokonywali różnych drobnych napraw.

Smart uparcie udawał szczęśliwego małżonka i zachowywał się uprzejmie wobec Cassandry zwłaszcza w obecności oficerów. Ta maskarada nie zmyliła Rosy, która trzymała się na uboczu, nie chcąc przypadkiem swoją obecnością zaognić i tak nieprzyjemnej sytuacji.

Cassandra ciągle łudziła się nadzieją, że rejs potrwa dostatecznie długo, by mogła przełamać niechęć męża i odzyskać jego miłość.

Dokuczała jej samotność. Zwłaszcza wieczorami bywały takie chwile, że chciała podejść do Stuarta i skłonić go do rozmowy, nawet gdyby miał za to się gniewać. Wszystko już lepsze od milczenia.

W porze kolacji ubierała się bardzo starannie. Jedli zazwyczaj w towarzystwie kilku oficerów. Przy stole trwały głośne rozmowy, przerywane wybuchami śmiechu. Stuart przyglądał się temu z niewzruszoną miną, raz po raz unosząc do ust kielich z winem. Po pewnym czasie Cassandra zabierała Rosę, grzecznie mówiła wszystkim „dobranoc” i szła do kajuty na spoczynek. Gwar biesiadników z wolna zamierał.

Stuart z rzadka wtrącał się do rozmowy. Spod oka patrzył na piękną żonę. Ciągłe towarzyszyło mu wspomnienie nocy poślubnej i to nie polepszało jego nastroju. Kochał Cassandrę, a zarazem z całego serca jej nienawidził. Najgorsze, że wciąż o niej myślał i nic na to nie mógł poradzić. A niech ją diabli!

Potrafiła doprowadzić go do szału i wzbudzić w nim najgłębszą miłość. Bał się, że w końcu nie wytrzyma tej rozterki. Jawiła mu się w roli pięknej czarownicy, która rzuciła na niego urok. Cierpiał, gdy widział ją na co dzień, lecz nie potrafił zdecydować się na rozstanie.

Wbrew sobie musiał przyznać, że nigdy dotąd nie spotkał damy, która potrafiłaby z taką gracją znaleźć się w towarzystwie. Okazała się mistrzynią konwersacji, inteligentną i dowcipną. Prócz tego znakomicie odgrywała rolę troskliwej gospodyni. Aż dziw brał, skąd brała na to ochotę i siłę, zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazła. Stuart zdawał sobie sprawę z tego, że swobodnie się czuła pośród marynarzy, bo zdążyła do nich przywyknąć podczas długiego rejsu na pokładzie „Delfina”.

Cassandra wyczuwała, że mąż na nią patrzy. Spoglądała mu wtedy prosto w twarz, lekko mrużyła oczy i unosiła brwi w niemym pytaniu.

Zycie na statku płynęło monotonnie. Nic więc dziwnego, że przystojny, dziewiętnastoletni podporucznik Daniel Stark zaczął zdradzać większe zainteresowanie piękną żoną kapitana, niż powinien. Cassandrze to nie przeszkadzało, ale Stuart postanowił ukrócić niewczesne zapędy oficera.

Pewnego dnia, podczas kolacji, z naganą spojrzął na żonę. Cassandra właśnie rozmawiała o czymś ze Starkiem. Wdzięcznie pochylila się nad stołem i zaśmiała się, gdy młodzieniec szepnął jej coś na ucho. Żadne z nich nie zwracało najmniejszej uwagi na resztę gości. Stuart był wściekły, widząc, jak swobodnie sobie poczynają. Opanował się jednak i na pozór bezwiednie bawił się kieliszkiem.

Widok Cassandry działał na Starka mocniej niż najprzedniejsze wino. Podporucznik był już nieźle wstawiony i rozbrajający w swojej naiwności. Tymczasem Cassandra - pochłonięta grą, którą rozpoczęła pod okiem Stuarta - zapomniała, że swoim postępowaniem może ściągnąć gromy na głowę zalotnika. Ukradkiem zerknęła na zaszępionego męża i szybko wróciła do przerwanej rozmowy.

Po kolacji panowie zostali przy stole, żeby wypić tradycyjny kieliszek brandy. Cassandra i Rosa wyszły na pokład. Załoga już wypoczywała, jak zwykle o tej porze dnia. Ktoś cicho nucił starą balladę, skrzypek pociągnął smyczkiem po strunach, zagrał wesoło i nagle na pokładzie zaczęły się tańce. Marynarze tupali i klaskali do taktu.

Cassandra była zdumiona, kiedy nieoczekiwanie koło niej pojawił się Daniel Stark. Odważnie chwycił ją za rękę i pociągnął w tany. Zaprotestowała ze śmiechem, bo jako żona kapitana na ogół trzymała się z dala od żeglarskich zabaw, ale po chwili zobaczyła, że Rosa także tańczy z

jakimś marynarzem. Uległa więc powszechnej wesołości. Choć na moment chciała zapomnieć o kłopotach.

Załoga powitała ją głośnym okrzykiem aplauzu. Zwabiony hałasem Stuart wyszedł z kajuty i zmarszczył brwi, widząc Cassandrę w kręgu światła rzucanego przez wiszącą na maszcie latarnię, wśród rozbawionych marynarzy.

Stał w ciemnościach i patrzył na żonę. Nie mógł oderwać oczu od gibkiej sylwetki, zmysłowej i pełnej kobiecego wdzięku. Nagle Cassandra roześmiała się serdecznie. Młody podporucznik przyglądał jej się z takim zachwytem, że Stuart ledwie nad sobą zapanował. Rozsadzały go gniew i zazdrość.

Kiedy taniec dobiegł końca, Cassandra odmówiła dalszego udziału w zabawie. Lekkim krokiem wysunęła się z rozbawionego tłumu i od niechcienia powiodła wzrokiem po pokładzie. Wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła stojącego w mroku Stuarta. Nawet z tej odległości wyczuwała, że jest bardzo wzburzony. Zebrała się w sobie i podeszła do niego śmiałym krokiem. Daniel Stark niemal następował jej na pięty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Och, Stuarcie! - bez tchu zawołała Cassandra. - Widziałeś, jak tańczę?

- Tak - odparł chłodno i obrzucił ją przeciągłym wzrokiem. Miała rozwiane włosy, zaczerwienioną twarz i błyszczące oczy. - Może pan odejść, Stark. Moja żona ma już dość zabawy na jeden wieczór - dodał stanowczo.

Podporucznik wytrzeźwiał niemal natychmiast. Wiedział, że w takich razach lepiej milczeć. Skłonił się lekko, stuknął obcasami i pospiesznie odszedł do swojej kajuty. Zdawał sobie sprawę, że i tak nie uniknie reprymendy.

Stuart stanął tuż przy relingu, z dala od ludzkich uszu, wścibskich spojrzeń, światła i hałasu czynionego przez marynarzy. Cassandra poszła za nim. Przez chwilę wpatrywała się w jego plecy.

- Co się stało, Stuarcie? - zapytała w końcu, wyczuwając jego zdenerwowanie.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Oczy błyszczały jej w półmroku. Światło lampy złocistym blaskiem kładło się na jej ramionach. Stuart z całego serca chciał jej dotknąć, poczuć bijące od niej ciepło, obsypać twarz pocałunkami. Chciał, ale nie mógł. Byłby zgubiony, gdyby to teraz zrobił. Oboje byłiby zgubieni. Wbił wzrok w ciemności panujące za burtą i spróbował pozbierać myśli.

- Przecież nie możesz być na mnie zły za to, że zatańczyłam z podporucznikiem Starkiem. Był tak zabawny, że nie potrafiłam mu odmówić.

Wydawało jej się, że upłynęły całe wieki, zanim Stuart odpowiedział.

- Szkoda, że w innych sytuacjach pan Stark ma mniej odwagi. Nie wolno tolerować takiego zachowania w stosunku do żony kapitana. Umiem się dzielić, ale nie żoną.

Chwila radości, którą Cassandra przeżyła podczas tańca, bezpowrotnie odeszła w przeszłość. Westchnęła cicho i spojrzała w oczy męża.

- Daj spokój. Chyba żartujesz. To przecież tylko niewinny taniec. Zwykła zabawa. Pan Stark był wobec mnie bez zarzutu. Lubię z nim rozmawiać, bo mam okazję do śmiechu. Wybacz, ale nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejmujesz, skoro stwierdziłeś wcześniej, że zupełnie już cię nie obchodzę? - przypomniała mu.

Stuart zamyślił się ponuro. Rzeczywiście. Dlaczego miałby jej zabraniać tańca? Był jednak zły i ta złość skłaniała go do okrucieństwa. Widok Cassandry z innym mężczyzną sprawiał mu niewystowioną przykrość.

- Wciąż jesteś moją żoną - przypomniał zimno - i wiedz, że każdy twój kochanek zginie sromotnie z mojej ręki.

Cassandra nie wytrzymała dłużej.

- Być może jestem twoją żoną, ale to ty mnie odepchnąłeś! Wezmę sobie do łóżka, kogo zechcę!
- rzuciła bez zastanowienia.

- Jeśli to kiedykolwiek zrobisz - "wycodził złowieszczym tonem - to pożalujesz dnia, w którym mnie spotkałaś.

- Już żałuję! - odparowała i poniewczasie ugryzła się w język. Przecież to było kłamstwo.

Westchnęła. - Wybacz, Stuarcie. Wcale tak nie myślę. Brakuje mi rozrywek, zwłaszcza teraz, kiedy traktujesz mnie niczym pariasa. Nie mam zamiaru się z tobą kłócić. To śmieszne.

- Śmieszne? Jestem innego zdania. Cassandra przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego, nawet nie zdając sobie sprawy, że wygląda to prowokacyjnie.

- Ho, ho! - powiedziała znaczącym tonem i zbliżyła się o krok - sądząc po twoim zachowaniu, można pomyśleć, że jesteś zazdrosny o pana Starka.

Cios był celny, ale jedynie pogłębił gniew Stuarta.

- Nieprawda - odpowiedział głucho. - Ani mi w głowie być zazdrosnym. Nie będę schlebiał twojej próżności. Jednak widzę, co się dzieje. Ten głupi młokos snuje się z tobą jak ciełe za matką, a ty na jego widok rozkosznie chichoczesz. Nie robisz niczego, żeby go zniechęcić. Chcesz w ten sposób ośmieszyć mnie przed załogą?

Cassandra popatrzyła na niego z osłupieniem, przerażona tym, co usłyszała. Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki, chociaż nie poczuwała się do winy.

- Zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy - powiedziała, zaciskając pięści, by zapanować nad zdenerwowaniem.

- Zatem na drugi raz pomyśl o tym, co robisz - cierpko poradził Stuart. - Nie będę tego tolerował. Zresztą - dodał lekceważącym tonem - trudno od ciebie więcej wymagać, skoro na ogół obracałaś się w towarzystwie morskich rabusiów i piratów.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie rozplomienionym wzrokiem.

- Niczym nie zasłużyłam na takie oskarżenie. Nie pozwolę, żeby własny mąż mnie obrażał! - zawołała Cassandra, po czym odwróciła się i odeszła.

- Zaczekaj! - Odruchowo zerknęła przez ramię, słysząc rozkazujący ton, ale się nie zatrzymała. Stuart dogonił ją, chwycił za rękę i odwrócił. Cassandra miała zaczerwienioną twarz i łzy w oczach. Broda drżała jej niczym w febrze. Przekonany, że wciąż go kocha, nie spodziewał się oporu. Tymczasem natknął się na wojowniczkę.

- A niech cię diabli! - syknął przez zaciśnięte zęby. Był wściekły, że tak z pozoru krucha i słaba istota odważyła mu się sprzeciwić. - Ostrzegam cię, Cassandro. Zrób jeszcze jedną scenę, a pożalujesz. Zrozumiałaś?

- A co mi zrobisz? Wyrzucisz mnie za burtę na żer dla rekinów? A może zamkniesz mnie w kajucie?

- Jeśli to będzie konieczne, to cię zamknę. Starka zaś każe przeciągnąć pod kilem.

Cassandra zbladła, słysząc tę groźbę.

- Nie zrobisz tego.

- Założysz się? - W oczach miał tyle nienawiści, że Cassandra złękła się, że ją uderzy. Zamiast Stuarta stał przed nią obcy, groźny i gwałtowny mężczyzna, który budził w niej przerażenie. W głowie miała zamęt. Wydawało jej się, że niebacznym słowem lub gestem obudziła w Stuarcie diabła.

- Jeżeli będziesz ze mną walczyć, to przekonasz się, do czego jestem zdolny.

- Dlaczego miałabym ci się sprzeciwiać? Nie złamałam ślubnej przysięgi. To ty powinieneś się wstydzić.

- Jesteś i będziesz moją żoną. Do końca rejsu musisz wypełniać moje polecenia. Czy wszystko jasne? A dla rozrywki możesz wieczorami pogawędzić ze swoją towarzyszką. Wziąwszy pod uwagę wasze pochodzenie, na pewno znajdziecie wiele wspólnych tematów. Po kolacji nie wolno ci wychodzić na pokład.

- Chyba żartujesz.

- Niby dlaczego?

- Każesz mi co wieczór siedzieć pod pokładem? W takim upale?

- Właśnie - odrzekł stanowczo.

- Zatem postanowiłeś mnie ukarać.

- To nie najlepsze określenie, ale nie będę się z tobą sprzeczał o słowa. Myśl, co chcesz. Już dość złego narobiłeś jak na jeden wieczór. A teraz odejdz.

- A ty idź do diabła! - wykrzyknęła, obróciła się na pięcie i uciekła.

James Randell był spostrzegawczym człowiekiem, więc nie uszedł jego uwagi incydent pomiędzy Starkiem, Cassandrą i Marstonem. Teraz powoli zbliżył się do kapitana, oparł o reling i kilka razy pyknął z glinianej fajki. Drobne obłoczki dymu uleciały w niebo.

- Wybacz, Stuarcie, to nie moja sprawa, lecz zauważyłem, jak Stark patrzy na twoją żonę. Biedak zadurzył się po same uszy. Chcesz, żebym z nim pogadał?

Stuart wolno pokręcił głową. Dopalały się w nim resztki złości.

- Nie - odparł. - Nie ma potrzeby, ale dziękuję ci, Jamesie. Chyba zrozumiał, co się stało, i już nie będzie sprawiał nam kłopotów.

- Jak chcesz.

- Dobrze wiesz, że obecność kobiet na statku powoduje komplikacje. Tym razem mamy tylko dwie: moją żonę i jej milczącą towarzyszkę. Nic więc dziwnego, że ściągają na siebie powszechną uwagę. Stark trochę przesadził.

Randell pokiwał głową.

- Pewnie tak - przyznał niechętnie. - W przeciwieństwie do adorowanej damy. Był jej zupełnie obojętny. Tylko na ciebie patrzy z uczuciem. Inni dla niej nie istnieją.

Zanim Stuart zdążył coś powiedzieć, James Randell odszedł.

Cassandra z całą świadomością wyprowadziła męża z równowagi, flirtując ze Starkiem. Teraz jednak złękła się, że za karę zostanie zamknięta w kajucie. Nie mogła ciągle igrać z ogniem. Nie chciała, żeby Stuart się od niej odsunął. Jeśli miała go kiedyś odzyskać, to ciągle musiał być w pobliżu.

Nie wolno mi pogarszać sytuacji, pomyślała i postanowiła nie okazywać względów Danielowi Starkowi.

Pewnego dnia Rosa nie przyszła rano do kajuty. Cassandra znalazła ją leżącą w łóżku, dygoczącą na całym ciele, bladą i wymizerowaną.

- Dobry Boże! - zawołała ze strachem na ten widok. - Jesteś chora? Kiedy to się stało? Podczas kolacji wyglądałaś jeszcze całkiem dobrze.

Rosa westchnęła ciężko i zamknęła oczy.

- Tak, to prawda - wydyszała. - Złapało mnie zupełnie nagle. Zaraz po tym jak się położyłam. Mówiła niewyraźnie i z ogromnym wysiłkiem.

- Może zjadłaś coś niestrawnego?

- Nie. Gdyby tak było, inni też by zachorowali. Nie martw się o mnie. Trochę odpocznę i już mi będzie lepiej.

- Powinnaś była mnie zawołać - łagodnie upomniała ją Cassandra. Nalała wody do miednicy i delikatnie umyła twarz przyjaciółki. Przy okazji dotknęła jej czoła i poczuła, że Rosa ma gorączkę. Nie pozwoliła jej usiąść. - Leż spokojnie i nie próbuj wstawać - powiedziała. - Zaraz sprowadzę doktora Pattersona. Jestem pewna, że znajdzie dla ciebie jakieś lekarstwo, żeby spędzić gorączkę. Poczekaj na mnie, niedługo wrócę.

Z bijącym sercem wyszła z kajuty. Bardziej martwiła się o Rosę, niż to okazywała.

Stuart był na pokładzie. Natychmiast zauważył, że jego żona jest czymś zdenerwowana, i podszedł bliżej.

- Zaczekaj, Cassandro - powiedział rozkazującym tonem.

Zatrzymała się posłusznie.

- Co się stało? - zapytał, widząc jej ściągnięte rysy. Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, w których czaił się strach i przygnębienie. Była bardzo blada. - Coś złego?

- Tak. Chodzi o Rosę. Jest bardzo chora. Boję się o nią. - Gdyby nie była tak przejęta, zauważyłaby z pewnością, że Stuart spoglądał na nią z nieukrywaną troską. - Muszę natychmiast znaleźć doktora Pattersona. Mam nadzieję, że zaaplikuje jej skuteczne lekarstwo.

- Jak długo to trwa?

- Zachorowała w nocy. W pierwszej chwili myślałam, że to niestrawność albo choroba morska po tym, jak nas dopadł szkwał tuż nad ranem. Ale przecież pływała już nieraz i nigdy na nic się nie skarżyła.

- Wróć do niej. Poślę kogoś po doktora i wszystko mu wyjaśnię. Czy Rosa ma gorączkę?

- Tak i wymiotuje.

- A ty na pewno dobrze się czujesz?

Cassandra popatrzyła na męża ze zdziwieniem, zaskoczona niespodziewaną zmianą w jego głosie. Tego się nie spodziewała. Po tygodniach obojętności Stuart zdobył się na ludzki odruch. Była przyjemnie zaskoczona.

- Tak - odpowiedziała miękko. - Nic mi nie jest. Stuart, bojąc się, żeby nieznana zaraza nie powaliła większej części załogi, błyskawicznie odszukał doktora Pattersona i kazał mu iść do Rosy. Podczas badania z niepokojem czekał w sąsiedniej kajucie. Lekarz wyszedł po kilku minutach. Na jego twarzy malował się niepokój. Za nim ukazała się zaalarmowana Cassandra.

- Co jej dolega? - Na co jest chora?

Lekarz popatrzył na nią spod ściągniętych krzaczastych brwi.

- Mówiła pani, że chorowała już trochę na Barbadosie?

- Tak. Przez cały czas pobytu była bardzo słaba i podatna na różne przypadłości.

- Hm. Czasami to sprawa klimatu. Słabszy organizm źle znosi taką wilgotność i temperaturę.

- Przecież Rosa przez całe życie mieszkała na Wyspach Zielonego Przylądka! Od urodzenia przywykła do takiego klimatu. Wyzdrowieje, prawda? - zapytała Cassandra z nadzieją w głosie.

Patterson lekko wzruszył ramionami i powoli pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Może tak, a może nie.

- Czy zachorowała na cholere? Niech pan przede mną niczego nie ukrywa!

- Raczej nie. Co prawda, jest to nagły przypadek, lecz pozbawiony objawów cholery, takich, na przykład, jak świerzbienie rąk i podbrzusza. Prawdopodobnie to też nie tyfus, bo nie ma wysypki.

- Dzięki Bogu - z ulgą westchnął Stuart. Najgorsze, co mogłoby ich teraz spotkać, to epidemia tyfusu na pokładzie. Marynarze padaliby jak muchy. - Jaka zatem jest pańska diagnoza?

- To może być każda z tajemniczych chorób związanych z wysoką gorączką - padła odpowiedź.

- Może trafiła na jakiś nieświeży kąsek, a może czymś się zaraziła.

- Ma pan wśród swoich pacjentów kogoś, kto by zdradzał objawy podobnej choroby?

Patterson znów pokręcił głową.

- Na początku podróży zdarzyły się dwa przypadki żółtej febry. Obaj marynarze zmarli. Dobrze, że udało nam się w porę ich odseparować od reszty załogi. Potem nie wydarzyło się nic poważnego. Ot, zwykła dyzenteria albo wypadek przy pracy. A pani jak się czuje, moja droga? - zwrócił się do Cassandry.

- Nic pani nie jest?

- Nie, doktorze Patterson. Czuję się świetnie, dziękuję.

- Choroba panny Rosy może być zaraźliwa. Chce pani się nią zająć? To niebezpieczne.

- Natychmiast każę przenieść chorą do pańskiego lazaretu. Tam przynajmniej będzie pod fachową opieką - zaproponował Stuart.

- Nie! - zawołała Cassandra. Nie potrafiła zapanować nad emocjami. - Nie sądzisz, że na to już trochę za późno? Dziś rano kontaktowałam się z Rosą. Zostanie w swojej kajucie.

Stuarta rozgniewało nieposłuszeństwo żony.

- Powtarzam, że należy ją odizolować. Na litość boską, bądź rozsądna! - rzekł ostrzejszym tonem. - Przecież słyszałaś, co powiedział przed chwilą doktor Patterson. Nie możesz narażać się niepotrzebnie. Rosa powinna trafić do izby chorych.

- Oszczędź mi rad. Nie wierzę, że po tylu dniach, które spędziłam sama, nagle zacząłeś się o mnie troszczyć! To ja namówiłam Rosę na tę podróż. Jestem więc za nią odpowiedzialna. A jeśli nie chcesz zarazy na pokładzie, to dopilnuj, żeby od tej pory nikt do nas się nie zbliżał. Nie obchodzi mnie, czy zachoruję. Mogę nawet umrzeć, bo to przynajmniej mnie wyzwoli od tej farsy, jaką jest nasze małżeństwo - oznajmiła Cassandra podniesionym tonem, nie zwracając uwagi na doktora, po czym szybkim krokiem opuściła kajutę, nie oglądając się za siebie.

Patterson spoglądał za nią z osłupieniem. Stuart z największym wysiłkiem zmusił się do tego, żeby pozostać na miejscu. Najchętniej pobiegłby za żoną i przemocą odciągnął ją od łóżka chorej Rosy.

W kajucie panował dokuczliwy upał. Rosa leżała na wąskiej koi i rzucała się z boku na bok.

Gorączka nie ustępowała. Chora mamrotała coś w malignie. Jej stan wyraźnie się pogarszał.

Włosy miała zlepione potem i tępo patrzyła w przestrzeń. Cassandra bez wytchnienia zmieniała zimne okłady na jej czole i podawała wywar z ziół, przyrządzony przez Pattersona.

Dzień ciągnął się niemiłosiernie. Gdy zapadł wieczór, Cassandra mogła już tylko modlić się o ratunek dla przyjaciółki. Jeżeli ktoś musi umrzeć, prosiła, to raczej zabierz mnie do siebie, Boże. To z mojej winy Rosa wybrała się na Barbados i trafiła na ten właśnie statek.

Usłyszała, że ktoś puka do drzwi kajuty. Nie odpowiedziała, licząc na to, że intruz zniechęci się i odejdzie. Ona miała co robić. Rosa leżała z głową wtuloną w poduszkę i oddychała tak słabo, że Cassandra musiała przyłożyć rękę do jej piersi, żeby sprawdzić, czy tli się w niej jeszcze iskierka życia.

Tuż po zmroku rozpoczął się ostatni etap. Mniej więcej o północy Rosa straciła przytomność, a o świcie zmarła. Skamieniała z rozpaczy Cassandra siedziała przy jej łóżku. Z rozdartym sercem patrzyła na zapadnięte, woskowe oblicze przyjaciółki i powiernicy, z którą ostatnio żyła się jak z siostrą. Drżącą ręką pogładziła ją po zimnym policzku.

- Śpij spokojnie, kochana Roso - szepnęła i zakrywając dłonią usta, wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Po chwili wstała i chwiejnym krokiem opuściła kajutę. Chciała wyjść na powietrze - jak najdalej od przesyconej śmiercią ciasnej izby. Po stromych schodach wspięła się na rufę, nie zwracając uwagi na żeglarzy, którzy po nocy bez pośpiechu zabierali się do pracy.

Znalazła odosobnione miejsce, oparła się o balustradę i spojrzała na bezmiar wody. Ocean połyskiwał srebrzyście w pierwszych promieniach słońca, a tuż nad falą unosiła się lekka mgiełka. Dzień zapowiadał się upalny. Cassandra przyłożyła rękę do obolałej głowy i głęboko zaczerpnęła tchu. Była zmęczona i apatyczna. Bolały ją wszystkie kości. Nie próbowała nawet zebrać myśli. Chciała być sama - z dala od ludzi i świata.

Stuart ledwie rozpoznał żonę. Niespokojnym wzrokiem obrzucił jej potargane włosy, brudną, przepoconą suknię i czerwone, obrzmiałe ręce. Nie widział jej od chwili, kiedy zamknęła się w kajucie Rosy. Cierpliwie czekał, aż Cassandra wreszcie wyjdzie od chorej, a gniew wyładowywał na Bogu ducha winnych marynarzach.

W uszach wciąż brzmiały mu ostatnie gniewne słowa, którymi pożegnała go Cassandra. Bał się, że nigdy więcej już jej nie zobaczy, że ona także zachoruje.

A teraz ujrzał ją ponownie na pokładzie i serce mu się ścisnęło z bólu.

Cassandra nawet go nie zauważyła, póki nie podszedł do niej i nie stanął obok. Dopiero wtedy uniosła głowę i popatrzyła na niego szklanym wzrokiem.

- Co z Rosą? - zapytał cicho i łagodnie.

- Nie żyje. Umarła przed paroma minutami.

- Rozumiem. Przykro mi, choć nie wiem, czy to dla ciebie ma znaczenie.

Słyszała jego słowa jakby z ogromnej dali. Chwilę trwało, zanim przedarli się do jej świadomości. Popatrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Wciąż zrozpaczona po śmierci Rosy i zła na siebie za bezradność wobec okrutnego losu, przelała cały gniew na męża.

- Przykro ci? Przykro?! Wcale w to nie wierzę! Od dnia, w którym się dowiedziałeś, kim jestem, traktowałeś ją na równi ze mną. Z tą samą nienawiścią i pogardą. Uważałeś nas za trędowne.

Nie znałeś Rosy. Nigdy jej nie próbowałeś poznać. A ona była taka dobra, czuła, opiekuńcza.

Chyba najbardziej z nas zasługiwała na to, by bez przeszkód cieszyć się życiem. Ale umarła.

Stuart patrzył na żonę z powagą. Widział, ile rozpaczy kryło się w jej wybuchu. Ile uczucia.

- Dobrze rozumiem, co teraz czujesz. Jesteś znużona i zboląta. Chodź, odprowadzę cię do twojej kajuty. Umyjesz się, zjesz coś i odpoczniesz. Wtedy zobaczysz wszystko w innym świetle.

- W innym świetle? Na pewno nie - szepnęła z całą mocą i ponownie popatrzyła w morze. - Nic nie wiesz. Nic nie rozumiesz. Nigdy sobie nie wybaczę tego, że ją skrzywdziłam. Zmarła przeze mnie. Żyłaby nadal, gdybym po śmierci Nata nie wyruszyła na ocean z Drumem.

Milczała przez dłuższą chwilę.

- To ja powinnam była umrzeć - dodała. - Odpokutować za swoje czyny. Nie martw się - rzuciła nagle i jej piękne usta ułożyły się w okrutny uśmiech.

- Przy odrobinie szczęścia też zachoruję. W nocy dostanę wysokiej gorączki i umrę w ciągu doby. Te słowa zraniły Stuarta. Popatrzył na nią z rozpaczą.

- Nie mów tak. Na pewno się nie zaraziłaś.

- Może nie. Wkrótce się przekonamy. Nie powinieneś się do mnie zbyt zbliżać, Stuarcie. Przecież na pewno nie chcesz się zarazić. Ze mną to całkiem inna sprawa. Moja śmierć będzie ci na rękę. Oszczędzi ci kłopotów. Źle zrobiłam, że ci uległam. Może oboje znaleźliśmy się pod wpływem tajemniczych karaibskich czarów. Zakłęcie przyszło, kiedy odbiliśmy od brzegów Barbadosu. Początkowo byłam przekonana, że zaakceptujesz mnie taką, jaka jestem, bez względu na osobę mego ojca. Teraz już wiem, że to niemożliwe.

Stuart słuchał Cassandry w posępnym milczeniu. Dobrze rozumiał jej poczucie straty po śmierci Rosy, lecz mimo wszystko nie potrafił do końca się przełamać i zapomnieć o przeszłości. Na to było jeszcze za wcześnie. Wiedział tylko, że za nic w świecie nie chciałby jej stracić.

- Mówiłem ci już, że po pewnym czasie przywyknę do tego.

- Po pewnym czasie? Kiedy? Jak już będziemy starzy? Nie zamierzam tak długo czekać, Stuarcie.

- Smutnym wzrokiem popatrzyła w przestrzeń. Widziała wszystko jak przez mgłę, a ból głowy stał się już niemal nie do zniesienia. - Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę, żeby coś między nami się zmieniło. Choć bym chciała, nie mogę wymazać przeszłości. Traktujesz mnie zbyt okrutnie. Nie wytrzymam tego dłużej. Dlatego postanowiłam wziąć los w swoje ręce. Nie potrafię żyć u boku męża, który mną pogardza.

- Dobrze wiesz, że to nie cała prawda - powiedział Stuart. - Widzę jednak, że masz swoje przemyślenia.

- Rzeczywiście. W mojej przyszłości nie ma dla ciebie miejsca.

- Powiesz mi, co postanowiłaś?

- Chcę, żebyś mnie wysadził na ląd przy pierwszej sprzyjającej okazji. Nie popłynę do Anglii. Spróbuj o mnie zapomnieć. Co prawda, nie wiem, jak to zniosę, ale... - mówiła niemal szeptem, lecz spokojnie i patrzyła na niego z miłością.

Stuart był głęboko poruszony. Z bólem serca i ogromnym trudem powstrzymywał się, żeby nie wziąć Cassandry w ramiona.

- A jeżeli odmówię? - spytał po dłuższej chwili.

- Jeśli mnie zmusisz, skoczę za burtę. Zrozum, że nie zamierzam płynąć do Anglii, gdzie ktoś może mnie rozpoznać i wydać w ręce kata. Boję się tego. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Tak, przyznaję, jestem tchórzem.

- Proś, o co chcesz, ale w tej jednej kwestii muszę ci odmówić - powiedział stanowczym tonem Stuart, zmuszając się do spokoju. Teraz, tuż po śmierci Rosy, gniewem niczego by nie osiągnął. - Jeżeli zajdzie taka potrzeba, to w pobliżu lądu każę cię zakuć w kajdany. Jesteś moją żoną i zostaniesz ze mną. W Anglii będziesz bezpieczna. Nikt nie odkryje twojej tożsamości, a Samuel Tillotson jest człowiekiem honoru i na pewno nie złamie słowa.

- Mylisz się, Stuarcie. Wspominałam ci, że moi sąsiedzi z Chelsea wielokrotnie widzieli Nata. Wiedzą, kim był. Co prawda, przychodził potajemnie i w przebraniu, lecz służba nie jest taka głupia i lubi plotkować.

- W takim razie nie możesz wracać do domu Eversonów. Wszyscy pomyślą, że na stałe wyjechałaś do Johna na Barbados. Zastanów się, Cassandro. Kto przy zdrowych zmysłach

podejrzewałby, że poślubiłem córkę wroga? Nie mówmy więcej o twojej ucieczce. Chodź, odprowadzę cię na dół.

Gdyby się złościł albo krzyczał, Cassandra wiedziałaby, jak zareagować. Spokój męża zbił ją z tropu. Była w rozterce. Kochała go, ale nie mogła żyć u jego boku, wiedząc, że on jej nie kocha. Musiała zatem znaleźć sposób, by potajemnie opuścić statek.

- Dziękuję - powiedziała oschle - ale znam drogę. Sama trafię.

Stuart był jednak innego zdania. Cassandra zrobiła krok, by odejść, i zatoczyła się w jego stronę. Przecież nie spała i nie jadła już ponad dobę. Była doszczętnie wyczerpana nocą spędzoną przy łóżku chorej Rosy. Nagle świat uciekł sprzed jej oczu.

- Jestem zmęczona - szepnęła. - Na chwilę się położę.

Przyłożyła rękę do obolałej głowy. Zimny pot wystąpił jej na czoło i ogarnęły ją gwałtowne mdłości. Zebrała siły, żeby wykonać następny ruch i osunęła się na pokład, ale Stuart chwycił ją na ręce. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, była jego pobladła twarz, zastygła w grymasie przerażenia. Potem zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stuart wpadł w przerażenie na widok omdlejącej żony. Popędził do kajuty, nie zwracając uwagi na zaniepokojone spojrzenia oficerów i marynarzy. Kopniębem zamknął za sobą drzwi i ułożył ją na łóżku. Zdjął jej suknię i podsunął poduszkę pod głowę. Cassandra miała zamknięte oczy i oddychała z wyraźnym trudem. Po śmierci Rosy na statku nie było kobiety, która mogłaby się zająć Cassandra. Stuart od razu odrzucił myśl, by ją umieścić w lazarecie. Nikt poza nim nie mógł jej dotykać. Nikt, nie wyłączając doktora Pattersona.

Przez lata morskich wypraw i podróży Stuart dość dobrze poznał metody leczenia rozmaitych egzotycznych chorób. Nie bał się, że sam może się zarazić. Cztery lata temu poważnie zaniemógł, złożony wysoką gorączką, ale wyzdrowiał. Jak większość ludzi uważał, że nie można dwa razy chorować na to samo.

Cassandra trzęsła się jak w febrze. Stuart objął ją i usiłował ogrzać własnym ciałem. Przemawiał do niej łagodnie jak do dziecka, głaskał ją po głowie i przytulał twarz do jej policzka. Cassandra z wolna zaczęła się uspokajać. Po pewnym czasie zasnęła.

Nie trwało to jednak zbyt długo. Wkrótce dostała wysokiej gorączki i jednocześnie wstrząsały nią dreszcze. Smart położył zimny okład na jej czoło, otworzył drzwi i wezwał do siebie czekającego chłopca okrętowego. Kazał mu poszukać doktora i powiedzieć ludziom, żeby zajęli się pogrzebem Rosy.

Lekarz potwierdził jego najgorsze obawy. Cassandra zaraziła się od przyjaciółki. Smart oznajmił stanowczym tonem, że sam będzie się opiekował żoną. Patterson dał mu tę samą miksturę, którą zaordynował Rosie.

Stuart został sam na sam z Cassandra. Przytknął kubek z lekarstwem do jej ust i zmusił ją, żeby wypiała.

- Bądź grzeczna - szepnął, kiedy odruchowo odwróciła głowę. - Wypij to. Walcz. Wiem, że potrafisz. Nie pozwolę ci umrzeć. Niedługo poczujesz się o wiele lepiej.

Cassandra otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

Minęło kilka godzin, dzień i nastąpiła kolejna noc. Stuart bez wytchnienia czuwał nad Cassandra.

Bywały chwile, że poddawał się czarnej rozpacz. Potem jednak siadał przy łóżku, brał w obie

dłonie bezwładną rękę żony i usiłował przelać w nią własne siły. Mówił do niej niemal bez przerwy.

Jego głos docierał do uszu Cassandry. Próbowwała rozróżnić poszczególne słowa, ale była zbyt obolała i zmęczona, by to się udało. Kołatało jej w głowie: jestem za słaba, by skutecznie stawić czoło śmierci. Komuś mówiłam, że chcę umrzeć, ale nie umarłam. Boję się.

Ten ktoś przemawiał do niej z daleka. Powtarzał, że jej nie opuści i że zawsze już będzie przy niej. Chciała do niego podejść i wziąć go za rękę. Razem byłoby im o wiele łatwiej, ale wokół panowała ciemność. W tej ciemności co chwila w myślach wołała Stuarta. W myślach, bo jak przez mgłę przypominała sobie, że jej nie chciał.

Gorączka nie ustępowała. Smart przesiedział przy Cassandrze następną dobę. Ze ściśniętym sercem patrzył na jej męczarnie. Czasami wydawało mu się, że już tylko własną siłą woli podtrzymuje żonę przy życiu. Co pół godziny wlewał jej do ust lekarstwo. Nawet nie myślał o zmęczeniu. Owszem, bywało, że zamykał oczy, ale nie spał. Siedział lub klęczał godzinami na podłodze, wspierając łokcie na krawędzi łóżka. Nie jadł i z nikim nie rozmawiał. Chłopiec okrętowy zabierał sprzed drzwi kajuty nietknięte potrawy.

Stuart nieustannie czuwał. Troska i zmęczenie wyryły głębokie bruzdy na jego twarzy. Mokrym rękawem ocierał rozpaloną twarz chorej i szeptał do niej czułe słowa, kiedy bredziła coś w malignie. Niektórzy ludzie - nawet medycy - uważali, że nie należy ruszać cierpiących na gorączkę. Niech ją wypoczą. Stuart robił zupełnie odwrotnie. Systematycznie zmywał chłodną wodą całe ciało żony, w nadziei, że gorączka spadnie.

Stał się cud. Trzeciego dnia ustąpiły dreszcze, a po północy Cassandra wreszcie spokojnie zasnęła. Już nie dręczyły jej koszmary. W serce Stuarta wstąpiła nadzieja. Stopniowo nabierał przekonania, że uda mu się uratować żonę.

Wpatrywał się w jej uśpioną twarz, jeszcze nie bardzo wierząc, że już po wszystkim. Widział zamknięte oczy z długimi rzęsami, delikatne usta, gładkie policzki. W uszach zadźwięczał mu jej dawny śmiech. Przypomniał sobie, jak wspaniale wyglądała na pokładzie, tańcząc ze Starkiem. Wyczerpany, oparł ręce na krawędzi łóżka, położył na nich głowę i przymknął powieki.

Cassandra szybowała w miękkiej szarej mgłę. Wokół siebie słyszała delikatne skrzypienie desek. Poczula kołysanie statku, a potem jej twarz owionął lekki wietrzyk, niosący ze sobą zapach morza. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, były ból głowy i uczucie straszliwego zmęczenia. Teraz było jej po prostu dobrze. Na chwilę zapomniała o strachach i groźnych cieniach, które ją nawiedzały we śnie.

Leżała naga pod chłodnym prześcieradłem.

W pierwszej chwili zdziwiła się, że jest rozebrana. Chciało jej się pić i nie potrafiła jeszcze zebrać myśli. Wreszcie wyczuła, że ktoś jest koło niej. Ktoś delikatnie trzymał rękę na jej czole.

Otworzyła oczy, lecz obraz był zamglony, więc kilkakrotnie mrugnęła powiekami. Ze zdumieniem ujrzała nad sobą twarz Stuarta, który przyglądał jej się z zatroskaną miną.

Nagle uśmiechnął się. W świetle padającym z luku Cassandra dostrzegła błysk szczęścia w jego oczach, a także bruzdy na policzkach. Przedtem ich tam nie było.

- Witaj wśród żywych - powiedział cichym, niemal pieśczośliwym głosem. - Byłaś bardzo chora.

- Jak... jak długo tutaj leżę? - wychrypiąta przez obolałe gardło.

- Trzy dni.

W tej samej chwili wszystko sobie przypomniała. Samotna łza płynęła jej po policzku.

- Biedna Rosa. Pamiętam, że umarła.

- A ty zaraz po tym ciężko zachorowałaś, ale teraz będziesz na pewno silniejsza.

- Co się z nią stało?

- Chyba rozumiesz, że musieliśmy pochować ją jak najprędzej, choćby w obawie przed epidemią. Jej ciało spoczęło w morzu.

- Tak. - Cassandra przełknęła łyżę. - Daj mi trochę wody.

Stuart pomógł jej unieść głowę i podsunął kubek.

Wypiła dwa, trzy łyki i poczuła, że odzyskuje siły. Oparła głowę na poduszce i przymknęła powieki.

Stuart spoglądał na nią z bolesnym współczuciem. Jej złote włosy były w nieładzie, a twarz miała białą jak kreda.

- Musisz odpocząć. Jesteś bardzo słaba, ale najgorsze już minęło.

- Kto się mną opiekował?

- Ja.

Leciutko uniosła brwi.

- Przez cały czas?

Przyglądając się jej z napięciem, skinął głową.

- Ty mnie rozebrałeś?

- Jestem twoim mężem. Musiałem ratować ci życie. W takiej sytuacji nie myśli się o skromności. Pociesz się, że nie obciąłem ci włosów. Tak się zazwyczaj robi przy gorączce, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć.

- Dziękuję. Pewnie okropnie wyglądam, prawda? Uśmiechnął się i potarł ciemny zarost na podbródku.

- Ja też.

Cassandra miała szczerą ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić męża po twarzy. Nie wiedziała, dlaczego tego nie zrobiła. Potargany i zarośnięty, wydawał jej się młodszy i bardziej ludzki niż zazwyczaj.

- Na pewno jesteś zmordowany. Nie bałeś się, że się zarazisz?

Znów się uśmiechnął i przesunął dłonią po zmierzwionych włosach.

- Nie miej wyrzutów sumienia. Przecież nie chciałaś zachorować, a ktoś musiał się tobą zająć. Uparłem się, że tu zostanę.

- Oderwałam cię od obowiązków.

- James Randell zna „Jastrzębia Morskiego” nie gorzej ode mnie. W razie potrzeby umie pokierować statkiem. A poza tym wiatr ustał i załoga nie ma nic do roboty. Jak się czujesz? - zapytał z troską.

- Jestem bardzo zmęczona. Zdawało mi się, że umieram, ale za każdym razem słyszałam, że ktoś mówi do mnie, i to trzymało mnie przy życiu.

Stuart popatrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- To tylko majaki.

W serce Cassandry wstąpiła nadzieja, ale starała się z tym nie zdradzać.

- Na pewno?

- No, nie wiem.

Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. W głosie Stuarta znów zadźwięczała znajoma przekorna nuta. Cassandra nie mogła oderwać wzroku od męża.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Ocaliłeś mi życie.

- Proszę bardzo - mruknął.

Cassandra mimo woli przymknęła ciężkie jak ołów powieki.

Stuart spostrzegł, że zasypia, i wstał.

- Porozmawiamy później - powiedział półgłosem. - Musisz wypocząć. Gdy się obudzisz, przyniosę ci coś do jedzenia.

Popatrzyła na niego na wpół przytomnym wzrokiem.

- Sam wyglądasz jak upiór. Może też byś położył się na trochę?

Cassandra wstała z łóżka dwa dni później. Wciąż jeszcze była bardzo osłabiona, ale odzyskiwała siły. Niecierpliwa jak zawsze, jak najszybciej chciała wyjść na pokład. Miała serdecznie dość ciągłej beczynności. Uradziła jednak zgodnie ze Stuartem, że ze względu na dobro załogi

pozostanie w kajucie, dopóki doktor Patterson nie oznajmi, że nikt od niej się nie zarazi.

Brakowało jej Rosy. Wciąż nie mogła otrząsnąć się ze smutku po jej śmierci. Oprócz tego ciążyło jej poczucie winy. Rosa, która przez pewien czas była jej jedynym oparciem i podporą, teraz odeszła. Ją zaś Bóg zachował wśród żywych. Dlaczego? Może dla Stuarta?

Z początku spodziewała się, że wróci do niej. On jednak znowu się odsunął, tak jak przed chorobą, choć nie traktował jej niechętnie czy wrogo.

Większość czasu spędzał w swojej kajucie, ślęcząc nad mapami i zapisując coś w dzienniku okrętowym. Cassandra obserwowała go przez otwarte drzwi, pozornie zajęta robótką. Kiedy starczało jej odwagi, podnosiła się i stawiała w progu. Wtedy przerywał swoje zajęcie, zapraszał ją do środka i z galanterią podsuwał jej krzesło. Potem bez słowa wracał do pracy.

Nadchodził wieczór. „Jastrząb Morski” spokojnie płynął przy sprzyjającym wietrze, gdy nagle zmieniła się pogoda. Zerwał się sztorm. Czarne, groźne chmury zawisły tak nisko, że zdawały się dotykać morza. Po chwili zasłoniły pozostałe statki. „Jastrząb” przechylał się niebezpiecznie na wzburzonej fali. Wiatr zaczął dąć z tak ogromną siłą, że zatrzęszczały maszty.

Woda przelewała się nawet przez górny pokład. Załoga wprawnie usunęła wszystko, co mogło podczas sztormu wylecieć za burtę. Stuart wyszedł na mostek, popatrzył w niebo i zrozumiał, że muszą przygotować się na najgorsze.

Poleciał bosmanowi zwinąć żagle. Sternik mocniej naparł na koło sterowe, żeby utrzymać statek na kursie. Marynarze po oślizłych linach wspięli się na maszty, by jak najszybciej wypełnić rozkaz kapitana. Każdy, kto kiedyś był już na morzu, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Stuart kątem oka zobaczył Cassandrę. Kurczowo trzymała się relingu, a wiatr szarpał jej suknię i włosy. Żeglarze potrafili stąpać po chwiejnym pokładzie, ale Cassandra była jeszcze za bardzo osłabiona, żeby w tej chwili ustać o własnych siłach. Stuart zaklął pod nosem, podbiegł do niej, chwycił pod rękę i niemal siłą zaciągnął pod pokład.

- Co ty wyprawiasz, do wszystkich diabłów?! Rozum ci odjęło? Idź do kajuty! - rozkazał, usiłując przekrzyczeć wycie wiatru. - Sztorm przybiera na sile. Zaraz się przewrócisz. Jeśli zostaniesz na pokładzie, to zmyje cię za burtę.

- Nie chcę siedzieć w kajucie! - zawołała. Nie bała się sztormu i nie potrafiła siedzieć beczynnie w chwili zagrożenia.

- Ty uparta, samolubna kobieto! - wrzasnął Smart. - I bez ciebie mamy za dużo kłopotów.

Myślisz, że ktoś będzie cię pilnował, żebyś nie utonąła? Przeszkadzasz nam. Idź do kajuty albo każę cię tam zaprowadzić siłą!

Cassandra ze łzami w oczach pochyliła głowę.

- Przepraszam - powiedziała ciszej. - Masz rację. Już idę. Nie będę dla was ciężarem.

Stuart spoglądał za nią, gdy schodziła na dół po drabince. Potem obrócił się na pięcie i poszedł na mostek. Przed oczami ciągle miał obraz jej dygoczących ust i zapłakanej twarzy. Uświadomił sobie, że nadrabiała miną, ale wciąż była bliska załamania.

Zapadła noc, a sztorm szalał z tą samą siłą. Wszyscy przygotowali się do długiej nocnej wachty. Deszcz lał jak z cebra, więc widoczność spadła do zera. Stuart nie narzekał na brak obowiązków, lecz jednocześnie nie umiał zapomnieć o Cassandrze. W myślach widział ją, smutną i zgaszoną, siedzącą nieruchomo w pustej kajucie. Wreszcie przekazał dowodzenie Jamesowi Randellowi, a sam zbiegł na dół.

W kajucie kapitańskiej było ciemno. Ani śladu Cassandry. Stuart rozejrzał się ze zmarszczonymi brwiami. Zauważył, że drzwi do kajuty Cassandry są zamknięte. Pewnie już śpi, pomyślał, westchnął ciężko i postanowił wrócić na pokład. Nagle wydało mu się, że słyszy płacz. Nadstawił ucha. Tym razem usłyszał wyraźniej, że ktoś szlocha.

Znowu popatrzył na zamknięte drzwi. Wahał się, czy powinien iść do załogi, czy jednak zajrzeć do żony. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym trudniej było mu podjąć decyzję. W końcu wszedł do kajuty i zobaczył Cassandrę. Leżała na łóżku, z twarzą wtuloną w poduszkę.

Nigdy dotąd nie słyszał, żeby ktoś tak rozpaczliwie płakał. Żał mu się jej zrobiło, więc podszedł bliżej, usiadł na łóżku, wziął ją w ramiona i utulił jak wystraszone dziecko.

- Cicho, kochana - powiedział łagodnie. Ostrożnie trzymał jej drżące ciało i delikatnie głaskał ją po włosach. Zapomniał o tym, że na zewnątrz szaleje sztorm i że przyszedł cały mokry.

W pierwszej chwili Cassandra nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, a potem ogarnęła ją fala radości. Aż bała się spojrzeć na męża, żeby przypadkiem go nie spłoszyć.

- Nie chowaj twarzy - szepnął Stuart. Zmusiła się, żeby podnieść głowę. Na jego urodziwej twarzy malowała się troska.

- Och, Stuarcie! Już się na mnie nie gniewasz?

- Nie, ale byłem wściekły, kiedy cię zobaczyłem na pokładzie. Ty mały głuptasku - ofuknął ją dobrotliwie. - Na tyle już poznałaś morze, by nie bać się najstraszniejszego sztormu? Myślałem, że zdobyłaś więcej doświadczenia. Przecież mogło zmyć cię za burtę.

Położyła mu głowę na piersi i wyszeptwała:

- Chyba już kiedyś ci mówiłam, że potrafię pływać.

Wprost trudno było uwierzyć, że tak się o nią troszczył. Mimo woli westchnęła ze szczęścia.

- Tak, mówiłaś - mruknął - ale dzisiejszej nocy nawet najlepszy pływak by utonął.

- Po co tu przyszedłeś? Nie musisz być na pokładzie?

- Martwiłem się o ciebie. - Stuart sam nie wiedział, jak to się stało, że nagle oboje znaleźli się w łóżku.

Objął Cassandrę, a ona leżała nieruchomo, słuchając bicia jego serca. Nie chciała, żeby teraz odszedł. Tak jak za pierwszym razem, w jaskim na Barbadosie, poddała się woli zmysłów. Powoli uniosła głowę i drgnęła, kiedy Stuart musnął ustami jej policzek.

Nagle odepchnął ją, zerwał się z łóżka i przeczesał palcami włosy.

- To szaleństwo. Muszę iść na pokład. Cassandra wstała i zagroziła mu drogę do drzwi.

Smart chciał ją przesunąć, dotknął jej i... był zgubiony. Przestał panować nad swym ciałem i własnymi pragnieniami. Cassandra z cichym jękiem zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go prosto w usta. Była słaba, więc gdyby tylko zechciał, mógłby bez trudu wyzwolić się z jej objęć. Ale dla niego było już za późno. Jej delikatne ręce trzymały go o wiele mocniej niż najgrubszy kotwiczny łańcuch.

Za oknami szalała burza. Żaglowiec trzeszczał i skarżył się żałośnie, miotany przez ogromne fale, ale Stuart był głuchy na te nawoływania. Nie bronił się, kiedy Cassandra pociągnęła go w stronę łóżka.

Był opętany tylko jedną myślą - porwać żonę w ramiona i nadrobić stracony czas. Długie tygodnie separacji doprowadziły go na skraj szaleństwa. Szybko rozebrał się i pomógł Cassandrze zdjąć nocną koszulę. Potem rzucili się sobie w objęcia. Stuart zachłannie pieścił żonę i obsypywał ją pocałunkami.

Okrzyki rozkoszy mieszały się z hukiem fal i wyciem wichru. Sztorm szalał. Cassandra po raz ostatni drgnęła ekstatycznie w ramionach Stuarta, otworzyła oczy i ujrzała, że spoglądał na nią jak ktoś obudzony z transu.

On zaś miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. W przyćmionym świetle wyglądała jeszcze powabniej niż zazwyczaj, jakby spowita mgiełką tajemnicy. Przez dłuższą chwilę napawał się tym widokiem. Nagle otrząsnął się i przypomniał sobie o statku walczącym z nawałnicą.

Wyskoczył z łóżka, ubrał się szybko i wybiegł bez słowa.

Cassandra przeciągnęła się zmysłowo. Zaspokojona, zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen. Nie przeszkadzał jej sztorm ani kołysanie statku. Zasnęła uszczęśliwiona, że choć na chwilę mogła zapomnieć o swoich smutkach.

Stuart wybiegł na pokład i zobaczył, że wokół „Jastrzębia Morskiego” rozpętało się piekło. Noc była czarna niczym smoła, a wiatr wył w olinowaniu. Stuart przeżył niejedną sztorm na Atlantyku, w Zatoce Biskajskiej i na Karaibach, ale to było nic w porównaniu z tym, co się teraz działo.

Niektóre fale wyrastały na wysokość masztów, by po chwili przewalić się po pokładzie. Wicher targał potężnym statkiem jak zabawkę. Stuart troszczył się przede wszystkim o to, żeby utrzymać statek na powierzchni, a dopiero potem o ładunek. Gdyby sztorm potrwał dłużej, musieliby się pozbyć armat i części zapasów, żeby odciążyć kadłub.

„Jastrząb Morski” wciąż dzielnie walczył z burzą. Kiedy celował dziobem w narastającą falę, wszyscy myśleli, że to już koniec. Żaglowiec jednak wynurzał się z kipieli, ociekając spienioną wodą niczym wieloryb.

W pewnej chwili rozległ się donośny trzask i marynarze jak na komendę odwrócili głowy. Z przedniego masztu pozostał tylko kikut. Mimo rozpaczliwych wysiłków sternika, statek zszedł z kursu. Teraz mogli się już tylko modlić, żeby rozszałały żywioł nie zaniósł ich gdzieś daleko, ku nieznannej części oceanu.

Burza ucichła dopiero nad ranem. Wiatr zelżał i nad horyzontem pojawiły się promienie wschodzącego słońca. Załoga w głuchym milczeniu krążyła po pokładzie, z grubsza oceniając szkody. Statek przedstawiał przeraźliwy widok. Wkrótce stało się jasne, że zboczyli z kursu o ponad sto mil morskich na południowy zachód. W czasie sztormu konwój poszedł w rozsypkę. Jak okiem sięgnąć, nie było widać innego statku.

- Ilu ludzi straciliśmy dzisiejszej nocy? - zapytał Stuart, podchodząc do Jamesa Randella.

- Czterech. Musieli wypaść za burtę.

- Biedacy. - Stuart westchnął i odgarnął włosy z czoła. - Nawet jeśli umieli pływać, to nie przeżyli nawet kilku minut. Każ bosmanowi postawić tyle żagli, ile zdoła. Nie popłyniemy daleko bez masztu i z uszkodzonym kadłubem. Musimy znaleźć jakąś zatokę i dokonać odpowiednich napraw. Jedno jest pewne - dodał, z niepokojem spoglądając na bezmiar oceanu - nie możemy tu długo zostać. Bez konwoju jesteśmy łatwym łupem dla piratów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cassandra obudziła się, nie pamiętając o wczorajszej burzy. Umyła się, uczesała, włożyła świeżą suknię i wyszła na pokład. Oniemiała na widok ogromu zniszczeń. Chwilę później spostrzegła Stuarta. Był nieogolony, z gołą głową, tylko w spodniach i koszuli przesyconej morską solą. Wsparł ręce na biodrach i niespokojnym wzrokiem spoglądał na kikut masztu.

Zobaczywszy Cassandrę, podszedł do niej zamaszystym krokiem. W przeciwieństwie do niego wyglądała na zdrową i wypoczętą. On tej nocy nawet nie zmrużył oka. Patrzył na piękną żonę, poruszającą się z niezwykłą gracją w sukni z zielonego jedwabiu. Uśmiechnęła się do niego samymi kącikami ust, jakby z lekką zadumą. Wydawała mu się trochę inna po minionej nocy. Może to właśnie on dokonał tej zmiany? W głębi duszy był zły na siebie, że tak łatwo uległ jej urokowi.

Gdy Cassandra zobaczyła twarz męża, uśmiech zamarł jej na ustach. Stuart popatrzył na nią chłodno. Nie spodziewała się takiego powitania. Poczowała pustkę w sercu, bo zrozumiała, że wstydził się chwilowej słabości.

- Zdaje się, że nie ucierpiałaś podczas sztormu. - Stuart odwrócił głowę i spojrzał na morze, żeby tylko nie widzieć jej niebieskich oczu.

- Ani trochę - odparła Cassandra. - Chyba naprawdę nieźle wiało. - Zerknęła na pokład usłany szczątkami skrzyń, beczek i strzępami podartych żagli.

Stuart spojrzał na żonę ze zdziwieniem.

- Przespałaś całą noc?

Z przepaszającym uśmiechem skinęła głową.

- Twoja wizyta była dla mnie najlepszym lekarstwem - powiedziała cicho. Wiele ją kosztowało, żeby o tym wspomnieć, lecz nie chciała udawać, że nic się nie zdarzyło.

- Wybacz mi. Straciłem głowę i teraz tego żałuję. Popeliłem błąd i będę ci ogromnie wdzięczny, jeśli na przyszłość powstrzymasz się od uwag na ten temat. Możesz być pewna, że to już się nie powtórzy.

Cassandra westchnęła, ale nie chciała głośno przyznać, ile nadziei pokładała w ich krótkim spotkaniu. Była naiwna, myśląc, że Stuart tak prędko zdoła zapomnieć o przeszłości.

- Jak chcesz - odparła. - Nie możesz mnie winić za to, iż sądziłam, że darowałeś mi część kary.

Oczekiwała ciętej odpowiedzi, lecz Stuart tylko zmarszczył brwi i rozejrzał się po pokładzie.

- Przepraszam cię, ale nie mam czasu na dalszą rozmowę. Sama widzisz, ile jest teraz tutaj do zrobienia. Sztorm zepchnął nas z kursu o sto mil morskich, więc musimy natychmiast postawić wszystkie żagle, jakie nam zostały, i spróbować dogonić konwój. Na tych wodach roi się od piratów. Wolałbym raczej nie pozostawać tu zbyt długo.

- Przynajmniej pozwól, że zajmę się rannymi - zaproponowała, widząc kilku poturbowanych marynarzy, leżących pod relingiem.

Stuart skinął głową.

- Proszę bardzo. Jestem pewny, że doktor Patterson z radością przyjmie każdą pomoc.

Cassandra założyła opatrunek młodemu żeglarzowi ze złamaną nogą. Nagle, z bocianiego gniazda na ocalałym maszcie, rozległ się głośny okrzyk:

- Żagiel na horyzoncie!

Nieznany żaglowiec zbliżał się od lewej burty. Na „Jastrzębiu Morskim” zapanowało napięcie. Wszyscy patrzyli w morze. Z tej odległości nikt nie mógł odróżnić, czy to wróg, czy przyjaciel. Ludzie modlili się, żeby to był jeden ze statków konwoju, wysłany na ich poszukiwanie. Dopiero kiedy okręt podpłynął bliżej, zauważyli, że towarzyszą mu dwie mniejsze jednostki. Żadna z nich na pewno nie parowała zwykłym przewozem towarów kolonialnych. Na pokładzie „Jastrzębia” zapanowała śmiertelna cisza. Piracki okręt pod pełnymi żaglami groźnie zmierzał w ich stronę. Cassandra stanęła przy burcie. Zmrużyła oczy, wytrzymała wzrok i zamarła. Rozpoznała znajomą sylwetkę największego z nadpływających statków. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś go zobaczy. To był statek jej ojca, „Delfin”, dowodzony przez Druma O'Leary'ego. Nie wątpiła, że sam Drum stoi przy sterze.

Zamiast się w duchu cieszyć ze spotkania z dawnym przyjacielem Nata, którego przecież nie widziała od czasu przymusowego postoju na Trinidadzie, z przerażeniem patrzyła na nadpływający żaglowiec. Po wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnie miesiące, zmieniła swój stosunek do piratów. Widziała w nich wrogów.

Na maszcie „Delfina” złowieszczo powiewała czerwona flaga z trupa czaszką nad dwoma skrzyżowanymi rapierami. Czerwień była ulubionym kolorem piratów, bo symbolizowała krew i miała budzić postrach wśród potencjalnych ofiar. „Delfin” szedł ostro, w bryzgach białej piany i bez trudu dopadł okaleczonego „Jastrzębia Morskiego”.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Cassandry. Odwróciła głowę i poszukała wzrokiem Stuarta. Stał niedaleko, prosty niczym świeca, z posępną i zaciętą twarzą. Nie patrzył na piratów. Z uwagą obserwował żonę, jakby chciał przeniknąć jej myśli. Cassandra natychmiast zrozumiała, że on także rozpoznał obcy statek. Stuart podszedł do niej powoli. Popatrzył na nią uważnie.

- Proszę, proszę. Kto by to pomyślał? Ze wszystkich niezliczonych łotrów, którzy przemierzają oceany świata, nam właśnie musiał się nawinąć Drum O'Leary. - Uśmiechnął się złośliwie. - Skąd u ciebie ta smutna minka, Cassandro? Nie raduje cię widok starego przyjaciela? Przecież - dodał znacząco i wskazał na „Delfina” - o ile się nie mylę, to twój statek.

- To nieprawda, Stuarcie. Doskonale wiesz, że „Delfin” jest własnością Druma O'Leary'ego.

Jestem nie mniej od ciebie zaskoczona tym nagłym spotkaniem. Nie myślałam, że jeszcze go kiedyś zobaczę. Nie chciałam tego. Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę. Niechący posmakujesz, jak to jest znaleźć się po drugiej stronie.

Cassandra zbladła.

- Przewidujesz kłopoty?

- To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Przygotuj się na okrutny widok. Piraci są bezlitośni. Nie sądzisz chyba, że pod eskortą odstawią nas do konwoju? - zakpił. - Kochanie, chyba nie musisz się przejmować. Jestem pewny, że gdy wpadniemy w łapy rabusiów z „Delfina”, potraktują cię z największą kurtuazją. Reszta zaś, łącznie ze mną... No cóż, z doświadczenia wiem, czego się spodziewać.

Cassandra była blada jak ściana. Na tyle znała załogę „Delfina”, żeby przewidzieć wynik walki. A jeżeli to nie Drum dowodzi statkiem? Co się z nią stanie? Stuart też zadawał sobie te pytania i znał odpowiedź. Tylko śmierć mogła ją wyzwolić od cierpienia i pohańbienia. W duchu poprzysiągł sobie, że zabije Cassandrę, jeżeli zauważy, że O'Leary'ego nie ma na pokładzie „Delfina”. Potem jednak pokręcił głową. Przecież to było niepotrzebne. Wystarczy, aby powiedziała, że jest córką Nathaniela Wylde'a. Każdy pirat, który to usłyszy, potraktuje ją z szacunkiem.

Oczywiście Cassandra nie miała pojęcia, nad czym się zastanawiał Stuart. Zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, że więcej myślał o niej niż o statku i swoich podkomendnych.

- „Jastrząb Morski” ma więcej armat od „Delfina” - zauważyła po chwili milczenia.

- To prawda. Chciałabyś zatopić statek Wylde'a?

- Już ci mówiłam, że to statek Druma. Skoro pytasz... tak. Niech zginie. Dostyc zła wyrządził.

- Sam „Delfin” raczej nie miałby szans z jastrzębiem”, ale ma jeszcze dwóch pomagierów. -

Wskazał na mniejsze statki płynące nieco z tyłu. - Piratów jest trzykrotnie więcej, uzbrojonych po same zęby. Nie mamy rady. Przy obecnych zniszczeniach, bez masztu i z tyłoma rannymi ludźmi na pokładzie nie podejmiemy równorzędnej walki. Mamy za mało niezniszczonych żagli, żeby uciec. „Jastrząb” stał się mniej zwrotny. Możemy poddać się lub zginąć. Co zresztą na jedno wychodzi.

- Myślisz, że nas zatopią? - szepnęła Cassandra.

Stuart rzucił jej ostre spojrzenie.

- Na pewno nie, jeśli się dowiedzą, kto z nami płynie - odparł sucho. - Drum O'Leary nie będzie strzelał do córki Nathaniela Wylde'a. Na pewno wycelowali działa tak, żeby poszarpać takielunek i zwalić resztę masztów. Przecież nie mogą nas zatopić, dopóki nie zagarną łupu.

Podszedł do nich James Randell, wyraźnie zaniepokojony widokiem obcego statku.

- To pirat. Mamy kłopoty.

- Wiem. James, wywieś kod sygnałowy. Chcę z nimi porozmawiać.

- A co będzie, jeśli odmówią? Poddamy się?

- Nie - stanowczo odpowiedział Stuart, przyglądając się trzem nadpływającym statkom. Nie mógł w pełni liczyć na załogę wyczerpaną całonocnym sztormem. Mimo to nie zamierzał od razu się poddawać.

- Jeśli nie zgodzą się na pertraktacje, podejmiemy walkę. Postaw kogoś przy maszcie, żeby na mój rozkaz jak najszybciej wciągnął czerwoną flagę. Trzeba załadować i wysunąć działa. Niech nikt nie marnuje prochu bez potrzeby.

Tymczasem, „Delfin” podpłynął już tak blisko, że widać było ludzi na pokładzie. Dwa pozostałe statki obeszły „Jastrzębia” szerokim łukiem, odcinając mu drogę ucieczki. Nad głową Stuarta wciąż powiewał sygnał rozejmu, ale piraci mieli własne plany. Podpłynęli na odległość strzału i po chwili nad dziobem „Delfina” zakwitł obłok białego dymu, rozległ się gwizd i ołowiana kula frafiła w dziób jastrzębia”. Na pokład posypał się grad drzazg i połamanych desek.

Załoga rozbiegła się na stanowiska, by dać odpór. Wysunięto dwa rzędy dział. Artylerzyści podsypywali proch i czekali na rozkazy. Cassandra pomagała najmłodszym marynarzom wносить kule i ładunki ze zbrojowni na dnie statku. Ucieszyła się, że może być przydatna.

- Dopadną nas - orzekł pośpiesznie Stuart. - Dopadną jak amen w pacierzu.

Randell spojrział na niego podejrzliwie. Co prawda, pierwszy raz płynął na jastrzębiu Morskim”, ale niejedno słyszał o poprzednich przygodach Marstona. Wiedział też o pogoni za Nathanielem Wylde'em.

- Trudno się z tym nie zgodzić. Raczej im się nie wywinie. Wiem, że już kiedyś walczyłeś z „Delfinem”.

Stuart powoli skinął głową, nie odrywając oczu od pirackiego statku.

- To mój stary znajomy - odparł. - Chociaż dawniej pływał pod innym kapitanem. To był Nathaniel Wylde. Słyszałeś o nim?

Randell przytaknął ponuro.

- Teraz dowódcą jest prawdopodobnie nie mniej okrutny Drum O'Leary. Pomyśleć tylko, iż przyrzekałem sobie, że już więcej go nie zobaczę.

- Wylde cieszył się opinią dżentelmena, bo swe ofiary traktował ponoć z kurtuazją. Wiem, że to ty doprowadziłeś do tego, że zawisł na szubienicy.

- Owszem, ale zapewniam cię, że był nie dżentelmenem, ale mordercą i złoczyńcą, równie okrutnym jak cała reszta tej pirackiej bandy.

- Skąd wiesz, że ten O'Leary właśnie teraz jest na pokładzie „Delfina”?

- Nie wiem. - Smart odwrócił się, żeby spojrzeć na artylerzystów. - Wolałbym jednak, żeby tak było. Choćby przez wzgląd na moją żonę. - Mówił cicho, bardziej do siebie niż do pierwszego oficera, ale Randell go usłyszał. Zdziwił się, lecz nie zadawał żadnych pytań.

„Delfin” trzymał się poza zasięgiem dział „Jastrzębia Morskiego”, pozostawiając walkę dwóm mniejszym statkom. Huknęły pierwsze strzały, ale pociski nie sięgnęły celu. Bryznęły fontanny wody. „Jastrząb” z druzgoczącym skutkiem odpowiedział salwą z całej burty, niemal roznosząc na strzępy bliższy z dwóch żaglowców.

Nikt jednak z tego się nie cieszył, gdyż w tej samej chwili „Delfin” podpłynął i otworzył ogień.

Kule wprawdzie wciąż padały w morze, ale z każdą salwą były coraz bliżej.

„Jastrząb Morski” odpierał atak. Kadłub żaglowca drżał w momencie strzałów. Cassandra nigdy dotąd nie widziała bitwy, więc patrzyła na to z rosnącym przerażeniem. Wszędzie unosiły się kłęby gryzącego dymu, które dusiły w gardle i wyciskały łzy z oczu.

Celny strzał z „Delfina” do końca zdruzgotał dziób jastrzębia”. Następna kula zwała główny maszt, a na pokład runęły belki, żagle i liny. Kilku marynarzy zostało zmiecionych do morza.

Rozległy się głośnie krzyki i jęki przygniecionych. Rannych pospiesznie przenoszono do lazaretu. Cassandra też tam pobiegła, żeby pomóc doktorowi Pattersonowi. Nogi ślizgały jej się w kałużach krwi, ale pracowała bez wytchnienia, głucha na huk armat. Miała wrażenie, że minęło co najmniej parę godzin, zanim Stuart wyciągnął ją z powrotem na pokład.

Wciąż grzmiały działa. Artylerzyści z trudem poruszali się po rumowisku. Dwa pirackie żaglowce były coraz bliżej.

Mimo zniszczeń i dziur w kadłubie „Jastrząb Morski” uparcie nie zamierzał się poddawać. Na każdą salwę piratów odpowiadał ogniem. Mniejszy żaglowiec też doznał uszkodzeń, ale „Delfin” - prowadzony wprawna ręką sternika - pozostawał praktycznie nietknięty. Nathaniel Wylde byłby dumny ze swego ukochanego statku.

Stuart z podziwem popatrzył na osmoloną dymem i umazaną krwią Cassandrę. Mimo woli był dumny, że jak większość kobiet nie uciekła po pierwszych strzałach i nie zaszyła się w kącie, ale włączyła się do pomocy. Stracił ją z oczu kilka godzin temu, więc z ulgą stwierdził, że nic się jej nie stało. Jednak nawet w obliczu niebezpieczeństwa odnosił się do niej chłodno.

Cassandra spoglądała na niego z konsternacją. Domyślała się, dlaczego kazał jej wyjść na pokład. Krwawa bitwa powoli zbliżała się do końca. Na twarzy, włosach i koszuli miał ślady prochu.

Cassandra chciała wyciągnąć rękę i pogłodzić go po policzku, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili. Na pewno sobie tego nie życzył.

- Wszystko stracone - powiedział pośpiesznie. - Za kilka minut piraci wdrą się na pokład. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poddać statek. Niektórzy z nas chcą walczyć do końca, ale moim zdaniem, dość ich już zginęło. Boję się jednak, że dojdzie do potyczki. Chcę zatem, abyś zeszła na dół.

- Nie! - zawołała z przestrawieniem Cassandra. - Nie odsyłaj mnie stąd, Stuarcie. Nie teraz.

- Muszę - odparł krótko. - Jeśli zostaniesz na pokładzie, to w gruncie rzeczy będziesz nam przeszkadzać.

- A jeśli zginiesz? - zapytała z rozpaczą, z trudem powstrzymując się od płaczu. Serce jej się krajało na myśl, że być może już nigdy go nie zobaczy.

Na to pytanie Stuart nie umiał odpowiedzieć. Dopuszczał taką możliwość.

- Nie mogę cię opuścić, Stuarcie. Chcę być przy tobie, bez względu na to, co się z nami stanie. Jeżeli trzeba, zginę razem z tobą! - zawołała, niepomna na to, że „Delfin” już dobijał do burty ich statku. Piraci wisieli na wantach, gotowi skoczyć na pokład „Jastrzębia”. Myślała tylko o tym, że jej miejsce jest tu, przy mężu. - Na miłość boską, nie odpychaj mnie od siebie w takiej chwili!

- Wcale cię nie odpycham, Cassandro. Pamiętaj jednak, że miałem brata, który padł z ręki twego ojca, i to, że zostałeś moją żoną, plami jego pamięć. Ale w tej chwili najważniejsze dla mnie jest twoje bezpieczeństwo. - Wskazała na „Delfina”. - Nie widzisz, że są silniejsi od nas? W dodatku nawet nie wiadomo, czy wśród nich jest Drum O'Leary. Piraci nie szanują kobiet. Proszę cię, zejść z pokładu, a ja spróbuję negocjować.

Serce Cassandry nappełniła nieśmiała nadzieja.

- Jeżeli Drum nimi dowodzi, to lepiej będzie, jak ja z nim porozmawiam. Potrafię mu przemówić do rozsądku.

- Bardzo możliwe, lecz trudno liczyć na to, że będzie dobrze nastawiony do mnie. Może oszczędzi część załogi - zwłaszcza tych, którzy pójdą za nim. Ze mną ma własne porachunki. To przecież za moją sprawą zarzuciono stryczek na szyję Nathaniela Wylde'a. Drum O'Leary łatwo mi tego nie zapomni.

- Przecież nigdy cię nie widział. Na pewno cię nie rozpozna.

- Boże, jakaś ty naiwna! Idę o zakład, że co najmniej już od kilku godzin doskonale wie, z kim walczy. Wszyscy słyszeli, że to „Jastrząb Morski” ścigał Wylde'a po całym Atlantyku. Choćby dlatego nam nie popuści.

- Kiedy się dowie, że jesteś moim mężem... Twarz Stuarta pociemniała nagle.

- Nie, Cassandro - przerwał jej w pół zdania. - Nie potrzebuję jego łaski. Nie będziesz błagać tego barbarzyńcy, żeby mi darował życie.

- Sama wiem, co powinnam zrobić! - zawołała łamiącym się głosem, padając mu w objęcia. Nie mogła powstrzymać się od płaczu. Zaczęła szlochać. - Posłuchaj mnie - wyjąkała, przetykając łzy.

- Kocham cię pomimo tego, co się między nami stało. Nigdy w życiu nie kochałam nikogo bardziej niż ciebie. Jeżeli trzeba, to klękę przed Drumem, prosząc, aby cię oszczędził. Pozwól mi chociaż chwilę z nim porozmawiać. Błagam cię o to.

- Nie! - uciął krótko Stuart. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby pozostać głuchy na jej słowa. - Nie utrudniaj naszej sytuacji.

- Jak mogę jeszcze ją utrudniać? - zapytała z rozpaczą. - Kocham cię. Nie odrzucaj mnie. - Chciała, żeby też powiedział „kocham”, nawet gdyby to było kłamstwo.

Stuart bezskutecznie próbował uwolnić się z objęć żony. Odwrócił głowę, wstydząc się własnej słabości i rozterki w chwili, kiedy od jego siły i opanowania zależał los pozostałych przy życiu członków załogi.

- Cassandro, na litość boską. - Odgarnął włosy z czoła. - Oszczędź sobie i mnie tej tortury.

- Dlaczego? Skoro los chce nas rozdzielić, to przynajmniej powiedz, dlaczego tak uparcie odrzucaś moją pomoc?

- Przestań! Idź do kajuty i pomyśl raczej o tym, co ciebie może spotkać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wiesz?! - zaczęła gwałtownie. - Kiedy okaże się, kim jesteś, to będziesz miała nie lada kłopoty. Nie ręczę za załogę „Jastrzębia Morskiego”. Jeżeli się dowiedzą, że jesteś córką Wylda'a, potraktują cię jak pirata. A wtedy nawet O'Leary cię nie uratuje.

To były gorzkie i okrutne słowa, ale Smart - w trosce o jej bezpieczeństwo - starał się wykrzesać z niej choć trochę uporów i dzielności, którymi się wykazała, porywając „Delfina” i wykradając z szubienicy ciało Wylda'a. Nie mówiąc już o podróży na Karaiby.

Cassandra dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę z powagi sytuacji i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Kiedy się znowu odezwała, głos drżał jej ze strachu.

- Masz rację. Zapomniałam o tym. Zapomniałam, co pomyślą inni. Dobry Boże! - wykrzyknęła z niekłamana rozpacz. - Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy już zawsze będę prześladowana przez przeszłość?

- Całkiem niedawno chciałaś się pogodzić z tą przeszłością - brutalnie przypomniał jej Stuart. - Nie dziw się tym, którzy nie podzielają twoich sentymentów. Żyłaś iluzją, że każdy pirat to buntownik o romantycznej duszy, w gruncie rzeczy niezdolny skrzywdzić nawet muchy. Można ci to wybaczyć, bo jesteś młoda i naiwna, lecz nie wymagaj tolerancji od tych, którzy na własnej skórze doświadczyli pirackich zbrodni. A teraz zrób, co powiedziałem, i zejź na dół - dokończ, równie oschły dla żony, jak w pierwszych dniach małżeństwa.

- Jak sobie życzysz. Zejdem ci z oczu, zanim popełnię gorsze głupstwo. Wracaj do swoich obowiązków, Stuarcie.

Odeszła, nie oglądając się za siebie. Ostrożnie wybierała drogę pośród odłamków pokrywających pokład i po chwili zniknęła w drzwiach prowadzących do kajuty.

Stuart przez moment spoglądał za żoną, mając w pamięci jej spontaniczne wyznanie miłości.

Nagle zrozumiał, że też ją kocha. Cassandra zawładnęła jego sercem. Dotąd żadnej kobiecie nie udało się ta sztuczka. Oprócz niej, prawdziwie kochał jedynie morze i swój żaglowiec. Z ludzi nikogo, nawet matki, zmarłego ojca i zabitego brata. A przecież nie chciał tej miłości. Nie chciał, lecz był na nią skazany. Nie miał dość siły, żeby się opierać.

Drgnął, usłyszawszy stuk haków abordażowych, rzucanych z „Delfina”. Z przekleństwem na ustach odwrócił się w stronę burty i zobaczył, że wrogi statek już szepił się z „Jastrzębiem” i piraci skakali z pokładu na pokład.

Zagrzechotały muszkiety. Po pierwszej salwie napastnicy podjęli walkę wręcz, zbrojni w rapiery, pałasze i krótkie kordelasy. Niektórzy marynarze z „Jastrzębia Morskiego” rzucali się w fale, woląc śmierć w morzu niż pod ciosami tej rozszalałej zgrai. Stuart ze szpadą w jednej i pistoletem w drugiej ręce przyłączył się do obrony. Z taką szybkością i furią zatopił ostrze w sercu najbliższego pirata, że tamten był martwy, zanim padł na pokład.

Walka trwała. Słychać było strzały z pistoletów, bluźnierstwa, głośne okrzyki i szczęk stali. Nagle Smart stanął oko w oko z nowym przeciwnikiem. Rozpoznali się niemal natychmiast.

Naprzeciwko kapitana Stuarta Marstona znalazł się Drum O'Leary.

Cassandra panowała nad sobą dopóty, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi kajuty. Dopiero potem się rozpląkała. Czuła się zdradzona i porzucona przez człowieka, któremu przysięgała miłość i wierność małżeńską aż do śmierci. Z płaczem rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszkach. Była na skraju rozpacz. Nie słyszała wrzasków dochodzących z pokładu. Została sama ze swoim przeogromnym bólem i zastanawiała się, co dalej począć.

Po chwili spłynął na nią spokój. Już wiedziała, co powinna zrobić. Kiedy podjęła decyzję, szybko zdjęła brudną i poszarpaną suknię, a potem nalała do miski nieco wody, żeby się umyć. Była gotowa na wszystko, byle tylko uratować męża. I nawet on nie mógł jej w tym przeszkodzić. W powabnym ciele krył się waleczny duch i odważne serce. Biada każdemu, kto by wszedł jej w drogę! Zamierzała odnaleźć Druma i błagać go o łaskę dla Stuarta. Ale co potem? Na to pytanie mógł odpowiedzieć jedynie Drum O'Leary.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zacięta bitwa na pokładzie jastrzębia Morskiego" nie trwała długo. Kiedy Cassandra wyszła na pokład, znalazła się na pobjawisku. Nad statkiem wisiała gęsta chmura szarego dymu, wkoło leżeli zabici i ranni, pokład tonął we krwi. Widać piraci mimo wszystko trafili na zacięty opór. Pozostali przy życiu marynarze stali stłoczeni w ciasną grupę, pod czujnym okiem zwycięzców. Cassandra szybko rozejrzała się za mężem, modląc się w duchu, żeby go nie ujrzyć wśród zabitych. Wreszcie go zobaczyła. Stał, przytrzymywany przez jakiegoś półnagię olbrzyma. Miał ranę na piersiach, lecz nie mogło to być nic poważnego, bowiem wił się w uścisku pirata i miotał najstraszniejsze przekleństwa. W myślach podziękowała łaskawej opatrności i pozornie bez cienia strachu podeszła do bandy piratów. Poruszała się niczym marionetka, owładnięta jedną myślą: muszę ratować Stuarta. Jej widok zaskoczył wszystkich.

Piraci, którzy płynęli z nią na „Delfinie”, natychmiast ją rozpoznali. Rozległy się wesole okrzyki powitania. Pozostali przy życiu marynarze z „Jastrzębia Morskiego” spoglądali na siebie w osłupieniu. Cassandra spokojnie powiodła wzrokiem po twarzach piratów w poszukiwaniu Druma. Gdy go odnalazła, podeszła szybko. Nie wydawała się słaba i krucha. Duma okazała się silniejsza od strachu. Kiedy kroczyła z wysoko uniesioną głową, nikt nie wątpił w jej upór i odwagę. Wszyscy wlepiali w nią spojrzenia -bo też było na co popatrzeć.

Stuart nie mógł uwierzyć, że to ta sama, umazana krwią i sadzami, zapłakana kobieta, którą niedawno odesłał do kajuty. Ujrzał pełną życia i wewnętrznej energii młodą damę, ubraną w suknię ze złocistej satyny. Długie rozpuszczone włosy powiewały lekko na wietrze.

Nawet teraz, po tylu kłótniach i przejściach, miała nad nim niepodzielną władzę. Targały nim sprzeczne emocje. Po chwili początkowy podziw przeszedł w nieokiełznaną furję. Stuart był wściekły, że Cassandra zlekceważyła jego polecenia.

Drum O'Leary stał prosty jak świeca, z pistoletem za pasem i zakrwawionym kordelasem w dłoni. Spoglądał na Cassandrę ze zdumieniem. Widać było, że pobladł pod opalenizną. Wyglądał niczym król drapieżników, z wypisanymi na własnym ciele dowodami krwawego fachu.

Paskudna blizna na twarzy czyniła go jeszcze groźniejszym. Blade oczy błyszcząły okrucieństwem. Są zimne jak oczy węża, pomyślała Cassandra i wzdrygnęła się mimo woli.

Dlaczego nie spostrzegła tego nigdy przedtem? Dlaczego to jej wcale nie przeszkadzało?

Drum wpatrywał się w Cassandrę, jakby chciał przeniknąć jej najskrytsze myśli. Chyba je poznał, bowiem odezwał się z przekąsem:

- Cóż to, nie wiesz, kim jestem? Ja od razu cię rozpoznałem pomimo wykwintnej sukni i wyniosłej miny. Chyba nie cieszysz się, że mnie widzisz, prawda?

Roześmiał się, lecz w jego śmiechu nie było śladu wesołości.

- Wiem, kim jesteś - odpowiedziała Cassandra. -W brutalny sposób zaanonsowałeś swoją wizytę. Masz rację. Nasze spotkanie nie jest zbyt radosne.

Drum nawet się nie obruszył.

- Zatem nie jesteś mi rada - ciągnął tym samym drwiącym tonem. - Żal bierze, że się tak zmieniłaś od naszego rozstania na Trinidadzie. Już nie jesteś tą niewinną dziewczyną, którą lubiłem i zapamiętałem. Ale... gdzie moje dziecko? Gdzie Rosa? - Zerknął ponad jej ramieniem, jakby miał nadzieję, że tam zobaczy córkę. - Nie ma jej z tobą? Zapewniałaś mnie, że się nią zaopiekujesz.

- Rosa nie żyje - sucho oznajmiła Cassandra, chociaż przyszło jej to z dużym trudem. Dobrze wiedziała, że Drum kochał córkę i że będzie rozpaczał z powodu tej straty. Współczuła mu. Pirat popatrzył na nią z zaskoczeniem w oczach, ale jego twarz pozostała nieruchoma.

- Co to za podstępna sztuczka? - syknął. - Kłamiesz.

- Nigdy ci nie skłamałam, Drum - cicho powiedziała Cassandra. Wprawdzie gardziła nim za masakerę, jakiej dokonał wśród załogi jastrzębia Morskiego", ale zdawała sobie sprawę, jak teraz cierpi.

Drum szybko odwrócił się i spojrzał daleko na morze. Cassandra podeszła bliżej.

- Zachorowała na statku - wyjaśniła. - Dostała bardzo wysokiej gorączki... i umarła. Nic dla niej nie mogliśmy zrobić. Nie zginęła od twoich armat. Wiem, że z początku tak pomyślałeś.

- Bardzo cierpiała? - spytał. Słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło.

- Chyba nie. Przez większość czasu była nieprzytomna. Och, Drum. Kochałeś ją i ja też bardzo ją kochałam. Przez te miesiące stała się moją najlepszą przyjaciółką. Okropnie mi jej żal.

Drum w swoim pirackim życiu widział wiele śmierci. Na jego oczach ginęli mężczyźni, kobiety i dzieci. Nie potrafił jednak pogodzić się ze stratą córki. Odwrócił się w stronę Cassandry i popatrzył na nią nienawistnie.

- Mówisz, że ją kochałaś, lecz na mnie patrzysz z niechęcią. Dlaczego? Czy kiedykolwiek cię skrzywdziłem? Czy nie byłem dla ciebie dobry?

- Byłeś, ale tylko dlatego, że jestem córką Nata. Szkoda, że ci, co tutaj leżą, także nie byli jego dziećmi. Może byś ich nie zamordował.

Drum odsunął się o pół kroku. Znowu był sobą - żałobę po zmarłej córce ukrył głęboko w sercu - i z okrutnym uśmiechem przyglądał się pobojuwisku. Nagle roześmiał się na całe gardło. Dreszcz przebiegł po plecach wszystkim, którzy to słyszeli.

- Kiedy pożegnaliśmy się na Trinidadzie, byłam przekonana, że już nigdy więcej nie zobaczę ani ciebie, ani „Delfina” - odezwała się Cassandra, jakby diaboliczny śmiech Druma nie zrobił na niej wrażenia. - Nie pytasz, jak znalazłam się na pokładzie „Jastrzębia Morskiego”? Nie jesteś ciekaw, co tu robię?

- Szczerze mówiąc, dziw bierze, że cię spotkałem właśnie na tym statku - odparł Drum i wbił zjadliwe spojrzenie w Stuarta. Ich pojedynek był zaciekły, ale krótki, bowiem piraci hurmem rzucili się na kapitana i wzięli go do niewoli. - Domyślam się, że wracasz z Barbadosu do Anglii - ciągnął Drum. - Wsiadając na „Jastrzębia”, musiałaś wiedzieć, że to właśnie on - niedbałym ruchem wskazał na Stuarta - jest odpowiedzialny za śmierć Nata. Na pewno z przyjemnością ujrzysz, co z nim zrobię - dodał złowrogim tonem.

- Z pewnością masz w zanadru cały repertuar tortur - powiedziała Cassandra, czując, że strach chwyta ją za gardło.

- Przrzekam ci, że przed wieczorem zostanie z niego krwawa miazga. Mam go zarząbać czy powiesić? Nie, to byłoby za mało bolesne. Najpierw przeciągnę go pod kilem. - Drum wierzchem dłoni otarł pot z czoła. - Co będzie, jeżeli lina pęknie i ten łotr utonie? Za długo czekałem na

zemstę, żeby to miało skończyć się w ten sposób. Najlepiej oddam go załodze. Już oni z nim zatańczą. A może ty podsuniesz mi jakiś pomysł? Prawdę mówiąc, wybór należy do ciebie. Cassandra zbladła, słysząc pogrożki z ust dawnego przyjaciela. Mimo to starała się nie okazywać przerażenia. Milczała, żeby nie pogorszyć sytuacji.

- Ktoś mógłby mnie oskarżyć, że jestem zdolny do wszystkiego - powiedział Drum i roześmiał się ponownie. - Marzyłem o tej właśnie chwili od dnia, w którym razem staliśmy pod szubienicą. Pamiętasz? - Ostatnie słowo zabrzmiało jak chłaśnięcie biczu. Drum ze złośliwym uśmiechem spojrzął na Cassandrę i zobaczył, że jeszcze bardziej zbladła. - Widzę, że pamiętasz. - W jego wyblakłych oczach zapłonęły iskierki szaleństwa. - Zemsta jest nasza - syknął.

- Chcesz, żebym przez ciebie cierpiała?

Drum podszedł do Stuarta. Był słusznego wzrostu, lecz w porównaniu z barczystym jeńcem wydawał się niski. Stuart popatrzył na niego bez wyrazu. Twarz miał jak wykutą z kamienia. Drum dotknął jego piersi czubkiem kordelasa i spojrzął mu prosto w oczy.

- Uśmiejesz się, kiedy zobaczysz, jak będzie się czołgał i błagał o litość - rzekł do Cassandry. Stuart lekko wykrzywił usta.

- Odłóż broń, O'Leary - zaproponował, nie zważając na zimny dotyk śmiercionośnej stali - a zobaczymy, kto będzie się czołgał.

- Uważaj, Marston! - wykrzyknął groźnie Drum. Opuścił rękę i odstąpił dwa kroki do tyłu. - Zrobię z tobą, co zechcę.

Stuart doskonale zdawał sobie sprawę z beznadziejności swego położenia, więc nagle wyrwał się strażnikom i skoczył naprzód. Z pogardą spojrzął na uśmiechniętą twarz Druma i przeniósł wzrok na żonę. Nie chciał, żeby była świadkiem tego, co go miało spotkać.

- Co chcesz osiągnąć tą swoją głupotą? - wycodził przez zaciśnięte zęby. Strach było w tej chwili na niego patrzeć. - Rozkazałem ci zostać pod pokładem. Jeżeli jeszcze raz mnie nie posłuchasz, nie ręczę za to, co się potem stanie!

Cassandra chciała pochwyć go w ramiona i zapewnić o swej miłości. Przecież podjęła tę grę z Drumem tylko po to, żeby uratować męża od okropnej śmierci. Wiedziała, że takie dramatyczne sceny jedynie niepotrzebnie skomplikują sytuację.

- Rozkazałeś?! - krzyknęła z udawanym oburzeniem. - Stuarcie, nie jestem chłopcem okrutnym ani służącą, tylko twoją żoną. Mam pełne prawo tu przebywać.

Na te słowa Drum O'Leary znieruchomiał osłupiały. Zaraz jednak odchylił głowę i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Żoną! - ryknął. - Powiedziałaś: żoną?! Cassandra odwróciła się do niego z pobladłą twarzą, ale jej oczy ciskały błyskawice.

- Owszem, żoną, i mogę cię zapewnić, że widok męża ciągniętego pod kilem nie sprawi mi przyjemności.

Stuart kątem oka widział pozostałych przy życiu marynarzy z jastrzębia Morskiego". Kręcili się, niepewnie przestępowali z nogi na nogę i pytająco patrzyli sobie w oczy. Najwyraźniej czuli się oszukani i zdradzeni.

- Idź na dół, Cassandro - powiedział niskim i złowrogim tonem, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie. Drum roześmiał się jeszcze głośniejsze. Rechotał tak, że aż mu łzy stanęły w oczach.

- Każdy, kto zna ją odrobinę lepiej, dobrze wie, że ona nikogo nie słucha. To nie leży w jej naturze. Jest przecież córką Nathaniela Wylde'a. - Nagle przestał się śmiać i drwiąco popatrzył na Cassandrę. - Dalibóg, ciekaw jestem, jak doszło do waszego związku. To musi być ciekawa

opowieść. Nat się zaśmiewa w swoim mokrym grobie. Wiedziałaś przed ślubem, że to właśnie Marston zaprowadził go na szubienicę?

- Miał ku temu swoje powody, Drum. Ale odpowiem ci na pytanie. Nie wiedziałam. On zresztą też nie wiedział, kim jestem. Prawda wyszła na jaw dopiero po ślubie.

- To musicie być wspaniałą parą. - parsknął Drum. - Zwłaszcza w małżeńskim łożu.

Cassandra obrzuciła go wściekłym wzrokiem.

- Nat dostał to, na co zasłużył - powiedziała. - Chociaż te słowa sprawiają mi ból. Ty też doczekasz się kary. Nie zawsze szczęście będzie ci dopisywać.

Drum popatrzył na nią ponuro.

- Rozczarowałaś mnie. Nie spodziewałem się, że zhańbisz pamięć ojca. Nat kochał cię z całego serca. Dobrze, że nie słyszał tego, co przed chwilą powiedziałaś.

Ton jego głosu sprawił, że Cassandra poczuła się nagle jak zdrajczyni. Może naprawdę zabrakło jej wiary, aby zachować nieskalane wspomnienie o zmarłym ojcu? Szybko odwróciła głowę i zamrugała powiekami, żeby odpędzić łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. Było jej smutno. Pierwszy raz od chwili, kiedy Stuart powiedział jej o śmierci brata, powróciły wspomnienia. Tak, tak. Ona też zdradziła Nathaniela Wylde'a.

- Kochałam go na swój własny sposób - powiedziała ciszej. - Był moim ojcem, ale nie mogę czcić go za to, że zabijał! - wybuchnęła nagle. - Był okrutny. Nigdy nie chciałam należeć do jego świata.

- Zdawałaś sobie sprawę, czym się zajmował. Udawałaś, że nie wiesz, bo tak było ci wygodniej. Czulaś się rozgrzeszona.

- Może masz rację - przyznała. - Teraz jest już inaczej. Posłuchaj, Drum. - Podeszła bliżej i powiedziała łagodnym, niemal proszącym tonem: - Daruj życie memu mężowi. Proszę cię. Jeśli choć trochę cię obchodzi, to nie pozwól, żeby jego śmierć na zawsze stanęła między nami.

Drum pospiesznie odwrócił głowę. Był zły, bo wiedział, że potrafiła zmiękczyć serce najtwardszego pirata, łącznie z nim samym i Nathanielem Wylde'em.

- Nie - odparł. - Nie mogę tego zrobić nawet dla ciebie, Cassandro. Znajdziesz sobie innego męża.

Skrzywiła się pogardliwie i z uporem zacisnęła zęby.

- Jestem żoną Stuarta. Nie chcę innego.

- Zasłużył na najgorszą śmierć. Nie zapominaj, że wziął do niewoli mego przyjaciela. Patrzył, jak go wieszają.

- Twojego przyjaciela, a mojego ojca! - przypomniała mu dobitnym tonem. - Jeżeli ja mogę mu wybaczyć, to tym bardziej ty, jak też wszyscy z twojej bandy. Nat jest odpowiedzialny za śmierć brata Stuarta. Pamiętasz żaglowiec zatopiony w pobliżu Karaibów? Niemal wszyscy poszli na dno: mężczyźni, kobiety i dzieci. Na pewno byłeś przy tym. Chcesz powiedzieć, że Stuart nie miał najmniejszych powodów, żeby szukać-sprawiedliwej zemsty? Myślisz, że Nat pochwaliłby twoje zamiary? Że spokojnie patrzyłby, jak wieszasz jego zięcia? Drum uważniej spojrzał na Stuarta.

- Jak się nazywał statek, na którym płynął twój brat?

- „Gwiazda Wieczorna” - padła odpowiedź. - Od tamtej pory tyle ich splądrowałeś, łotrze, że ta nazwa nic ci nie powie.

Drum ze zdumieniem spoglądał to na niego, to na Cassandrę. Coś tu się nie zgadzało.

Pominąwszy wszystkie inne grzechy, tym razem ktoś niesprawiedliwie oskarżał Nathaniela Wylde'a.

- Masz mnie za głupca czy też za starca, któremu pamięć już nie dopisuje? - Podszedł do Stuarta i hardo spojrział mu w oczy. - Dobrze pamiętam tamten statek. Odłączył się od konwoju. Byłem wtedy z Natem na „Delfinie”, ale pływaliśmy w parze. Drugim żaglowcem dowodził niejaki Jacob Yeats. Postać z piekła rodem; zupełne przeciwieństwo Nata. Twoje zarzuty są wysane z palca, Marston.

Stuart wydał wargi z najgłębszą pogardą.

- Chcesz powiedzieć, że Wylde nie brał udziału w napadzie? Oszczędź mi kłamstw, O'Leary. Byli świadkowie. Statki z konwoju wyłowiły z wody kilku rozbitków. Przyptynęły jednak za późno, żeby uratować resztę.

- Nat rzeczywiście zabrał część ładunku z „Gwiazdy Wieczornej” - odparł Drum, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Potem odpłynęliśmy, przekonani, że Yeats zrobił to samo. Była gęsta mgła i musieliśmy wracać oddzielnie. Zostawiliśmy „Gwiazdę” niemal nietkniętą. Pasażerom nic się nie stało. Nat nigdy nie krzywdził jeńców. Nie był okrutnikiem. Atakował, zagarniał łupy i znikał. Ginęli tylko ci, którzy stawiali opór. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że Yeats został i przedziurawił kadłub „Gwiazdy”.

- Myślisz, że w to uwierzę? Drum wzruszył ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz. Powiedziałem prawdę.

- A Yeats?

- Podobno zginął jakiś rok temu podczas napadu na hiszpański żaglowiec.

Stuart nieporuszony słuchał tych wyjaśnień.

- Próbujesz rozgrzeszyć Wylde'a? - spytał cierpkim tonem. - To i tak niczego nie zmienia. Zasłużył na to, żeby go powiesić.

- W twoim przypadku też nic się nie zmieniło. - Drum zerknął na swoją bandę. Spoglądali na niego z wyczekiwaniem, zaciskając dłonie na rękojeściach noży i sztyletów. - Popatrz na nich. Chcą twojej głowy. Nie wiadomo, co zrobią, jeśli jej nie dostaną.

- Co ci się stało? Nie masz posłuchu wśród własnej załogi? - wtrąciła urągliwie Cassandra, dla podkreślenia swoich słów zaciskając dłonie w pięści i biorąc się pod boki. - To oni będą ci dyktować, co masz zrobić? Och, nie takiego Druma O'Leary'ego znałam!

Niektórzy z piratów przysunęli się do rozmawiających. Cassandra jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi i w milczeniu, wyczekująco, patrzyła na Druma. Stary pirat w końcu westchnął i pokręcił głową. Za bardzo mu przypominała Nata. Wylde wprawdzie już nie żył, ale córka odziedziczyła po nim nieugiętą wolę.

Drum przełknął gorzką pigułkę.

- Co się z nami dzieje, Cassandro? Zachowujemy się jak wrogowie.

- To tylko zależy od ciebie, Drum. Jeśli zabijesz mi męża, nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy. Wystarczy, że powiesz jedno słowo. Decyzja należy do ciebie.

Wciąż patrzyła na niego z napięciem. Drum lekko, niemal niedostrzegalnym ruchem pochylił głowę. Cassandra odetchnęła z ulgą.

- Chcę jeszcze cię o coś prosić.

Drum zeszywniał i spojrział na nią czujnie.

- O co?

- Zabierz mnie stąd. Zrozumię jednak, że nie popłynę z tobą, jeżeli będziesz miał na rękach krew mojego męża.

Kątem oka zauważyła gwałtowny ruch Stuarta.

- Cassandra! Na miłość boską, zastanów się, co robisz!

Nawet nie odwróciła głowy. Dwóch krzepkich piratów pochwyliło jeńca, zanim zdążył do niej podbiec. Drum z zadowoleniem błysnął oczami i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wejdiesz na pokład jako wróg czy przyjaciel?

- Wzruszył ramionami. - Zresztą nieważne. Dobrze będzie znów pływać z córką Nata. Jak za dawnych czasów.

- To niemożliwe - odparła beznamiętnym tonem.

- Chcę płynąć, bo po prostu nie mam innego wyjścia. A teraz spełnisz moją prośbę? Nie zabijesz Stuarta?

Drum uparcie unikał wzroku piratów, ale skinął głową.

- A co z załogą? Też ich oszczędzisz?

- Pozostaną pod strażą, dopóki nie odpłyniemy.

Piraci, wściekli, że ktoś chce ich pozbawić okrutnej przyjemności, ruszyli naprzód zwartą tłuszcą. Błysnęły ostrza kordelasów. Wystarczyło jednak, że Drum machnął ręką i wydał krótki rozkaz, by cała banda natychmiast się zatrzymała.

- Słyszeliście moją decyzję. Zabieramy ładunek, działa i wszystko, co wam wpadnie w oko.

Marston i jego ludzie pozostaną nietknięci. Robię to przez wzgląd na przeszłość, która mnie łączyła z tą dziewczyną i jej ojcem. Zrozumiano?

Piraci niechętnie zeszli do ładowni, żeby tam szukać pocieszenia. Po chwili niczym mrówki rozpełzli się po całym statku.

Stuart uwolnił się z rąk strażników i skoczył w stronę Druma, lecz znów go przytrzymało, choć szarpał się jak oszalały. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu.

- Zabiję cię, jeśli mi odbierzesz żonę, O'Leary. Klnę się na Boga, że cię zabiję.

Drum szarmancko skłonił się przed Cassandrą i wskazał jej „Delfina”. Potem uśmiechnął się zjadliwie do człowieka, którego jeszcze przed chwilą zamierzał zgładzić.

- Masz, co chciałeś: statek i załogę. Ja też zabieram to, co chciałem. Twoją żonę.

- Idź do diabła! - zawołał Stuart. - Ona tu zostanie. Musiałbyś mnie najpierw zabić, żeby ją zabrać!

Drum wzruszył ramionami.

- Nie kuś mnie, Marston - mruknął. Pociągnął Cassandrę za sobą, z dala od ludzkich uszu i spytał z zaciekawieniem: - Nie przyrzekałaś przed ołtarzem, że będziesz mu wierna i nie opuścisz go aż do śmierci?

Cassandra przez łzy spojrzała na Stuarta.

- Możesz mi wierzyć, że z całego serca chciałabym być zawsze przy nim - odparła. - Gdy opuściłam Londyn, nawet nie myślałam, że moje życie stanie się tak okrutną farsą. Niestety, podobno widziano mnie na „Delfinie”, kiedy żeglowaliśmy w dół Tamizy. Wyznaczono nagrodę za moją głowę. - Uśmiechnęła się smutno. - Teraz jestem warta tyle co ty - dodała. - Gdybym wróciła ze Stuartem do Anglii, na pewno ktoś by mnie rozpoznał i zawisłabym na szubienicy. Sam więc widzisz, że nie mam większego wyboru.

- A co z przysięgą? Jeśli Marston zostanie żywy, to nie będziesz mogła wyjść powtórnie za męża. Jeden cios kordelasem i...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie, bo już sama myśl o rozstaniu ze Stuartem była nie do zniesienia. - Razem czy oddzielnie... pozostanę jego żoną. Nic tego nie zmienia.

Smart tymczasem klął pod nosem i wraz z resztą swojej załogi bezradnie patrzył, jak cenny ładunek znika w ładowniach „Delfina”. Piraci zaglądali w każdy kąt i ogołocili statek ze wszystkiego, co mogli unieść na plecach. Zastanawiał się, czy nie rzucić się na O'Leary'ego i skoczyć za burzę, pociągając go ze sobą. Wiedział jednak, że zanim zdążyłby uczynić pół kroku, najbliższy pirat bez wahania wbiłby mu sztylet w serce. Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że niedobitki z załogi „Jastrzębia” tylko Cassandrze zawdzięczają życie. Nikt nie mógł jej oskarżyć o brak odwagi.

Ale chyba nie chciała naprawdę odplłynąć z Drumem? Nie potrafił pogodzić się z myślą, że mógłby ją utracić.

Cassandra z wolna podeszła do niego. O'Leary kroczył tuż za nią.

- To czysty obłąd - rzekł Stuart głosem drżącym z gniewu. - Nawet nie postawisz stopy na tamtym statku. Zakazuję ci.

Badawczo popatrzyła mu prosto w oczy. Potem przeniosła wzrok na Druma.

- Zostaw nas na chwilę samych. - Drum niechętnie usunął się na bok i ruchem głowy wezwał do siebie strażnika, który stał obok.

- Nie złość się na mnie, Stuarcie - powiedziała Cassandra. - Nie mogę postąpić inaczej. Proszę cię, nie utrudniaj. Najważniejsze, że będziesz żył, a wraz z tobą przynajmniej część załogi „Jastrzębia Morskiego”. To teraz dla mnie najważniejsze.

Stuart chwycił ją za ramiona i potrząsnął, jakby w ten sposób chciał przemówić jej do rozumu.

- Niech zginę, ale nie zostawię cię z tymi bandytami! Wolę śmierć niż świadomość tego, że jesteś z nimi. Na litość boską, zastanów się, co robisz. Jeśli teraz odejdziesz, stracisz szansę na normalne życie.

Cień bólu przemknął przez piękną twarz Cassandry, ale w jej głosie nie było śladu wątpliwości.

- Nic nie rozumiesz, Stuarcie. Najgorsze już się stało. Wszyscy na twoim statku wiedzą, kim jestem. Po powrocie do Anglii na pewno ktoś złoży donos, żeby zgarnąć nagrodę.

- Dopilnuję, by długo się nią nie nacieszył.

- Ale to mnie nie uratuje. Uwierz mi, wszystko dokładnie przemyślałam. To nie była łatwa decyzja, ale naprawdę nie mam innego wyjścia. Wciąż cię kocham, lecz przez swą obecność ściągnęłabym tylko wstyd na ciebie i twoją rodzinę. Muszę odejść. Tak będzie lepiej.

Mówiła z takim przekonaniem, że Stuart z wolna zaczął wierzyć, iż rzeczywiście straci ją na zawsze. Mocniej ścisnął ją za ramiona.

- Nieprawda. Uciekając, tylko pogorszysz swoją sytuację. Jeśli powrócisz ze mną do Londynu, złożę zeznania w admiralicji. Przekonam ich o twojej niewinności. Mam swoje wpływy i znajomych, których głos liczy się nawet na dworze. Na pewno znajdziemy sposób, żeby cię oczyścić ze wszystkich zarzutów.

- Wcale nie jestem tego taka pewna - odparła z bladym uśmiechem. Pokusa była naprawdę duża. Och, jakże chciała rzucić się w ramiona męża i zostać z nim na zawsze! Był jej potrzebny. Był silny, mądry. Musiała jednak wyzbyć się nadziei.

- Tu chodzi o moje życie. Nie mogę ryzykować. Pomyśl sam - przecież nie udowodnisz im, że to nie ja wyprowadziłam „Delfina” i zabrałam ciało Nata.

Władze mi tego nie darują. A tymczasem najgorszym grzechem, jaki popełniłam w życiu, jest tylko to, że pewnego dnia wsiadłam na piracki statek. Niestety, zrobiłam to z własnej woli i nic nie mam na swoją obronę. W oczach władz jestem winna.

Stuart zrozumiał nagle, że nie uda mu się przekonać żony. Bezradnie opuścił ręce. Cassandra stała przed nim nieruchomo, patrząc z bólem i smutkiem.

- Do samej śmierci będę cię kochać, Stuarcie, i choćbym chciała, to żadna siła tego nie odmieni. Nawet nie wiem, jak to się stało. - Spojrzała mu prosto w oczy, chcąc w nich znaleźć choćby odrobinę ciepła. - Oddałabym wszystko, zniosła najgorszy ból i poniżenie, gdybyś powiedział, że choć trochę ci na mnie zależy. Choć troszeczkę.

Stuart nie potrafił dłużej okazywać wrogości. Chwytnął żonę i przyciągnął do siebie, tak że jego twarz znalazła się o centymetry od jej twarzy.

- Tak, zależy mi na tobie - przyznał. - Początkowo byłem przekonany, że po pewnym czasie mi to przejdzie, ale nie. Podobasz mi się coraz bardziej. Prześladujesz mnie nawet we śnie.

Cassandra popatrzyła na niego ze zdumieniem. Nie spodziewała się takiego wyznania. Szeroko otworzyła oczy i z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Ależ, Stuarcie! Nie sądziłam... nie przypuszczałam...

- Nic dziwnego. Skąd mogłaś o tym wiedzieć?

Nie potrafię wyjaśnić, co mnie przy tobie trzyma. To coś więcej niż więzy małżeńskie. Więcej niż twój uśmiech, gesty i spojrzenia. To coś, co mi zatręło krew i sprawia...

Urwał. Cassandra nie wierzyła własnym uszom. Mówił jednak z taką pasją, że musiał ją naprawdę kochać.

- Czasami jednak przychodzą chwile, kiedy w myślach widzę twarz brata - ciągnął. - A wtedy wszystkie demony piekieł drwią sobie ze mnie, przypominając, że poślubiłem córkę Wylde'a. Bez względu na to co się wtedy stało, Wylde rzeczywiście był hersztem piratów. Temu nikt nie zaprzeczy.

- Wiem, i nie mam do ciebie żalu.

- Nie rozumiesz, że nie mam prawa cię kochać?! - wybuchnął Stuart. Był zły z powodu własnej bezsilności. - Z drugiej strony nie chcę żyć bez ciebie. Nie umiem. Gdybym mógł, zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, żeby nie puszczać cię z tym piratem.

Cassandra była głęboko poruszona. Wiedziała jednak, że nieodwołalnie nadchodzi moment pożegnania.

- Zbyt wiele nas dzieli, Stuarcie - szepnęła. - Nie zdołamy pokonać tej bariery.

Uniosła rękę i powoli zsunęła z palca ślubny pierścień. Złożyła na nim delikatny pocałunek i oddała go Stuartowi.

- Zatrzymaj go dla mnie, dobrze? Nie chciałabym, żeby wpadł w oko któremuś z piratów. -

Uśmiechnęła się smutno. - Gdyby tylko umieli, to ukradliby ci we śnie złote zęby.

- A ty chcesz z nimi zostać. - Niechętnie wyciągnął rękę po pierścień.

- Tylko przez pewien czas.

- A potem? Dokąd się udasz? Gdzie zamieszkaż?

- Chyba na Wyspach Zielonego Przylądka. Poznałam tam kilka osób, kiedy Drum wybrał się do rodziny. Tam też po raz pierwszy spotkałam Rosę.

- Proszę cię, nie rób tego - powiedział Stuart w ostatniej desperackiej próbie skłonienia jej do zmiany zdania. - W Anglii na pewno będziesz bezpieczniejsza niż wśród morderców i rabusiów. Popłyń ze mną i wspólnie stawimy czoło wszelkim wyrokom losu.

- Bóg z tobą, Stuarcie. Niestety, nie zostanę. To już postanowione, ale... jest jeszcze coś, co mógłbyś zrobić, zanim się rozstaniemy - powiedziała, patrząc na niego z bólem i miłością.

Uniósł brwi w geście zdziwienia.

- Co takiego?

- Pocałuj mnie na pożegnanie.

Nie musiała go dwa razy prosić. Błyskawicznie porwał ją w ramiona.

- Zrobię to z radością - szepnął - ale nie na pożegnanie. Jeśli znajdziesz się w potrzebie, to na pewno cię odnajdę. Tylko śmierć mi w tym przeszkodzi.

Cassandra objęła go za szyję i tak trwali w długim pocałunku, obojętni na resztę świata. W końcu Cassandra położyła dłonie na piersiach Stuarta i odepchnęła go delikatnie. Popatrzyła mu prosto w twarz, jakby na zawsze chciała zapamiętać ukochane rysy. Stuart nie próbował przyciągnąć jej z powrotem. Wiedział, że musi z rezygnacją przyjąć wyrok losu.

- Przynajmniej wygrałem twoją miłość - rzekł.

- O, nie, kapitanie Marston. Z tego, co widziałem, to raczej przegrał pan na wszystkich frontach - odezwał się Drum, podchodząc do nich.

Smart poderwał głowę i w jego oczach zamigotały złe błyski. Zaraz jednak spojrzął gdzieś ponad ramieniem pirata i uśmiechnął się lekko, ale z wyraźną satysfakcją.

- Proszę, proszę - powiedział, błyskając białymi zębami. - Jeszcze nie całkiem zwyciężyłeś, O'Leary. Spójrz tam i powiedz mi, co widzisz.

Dwa okręty pod pełnymi żaglami płynęły w stronę „Jastrzębia Morskiego”. Ich bandery dumnie łopotały na wietrze, a z burt sterczały błyszczące lufy armat. Piraci byli tak zajęci wynoszeniem łupów, że do tej pory nikt z nich nie zauważył nadciągającej odsieczy. Drum zaklął głośno i okrzykiem wezwał kamratów, by jak najszybciej wracali na „Delfina”. Wiedział, że jego statek nie ma żadnych szans w walce z tak potężnym przeciwnikiem.

Coś błysnęło przy burcie jednego z żaglowców i po chwili w pobliżu „Jastrzębia” trysnęła w górę fontanna wody. Strzał był mierzony daleko od uszkodzonego statku, ale stanowił wyraźne ostrzeżenie dla piratów. Cała banda pospiesznie zbiegła na „Delfina”, zostawiając nietkniętą część ładowni.

Drum chwycił Cassandrę za rękę, żeby pomóc jej przejść po trapie. Stuart obrzucił go złym spojrzeniem.

- Zabieraj od niej te brudne łapy! - krzyknął i sprężył się do skoku, lecz w tej samej chwili poczuł na gardle ostrze noża, który tkwił w dłoni jednego z piratów.

Cassandra z przerażeniem patrzyła na tę scenę.

- Nie martw się o mnie, Stuarcie! - zawołała. - Wkrótce rozpocznę nowe życie. Nigdy jednak nie stracę nadziei, że kiedyś się spotkamy, jeśli nie na tym, to na tamym świecie, i spojrzysz na mnie jak na Cassandrę Marston, a nie na córkę Nathaniela Wylde'a. Żegnaj, ukochany.

Stuart szarpnął się, ale zamarł w pół kroku, czując, że krew ścieka mu po szyi w miejscu, gdzie go zadrasnął czubek pirackiego noża.

- Idź zatem, jeśli musisz, Cassandro. Wiedz jednak, że tak łatwo z ciebie nie zrezygnuję. Będę cię szukał i klnę się na Boga, że nie ma takiego miejsca na świecie, w którym zdołasz przede mną się ukryć! Będę cię ścigał z tą samą zawziętością, z jaką ścigałem twojego ojca.

Cassandra doskonale słyszała słowa Stuarta, ale zebrała w sobie wszystkie siły, żeby się nie odwrócić.

Stuart nie wiedział, jak długo stał samotnie, oparty o reling. W głowie i sercu miał przerażającą pustkę. Drgnął wtedy, gdy James Randell delikatnie ujął go za ramię.

Pierwszy oficer, tak jak wszyscy z załogi „Jastrzębia Morskiego”, poznał tożsamość Cassandry. Na jego twarzy malował się wyraz współczucia i zrozumienia.

- Co mam powiedzieć? - odezwał się. - Nie wiedziałem. Nikt z nas nie wiedział. Jest mi bardzo przykro. .. za was oboje.

Smart posępnie skinął głową.

- Tak będzie lepiej dla nas wszystkich - ciągnął James, zdając sobie sprawę z tego, co się działo w sercu kapitana. - Gdyby została z nami na „Jastrzębiu”, łatwo doszłoby do otwartego buntu. Sam o tym wiesz, Stuarcie. Wybrała najlepsze wyjście. W Anglii na pewno by ją powieszono. Nawet ty byś jej nie uratował.

Smart przytaknął.

- Nigdy nic nie wiadomo, ale chyba masz rację, Jamesie. Wybrała najlepsze wyjście - powtórzył słowa przyjaciela. - Ocaliła nam życie. Powinniśmy jej być za to wdzięczni.

Odwrocił się na czas, żeby zobaczyć, jak do burty dobijają dwa żaglowce. Jednym z nich była „Inicjatywa” kapitana Samuela Tillotsona.

Niewiele pamiętał z tego, co było dalej. Ciężko rażno wzięli się do pracy i wkrótce „Jastrzęb Morski” znów rozwinął żagle, aby nadrobić czas stracony przez sztorm i piratów. Wracali do Anglii.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cassandra głęboko przeżyła rozstanie ze Stuartem. Była zupełnie załamana. W sercu miała pustkę. Nie sądziła, by coś mogło zmienić ten stan rzeczy. Czuła nienawiść do „Delfina” i jego załogi. Uparcie odrzucała wszystkie próby spoufalenia się z piracką bandą. Fakt, że mają do czynienia z córką Nathaniela Wylde'a, pozostającą pod opieką Druma, powstrzymywał piratów przed agresywnym, brutalnym zachowaniem.

„Delfin” popłynął na Wyspy Kanaryjskie, leżące opodal północno-zachodnich wybrzeży Afryki i zawinął na Teneryfę. Tam załoga spędziła pewien czas na czyszczeniu kadłuba statku. Było to czasochłonne zajęcie, więc Cassandra miała dość okazji, żeby wygrzewać się na słońcu i pozbyć się ponurych myśli.

Wreszcie odpłynęli na Wyspy Zielonego Przylądka. Cassandra dużo rażniej spoglądała w przyszłość. Nie przypuszczała, że tu wróci. Potrzebowała i szukała spokoju. Czas pokaże, co będzie dalej, pomyślała. Tymczasem los szykował dla niej jeszcze jedną niespodziankę. I to bardzo nieprzyjemną.

Dwa zbrojne okręty brytyjskiej marynarki patrolowały wody u brzegów zachodniej Afryki, pilnując szlaku wiodącego z Anglii do Indii Wschodnich, którym często pływały frachtowce z cennym ładunkiem. Drum dostrzegł je i próbował uciec, ale „Delfin” okazał się za słabym rywalem dla szybkich, zwrotnych i potężnych okrętów wojennych.

Piraci nie zdołali umknąć, choć postawili wszystkie żagle. Anglicy dopadli ich i z bliska otworzyli ogień. Poważnie uszkodzony „Delfin” wpadł w dryf i po kilku godzinach zaczął tonąć. Walka na pokładzie była bardzo krótka. Prawie cała załoga zginęła, łącznie z Drumem, który został trafiony kulą z muszkietu i poszedł na dno razem ze swym statkiem.

Wzięto do niewoli zaledwie kilku jeńców - czterech mężczyzn i kobietę - w której kapitan jednego ze zwycięskich okrętów natychmiast rozpoznał córkę Nathaniela Wylde'a. Zatarł ręce z radości, bo nagroda wyznaczona przez admiralicję za jej głowę była bardzo wysoka.

O Cassandrze krążyły przedziwne opowieści, zazwyczaj grubo przesadzone. Mówiono więc, jak to podstępnie omamiła strażników, wykradła statek i zwłoki ojca i ruszyła na rozbój na pełne morze. Wielu patrzyło na nią ze strachem zmieszonym z podziwem.

Ów strach podszyty był też zazdrością. Widziano w niej kobietę, która miała dość odwagi, aby zerwać ze sztywnymi nakazami angielskiego prawa i angielskiej moralności. Pływała po bezkresnych morzach i oglądała tropikalne wyspy, głośno plotki. Wychwalały też jej urodę. Popularność Cassandry wywołała niemałą konsternację wśród urzędników admiralicji. Już wcześniej był kłopot z piratem-dżentelmenem, za którego powszechnie uchodził Nathaniel Wyld. Sympatie tłumu stały więc po stronie córki Wyld'e'a, którą władze chciały, tak jak Nata, powiesić na szubienicy.

Po przybyciu do Londynu Cassandra została osadzona w więzieniu Newgate. Było to zupełnie nowe więzienie postawione na miejscu starego, które spłonęło w wielkim pożarze miasta w 1666 roku. Z zewnątrz prezentowało się całkiem okazale, ale w środku ból i nieszczęście szły ręką w rękę.

Cassandra zachowywała się jak otępiąta, nie okazując żadnych emocji. Zamknięto ją w ciemnym, podziemnym lochu, przeznaczonym dla najgorszych zbrodniarzy. Panowały tam brud i wilgoć, a pod ścianami uganiały się ogromne czarne szczury. Ich małe ślepia połyskiwały czasem w blasku pojedynczej świecy oświetlającej celę.

Zakuta w ciężkie kajdany, była tak zmęczona, że niewiele myśląc, rzuciła się na wiecheć słomy, służącej jej za pościel, i zasnęła jak zabita. Strażnicy przypatrywali jej się ze zmieszaniem. Kiedy się obudziła kilka godzin później, znów opadły ją mroczne wspomnienia. Znalazła się w przedsionku piekła.

Stuart przyплыł z konwojem do Londynu dopiero dwa tygodnie po pojmaniu Cassandry. Nic nie wiedział o losie żony. „Jastrząb Morski” zręcznie dobił do nadbrzeża, na którym kłębił się kolorowy tłum witających. Znajomy widok dla wszystkich marynarzy wracających z długiego rejsu.

Po wydaniu rozkazów dotyczących wyładunku, Stuart po raz ostatni opuścił swój statek, „Jastrząb” należał teraz do spółki Wheatley and Roe Mercantile Company. Dawny kapitan natychmiast udał się do domu w Bloomsbury, na spotkanie z matką.

Nie zabawił tam jednak zbyt długo, gdy w drzwiach stanął lokaj, anonsując wizytę Jamesa Randella. Pierwszy oficer z „Jastrzębia” był bardzo poruszony. Zaciekawiony Stuart przeprosił matkę i poprowadził gościa do gabinetu.

James odmówił poczęstunku i od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Wybacz, Stuarcie, że cię niepokoję, ale przed chwilą rozmawiałem z moim znajomym z admiralicji. Mam dla ciebie smutną nowinę. Nie mogłem z tym czekać.

Stuart zmarszczył brwi, słusznie przewidując, że za chwilę usłyszy coś nieprzyjemnego.

- O co chodzi?

- To dotyczy twojej żony.

- Mów.

- „Delfin” został zauważony u brzegów Afryki przez dwa nasze okręty wojenne. Próbował uciec, więc zaczęli strzelać. Ponoć zatonął po ciężkiej bitwie, wraz z kapitanem i prawie całą załogą.

James w kilku słowach nakreślił przebieg wypadków. Stuart ciężko oparł się o gzyms kominka. Krew odpłynęła mu z twarzy i pociemniało w oczach.

- A co z Cassandrą? Co z moją żoną? Chcesz mi powiedzieć, że też zginęła?

- Nie. Żyje. Przywieziono ją do Londynu. Smart westchnął z ogromną ulgą, lecz jego radość trwała krótko. Uświadomił sobie, co ją czeka.

- Gdzie ona jest? Co z nią zrobili?

- Osadzono ją w Newgate. Czeka na proces. Jej osoba budzi powszechne zainteresowanie połączone nawet z sympatią. Admiralicja chce zakończyć tę sprawę jak najszybciej. Stuart podszedł do okna i zapatrzył się przed siebie. Nie widział jednak niczego. Przed oczami miał Cassandrę. Jawiła mu się taka, jak na pokładzie zniszczonego „Jastrzębia Morskiego” - odważna, dumna i nieustraszona, nawet podczas rozmowy z Drumem. Do tego piękna. Nieziemsko piękna, pełna miłości i oddania. Strach chwycił go za gardło, gdy przypomniał sobie, w jakich warunkach przebywają więźniowie w Newgate.

- Zapewne osądzono ją bez przesłuchania - powiedział, gdy otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia. - W oczach admiralicji jest winna, bo się urodziła.

- Niestety, tak to wygląda - z wahaniem potwierdził James. - Przygotowano akt oskarżenia. O ile wiem, świadków można policzyć na palcach jednej ręki. To może działać na jej korzyść. Żaden kupiec przecież nie potwierdzi, że brała czynny udział w napadach Wylde'a i O'Leary'ego.

- Dostała obrońcę?

- Nie. Chyba nie.

- Muszę iść do niej. Natychmiast muszę ją zobaczyć - zdecydował Stuart. - Dziękuję, Jamesie, że do mnie z tym przyszedłeś. Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. Na razie nikt nie powinien wiedzieć o moich związkach z Cassandrą.

- Ręczę ci za to moim słowem, Stuarcie, chociaż nie wiem, co z resztą załogi.

- Tak. Zdaję sobie z tego sprawę. Znając ich, liczę na to, że prosto ze statku poszli do tawerny. Nie wytrzeźwieją co najmniej przez tydzień.

Po wyjściu Jamesa stał w oknie jeszcze dłuższą chwilę, rozmyślając o żonie. Boże, żeby tylko udało się ją uratować! Musi użyć wszystkich swoich wpływów, aby ją z wybawić ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Bał się, że władze spróbują ją zastraszyć i sprawić, że przyzna się do niepopelnionych grzechów. Szybko otrząsnął się z przygnębienia. Nie czas na próżne żale. Trzeba działać, uznał i poczuł przypływ energii.

Pożegnał się z matką i wyszedł. Godzinę później, z pękatą sakiewką w kieszeni, stał już u bramy Newgate. Po chwili wszedł do środka.

Cassandra nigdy nie myślała, że w Londynie mogą być tak ponure i odrażające miejsca jak Newgate. Mokra ściana ciemnej celi pokrywała gruba warstwa śluzu. Zewsząd - z góry, z dołu, z boków - słychać było okropne odgłosy więzienia: jęki, krzyki, brzęk kajdan, a nawet śmiechy złowrogo brzmiące w jej uszach.

Wokół rozchodził się dławiący smród zgnilizny. Z niechęcią odsunęła talerz ze stęchłą strawą, przyniesiony jej przez dozorcę. Później jednak doszła do wniosku, że jej złe samopoczucie to nie tylko skutek więziennego wikt. Była brzemienna. W łonie nosiła dziecko Stuarta. W innej sytuacji jej szczęście nie miałoby granic. Teraz, w obliczu śmierci, wpadła w rozpacz.

Po kilku dniach pozwolono jej opuścić celę i dołączyć do innych więźniów - przedziwnej mieszaniny oszustów, złodziei, dłużników, dziwek i morderców. Znali ją z wielu opowieści, więc od razu zyskała wśród nich pewną sławę. Nie bratała się jednak z nimi. Zwykle trzymała się na boku, z pozorną obojętnością oczekując swojego losu. Nikt nie wiedział, co naprawdę myśli i czuje.

Nadal nosiła kajdany na rękach i nogach, ale na szczęście łańcuch był na tyle długi, że mogła chodzić po celi; przebywały w niej wyłącznie kobiety. Widziała wiele zła panoszącego się w więzieniu. Wszystko tu miało swoją cenę, więc los więźniów zależał przede wszystkim od ich zasobności. Na skraju rozpacz, za nędzne szesnaście szylingów sprzedała chciwemu strażnikowi złoty pierścionek.

Był to prezent, który dostała od Meredith na osiemnaste urodziny, wart co najmniej dziesięć razy i więcej. Cassandra jednak nie łudziła się, że ujdzie z życiem, więc stał się jej niepotrzebny. Poza tym bała się, że któraś z więźniarek poderżnie jej w nocy gardło, byle go tylko dostać. Dodatkowo martwiła się swoim stanem. Od dnia, i w którym zatonął „Delfin”, nie miała okazji, aby się porządnie umyć. Chodziła rozczochrana i w brudnej sukni. Nabawiła się wszy, jak zresztą wszyscy w Newgate. Jednym słowem, niewiele się różniła od pozostałych więźniów.

W trosce o dziecko unikała ludzi. W Newgate choroby zbierały obfite żniwo. Prawie codziennie ktoś umierał, a noworodki nie wytrzymywały długo w brudzie i nędzy. Do więzienia przemycano wódkę, prostytutka była na porządku dziennym. Przez cały czas ktoś wchodził i wychodził, bo niektórych więźniów odwiedzali krewni i znajomi. Nikt im tego nie zabraniał pod warunkiem, że mieli dość pieniędzy, aby przekupić strażników.

Pewnego dnia dozorca przyniósł jej spory tobołek, przysłany przez Meredith. Do paczki dołączony był list, w którym kuzynka przeproszała ją, że nie przyszła sama, lecz nie miała siły i odwagi, żeby przekroczyć bramy Newgate. Wyrażała ogromny żal i współczucie, że Cassandra trafiła do takiego miejsca. „Modlę się co dzień, żeby władze okazały Ci wyrozumiałość i oczyściły z wszelkich zarzutów”.

Cassandra miała poczucie winy za to, że w przeszłości z niechęcią traktowała swoją opiekunkę. Przecież po tym, co przeszła z rąk ciotki i wuja, w domu Johna i Meredith znalazła naprawdę spokojną przystań. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że kuzynka naprawdę ją kochała. Nawet się z nią nie pożegnałam przed wyjazdem na Barbados, pomyślała. Wyjechałam bez słowa, zostawiwszy na stole jedynie krótki liścik.

W tobołku były ubrania. Cassandra uśmiechnęła się na ten widok, bo praktyczna jak zwykle Meredith przysłała jej ciepłe i potrzebne rzeczy. Znalazł się tam też gruby wełniany szal, który nie tylko chronił Cassandrę przed dotkliwym zimnem panującym w celi, ale także pomógł jej ukryć ciążę.

Cassandra nie spodziewała się wizyt i ich nie chciała. Nie życzyła sobie, żeby ktoś ją oglądał w tak opłakanym stanie. Była więc szczerze zdumiona, kiedy pewnego dnia strażnik głośno wywołał jej nazwisko. Uniosła głowę i obok dozorca ujrzała wysoką postać w czarnej pelerynie. Przybysz znajomym głosem odezwał się do niej po imieniu. Cassandra przycisnęła ręce do piersi, żeby uspokoić szybko bijące serce. Nie posiadała się ze szczęścia i radości. Stuart wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: wysoki, krzepki, opalony, z ciemnymi oczami, które ukochała najbardziej na świecie.

Już samą swoją obecnością zdawał się rozsadzać posępne mury więzienia. Cassandra znów zobaczyła nad sobą błękitne niebo i poczuła na twarzy słony powiew morskiej bryzy. Chciała rzucić się mężowi w ramiona, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała.

Nie powinna tego zrobić, bo mogłoby to zaważyć na jego dalszych losach. Musiała być silna - może nawet okrutna - żeby odsunął się od niej i tym samym nie popadł w kłopoty. Ciaśniej owinęła się szalem, stanęła prosto i dumnie uniosła głowę.

- Wybacz mi, że nie witam cię jak należy, Stuarcie, ale nie spodziewałam się wizyty, jak sam widzisz, nie jestem stosownie ubrana. Co tutaj robisz? Myślałam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. Wolałabym, żebyś nie oglądał mnie w takim stanie. Przyszedłeś się pożegnać czy też chciałeś zobaczyć, jak mi się powodzi w Newgate? Cóż, jak widzisz -uśmiechnęła się słabo i ręką zatoczyła wokół - daję sobie radę.

Twarz Stuarta pociemniała z gniewu, lecz nie zwiodły go słowa żony. Spojrzał jej prosto w twarz i od razu się zorientował, co się kryło za tym popisem siły i odwagi.

- Nie rób przedstawienia - powiedział trochę bardziej szorstko, niż zamierzał. - Dobrze wiesz, po co tu jestem. Chyba nie spodziewałaś się, że cię zostawię samą, na pastwę losu? - Był przerażony jej nędznym wyglądem. Serce mu się krajało na jej widok. - Na litość boską, jesteś moją żoną. Mam pełne prawo cię odwiedzać.

- Nie - odpowiedziała z zaskakującą mocą. - Nie ma mowy o dalszym związku. Jeżeli jeszcze zachowałeś dla mnie trochę uczuć, to lepiej idź stąd i nie wracaj. Zapomnij o mnie. Zapomnij, że istniałam. Nie przyniosłam ci niczego oprócz wstydu.

- Pozwól, że ja to ocenię.

Stuart ponurym wzrokiem spojrzał na więźniarki, które zaciekawione podeszły bliżej, chcąc się dowiedzieć, kim może być ów dżentelmen. Zaklął pod nosem, wziął Cassandrę pod rękę i odszedł z nią w kąt celi, gdzie mogli rozmawiać nieco swobodniej. Panował tam trudny do wytrzymania smród, ale Stuart nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Teraz liczyło się dla niego tylko to, że mógł zobaczyć ukochaną żonę.

- Nawet nie wiesz, jak mi serce krwawi, kiedy cię widzę w takim poniżeniu, samotną i bezbronną.

- Nie tak bezbronną, jak by się zdawało. Ze względu na moją przeszłość cieszę się pewną sławą wśród przestępców. Niektórzy z nich odnoszą się do mnie wręcz z szacunkiem. Oczywiście, zaraz o tym zapomną, kiedy pojawi się ktoś lepszy.

- Zanim stąd wyjdę, zadbam o to, żeby cię lepiej traktowano. Nie masz pojęcia, jak się przeraziłem, gdy James powiedział mi, że cię aresztowano. Bądź pewna, że cię nie porzucę, choćbyś udawała, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

- Nie! - zawołała roztrzęsionym głosem, niczym zagubione dziecko. Z trudem panowała nad zdenerwowaniem. - Jeszcze nie pojąłeś, że nic nie możesz dla mnie zrobić? Nie zostanę ułaskawiona. To przecież niemożliwe. Dla własnego dobra nie wolno ci nikomu mówić, że jestem twoją żoną. Nie popełniaj tego szaleństwa. Musisz chronić własną rodzinę przed skandalem. Odejdź, kochany. Zostaw mnie w rękach losu. Nie chcę, żebyś tu przychodził. Pomału przyzwyczajam się do myśli o nieuchronnej śmierci, a na twój widok zupełnie niepotrzebnie popadam w rozterkę. Zrozum, muszę być silna. Aby tu przetrwać przez te kilka dni, które mi pozostały, muszę zapomnieć o wszystkim, co kiedyś przeżyłam.

Stuart na chwilę przymknął powieki. Targany bezsilnym gniewem, nie mógł patrzeć na smutek wyzierający z jej oczu. Wziął ją za rękę i ścisnął z całej siły.

- Teraz ty mnie posłuchaj, Cassandro. Masz rację. Musisz być silna, ale nie myśl, że pójdę i nie wrócę, że zostawię cię samą. Uczynię wszystko, żebyś była wolna. Bez względu na to, czy będziemy razem, czy osobno, pragnę twojego szczęścia i spokoju. Nie zapominaj o tym.

- Szczęścia? - Usiłowała się uśmiechnąć, ale łzy napłynęły jej do oczu i nie potrafiła już dłużej udawać. Poczuła ciepły i kojący dotyk dłoni Stuarta. -To tylko mrzonki. - Westchnęła. - Nawet jeśli sędziowie okażą mi nieco łaski, to nie dane nam będzie cieszyć się wspólnym życiem.

Wiedz, że na zawsze zapamiętam te ulotne chwile, kiedy byłeś przy mnie. Pierwsze spotkanie... jaskinię... ślub i noc poślubną. Zapamiętam, jak mnie kochałeś. Nikt tego mi nie odbierze. Stuart słuchał jej ze ściśniętym sercem.

- Ja też zawsze będę to pamiętał - powiedział do głębi poruszony jej słowami. Delikatnie ujął ją pod brodę i popatrzył jej prosto w oczy. - Byłaś wspaniałą panną młodą, Cassandro. W błyszczącej sukni z białego jedwabiu, naszywanej małymi perełkami. Wciąż jesteś piękna. Ale powiedz mi, jak się czujesz? Boisz się?

Mgła bólu przestoniła jej niebieskie oczy.

- Tak - potwierdziła cicho. - Boję się. Nie tyle samej śmierci, co umierania. Wszyscy się tego boją. Powiesz mi, jak to będzie? Chciałabym wcześniej wszystko wiedzieć, żeby się przygotować.

- Dobrze, ale nie wyobrażaj sobie, że pozostanę beczynny w oczekiwaniu na wyrok. Spróbuję cię stąd uwolnić.

- To niemądre.

Stuart uśmiechnął się łagodnie.

- Nigdy nie zrobiłem niczego mądrego. Po co więc to nagłe zmieniać? Powiedz mi, jak cię schwytano? Nic ci się nie stało, kiedy grad kul spadł na "Delfina"?

Pokręciła głową.

- Nic. Nie byłam ranna i niewiele mam do opowiadania. Zaatakowano nas, kiedy płynęliśmy na Wyspy Zielonego Przylądka. Nie zdołaliśmy uciec. Załoga „Delfina” broniła się zaciekle, ale prawie wszyscy zginęli. Drum także. Utonął razem ze statkiem.

Stuart przyglądał jej się ciekaw, czy na jej twarzy zobaczy choćby cień smutku po śmierci starego pirata.

- Przejęłaś się tym? Nie jesteś przynębiona po stracie przyjaciela?

- Drum nie był moim przyjacielem, Stuarcie, przynajmniej po tym, co uczynił na pokładzie 'Jastrzębia Morskiego'. Mimo wszystko nie poczułam ulgi, kiedy zginął. Żałowałam raczej, że odszedł ktoś, kto dobrze znał mojego ojca i kto traktował mnie z szorstką czułością przez minione lata. Byłam dla niego niczym druga córka. Tego też chyba nie zapomnę.

Stuart pokiwał głową ze zrozumieniem. Trudno było zaprzeczyć, że „Delfin” i O'Leary odegrali znaczną rolę w jej życiu. Stary pirat nie gorzej od Nathaniela Wylde'a opiekował się dziewczynką. Trudno uwierzyć, że miał w sobie aż tyle ludzkich uczuć. Mała Cassandra z dziecięcą naiwnością obdarzała ich obu zaufaniem. Kiedy po latach przekonała się, kim rzeczywiście są piraci, poczuła się oszukana.

- Czy rozmawiał z tobą ktoś z admiralicji? Składałaś zeznania?

- Nie.

- Wiesz, na kiedy wyznaczono proces?

- Też nie. A co się stanie?

- Jak zapewne pamiętasz ze sprawy ojca, piraci stają przed trybunałem złożonym z przedstawicieli admiralicji i trzech lub czterech zwykłych sędziów. Żadne przestępstwo popełnione na morzu lub w porcie nie podlega jurysdykcji sądów cywilnych. Prawdopodobnie staniesz przed sądem morskim w Old Bailey.

Cassandra uśmiechnęła się gorzko.

- Jesteś dobrze zorientowany.

- Nie zapominaj, że byłem właścicielem statku, kupcem i kapitanem. Od lat pływam i nieraz miałem do czynienia z piratami. Muszę więc wiedzieć o pewnych sprawach. Mógłbym popytać

w admiralicji, ale James twierdzi, że tam nie mają żadnych dowodów. Kupcy, których napadli Wyld i O'Leary, nie potwierdzają twojego udziału.

- Nie potwierdzają, bo przecież mnie tam nie było. Wtedy mieszkałam w Chelsea! Mam na to dwoje świadków, Johna i Meredith.

- Zatem jedyny zarzut, jaki na tobie ciąży, to porwanie „Delfina” i wykradzenie zwłok ojca.

- Tak, ale to wystarczy, żeby mnie powiesić - szepnęła. - Jak myślisz, ile potrwa proces?

- Podejrzewam, że będą chcieli szybko zakończyć tę sprawę. Może w ciągu jednego dnia? Nie przydzielono ci obrońcy, więc zgodnie ze zwyczajem będziesz musiała sama się bronić. Na szczęście otrzymałaś wykształcenie, w odróżnieniu od licznych żeglarzy, którzy nie umieją czytać ani pisać. Czy znasz kogoś, kto mógłby świadczyć na twą korzyść?

- Nie. Tylko John. Meredith byłaby zbyt przerażona. John ciągle przebywa na Karaibach. Zanim przyjedzie, na pewno będzie już po procesie.

- Admiralicja nie przyjmie wniosku o odroczenie sprawy. Z niechęcią patrzą na twoją popularność. Chcą to zakończyć szybko i bez rozgłosu.

- W takim razie nie ma już dla mnie najmniejszej nadziei.

- Nie wolno ci tak mówić, Cassandro! - gorączkowo zaprotestował Smart, ciągle trzymając ją za rękę, jakby chciał przenieść w nią trochę własnej siły. - Niestety, są świadkowie, którzy podobno cię widzieli na pokładzie „Delfina” w noc porwania. Jeżeli któryś z jeńców to potwierdzi... ale piraci raczej nie zdradzają swoich. Kogo schwytano razem z tobą?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Czterech prostych marynarzy. Drum wziął ich na pokład w czasie postoju na Teneryfie.

W oczach Stuarta zamigotał płomyk nadziei.

- Jesteś tego zupełnie pewna? Pomyśl dobrze, Cassandro - powiedział z napięciem. - To bardzo ważne. Żaden z nich nie płynął z tobą wcześniej?

Pokręciła głową.

- Raczej nie.

- W takim razie mamy coś na twoją obronę. O'Leary to szczwany lis. Sam wymyślił całą tę aferę. Kto ci udowodni, że było inaczej? Wystarczy, że na ciebie spojrzą, aby wiedzieć, iż nie jesteś zdolna do przestępstwa. - Ściszył głos na widok dozorczy, który dawał mu wyraźne znaki, że czas wizyty już dawno się skończył. - Muszę iść, Cassandro. Obiecuję, że niedługo wrócę. Tymczasem bądź dzielna i nie mów nikomu nic, co mogłoby wypłynąć podczas śledztwa na twoją niekorzyść. Zaraz pójdę do admiralicji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Na pewno będą chcieli wiedzieć, dlaczego o mnie wypytyujesz, Stuarcie. Nie przyznawaj, że jestem twoją żoną.

Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Przecież i tak wkrótce tego się dowiedzą, choćby od marynarzy z „Jastrzębia Morskiego”. Ani się obejrzyś, jak będzie o tym mówił cały Londyn.

- A twoja matka? Powiesz jej? - zapytała z wahaniem.

- Tak, i to natychmiast, zanim się dowie od kogoś innego.

Dozorca niecierpliwie zadzwonił pękiem kluczy. Stuart westchnęła i na pożegnanie jeszcze raz pogładziła żonę po policzku.

- Do widzenia. Bądź silna i dzielna. Od tego zależy twoje ocalenie.

Cassandra spoglądała za nim ze łzami w oczach. Odruchowo złożyła ręce na brzuchu, zastanawiając się, co by powiedział Smart, gdyby znał prawdę o dziecku. Dobry, słodki i łaskawy Boże, modliła się w duchu. Nie pozwól, by mnie powieszono, zanim maleństwo się urodzi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Stuart dosiadł konia i galopem wrócił do Bloomsbury. Nie mógł zapomnieć tego, co widział w Newgate. Przed oczami miał wymizerowaną twarz Cassandry. Rozumiał, że admiraliczka chciała się zemścić, ale dlaczego na jego żonie?

Kiedy wszedł do domu, eleganckie wnętrza nasunęły mu przykre porównanie z widokiem więzienia. Przede wszystkim wziął gorącą kąpiel, żeby zmyć z siebie smród Newgate. Przebrał się i poszedł szukać matki. Znalazł ją w gabinecie, zajętą pisaniem listów.

Słyszac skrzypnięcie drzwi, uniosła głowę i obrzuciła syna baczny spojrzeniem. Zaniepokojona wyrazem jego twarzy, wstała z krzesła i podeszła bliżej. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Co się stało, Stuarcie? Wyglądasz niczym upiór. Nie zwykłam wtrącać się w twoje sprawy, ale od powrotu zachowujesz się co najmniej dziwnie. Chcesz mi coś powiedzieć?

- Muszę z tobą porozmawiać, mamo, w sprawie niezwyklej wagi - odparł, podeszedł do stolika i nalał sobie solidną porcję brandy.

Ciemne oczy lady Marston zwięziły się niedostrzegalnie. Teraz widać było niezwykle podobieństwo rysów jej i syna. Lady Marston była średniego wzrostu, o wyrazistej twarzy, gładkiej skórze i błyszczących włosach, bez śladu siwizny. Usiadła na najbliższym stojącym krześle i czekała. Stuart przełknął łyk trunku.

Lady Marston bez jednego słowa, z niewzruszonym spokojem, wysłuchiwała opowieści syna o tym, jak spotkał Cassandrę na Barbadosie, jak wzięli ślub, jak dowiedział się o jej pochodzeniu i o tym, że doskonale znała Druma O'Leary'ego, wreszcie o jej aresztowaniu i uwięzieniu w Newgate. Mówił z trudem, bo dobrze wiedział, że rozdrapuje wciąż niezabliźnione rany. Lady Marston bardzo silnie przeżyła śmierć jego starszego brata Stephena, zabitego ponoć przez Nathaniela Wylde'a.

Zwykle, nawet w najtrudniejszych sytuacjach zachowywała zimną krew. Teraz jednak było trochę inaczej. Dowiedziawszy się, że jej syn poślubił córkę Wylde'a, głęboko zaczerpnęła tchu i wydała zdławiony okrzyk. I to wszystko. Nie odezwała się już ani słowem do końca opowieści Stuarta.

Potem zapadła głucha cisza. Lady Marston w milczeniu wstała i podeszła do okna. Stała tyłem do syna, patrząc na ogród i starając się poukładać to, co usłyszała, w logiczną całość.

Stuart czekał cierpliwie. Po długiej chwili lady Marston odwróciła się i spojrzała na niego. W jej oczach nie było ani gniewu, ani potępienia, tylko ból i smutek. Uświadomiła sobie, co musiał czuć syn, gdy dowiedział się prawdy o pochodzeniu żony.

- Nikt bardziej ode mnie nie życzy ci szczęścia w małżeństwie, Stuarcie - powiedziała cichym, melodyjnym głosem. - Ten związek jednak trudno zaakceptować. Nathaniel Wylde zabił Stephena i pozbawił mnie radości życia. Wybacz, lecz ciężko przyjąć mi do wiadomości, że poślubiłeś córkę mordercy swojego brata.

- Wiem, co teraz dzieje się w twoim sercu, mamo. Uwierz mi, że wolałbym ci tego oszczędzić. Nie chcę i nie potrafię zmienić twoich uczuć do Wylde'a, ale powinnaś wiedzieć, że to nie on był odpowiedzialny za śmierć Stephena. Statek zatopił jeden z jego kompanów, zresztą nikczemna

postać, niejaki Jacob Yeats. To on wysadził „Gwiazdę Wieczorną”. Wylde odplynęła znacznie wcześniej, sądząc, że Yeats podąża za nim.

- Kto ci to powiedział?

- Przyjaciół Wylde'a, Drum O'Leary.

- Ten, który na ciebie napadł? Stuart skinął głową.

- I wierzysz mu?

- Może to dziwne, ale... tak, wierzę. Oczywiście nie pałam sympatią do Wylde'a. Ponoszę winę za moje czyny, ale niczego już nie da się zmienić. Teraz mogę najwyżej mieć nadzieję na twoje przebaczenie. Niedługo wszyscy dowiedzą się o moim małżeństwie z Cassandra. Nigdy nie chciałem cię tak bardzo skrzywdzić. Zresztą wiesz o tym.

- Owszem. Nie ukrywam, że jestem zaskoczona tym, co mi powiedziałeś, ale nie możesz żyć w poczuciu winy. Dziwi mnie tylko to, że wziąłeś ślub po tak krótkiej znajomości, nie pytając o przeszłość narzeczonej. Tego po tobie się nie spodziewałam. Zazwyczaj masz więcej rozsądku, Stuarcie. Nie zwykłeś podejmować pochopnych decyzji.

- Z Cassandra wszystko jest inaczej. Na żadnej kobiecie tak mi nie zależało. Od samego początku poculiśmy oboje, że jesteśmy dla siebie stworzeni... -Urwał, podszedł do kominka i wbił wzrok w płomień. - Adorowałem ją. Małżeństwo wydawało mi się jedynym wyjściem.

- W to nie wątpię. - Lady Marston przeszła przez pokój i stanęła obok syna. - Twierdzisz, że ani razu nie brała udziału w pirackich wyprawach ojca?

Stuart popatrzył na nią.

- Nie. Prawdę mówiąc, była jego kolejną ofiarą. Dzieciństwo spędziła w domu wujostwa, wychowywana bez miłości. Miała trzynaście lat, gdy Nathaniel Wylde pojawił się w jej życiu. Trudno się dziwić, że pokochała go całym sercem. Młoda, niewinna, lubiła słuchać opowieści o dalekich morzach i nieznanym ludach. To było coś innego od tego, co dotychczas znała.

- A jej kuzyn, sir John Everson? Mówisz, że ma udział w Wyndham Company?

- Tak. Cassandra pojechała do niego na Barbados.

- Nie bała się takiej podróży?

W ciemnych oczach syna zapłonął ciepły ogień. Stuart uśmiechnął się na wspomnienie Cassandra tańczącej na pokładzie.

- Nie. Dla niej to była jedna wielka przygoda. Ona jest wyjątkowa, mamo.

Lady Marston uśmiechnęła się lekko.

- Zdaje się, że zaczynam to rozumieć. Opowiedz mi więcej o niej.

- Nigdy dotąd nie widziałem piękniejszej dziewczyny. Mądra, łagodna, czasem uparta, niewinna... i cudowna. Co ciekawsze, ja też jej się spodobałem. Połączyła nas najsilniejsza więź, jaka może istnieć między dwojgiem ludzi.

- A teraz? Żałujesz, że ją poślubiłeś?

Pokręcił głową i znów zapatrzył się w ogień. Odezwał się tak cichym głosem, że lady Marston musiała przysunąć się bliżej, żeby go usłyszeć.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Choćbym chciał, nie potrafię wyrzucić jej z serca. Bóg mi świadkiem, że próbowałem! - Spojrzał na matkę płonąącym wzrokiem i twarz ściągnęła mu się z bólu. - Wpadłem w czarną rozpacz, gdy odplynęła na „Delfinie”. Byłem najniezwyklejszym z ludzi. Czasami przychodziły chwile, w których myślałem, że oszaleję.

Oszalona lady Marston powoli skinęła głową. Naprawdę musiał kochać żonę, skoro wyrażał się o niej z taką pasją, uwielbieniem i... rozpaczą.

- Widzę, że ci na niej zależy - powiedziała cicho- że obdarzyłeś ją miłością.

- Tak - przyznał. - Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Nie potrafię jednak zapomnieć, że jest córką Nathaniela Wylde'a. To ciągle tkwi pomiędzy nami niczym bolesna zdra. Jak niewidzialny wróg, który ze wszystkich sił chce nam zatruć życie. Wciąż za nią tęsknię. Czasami jednak żałuję, że w ogóle ją poznałem.

- Jeżeli ją naprawdę kochasz, Stuarcie, to musisz ją zaakceptować taką, jaka jest. Przestań z tym walczyć, bo nigdy nie zaznacie szczęścia.

- Szczęścia? - powtórzył gorzko. - Jak w ogóle można mówić o szczęściu, skoro wisi nad nią cień śmierci? Bez obrońcy na pewno zostanie skazana i powieszona. Widziałem ją dziś w więzieniu i to był przeokropny widok. Zrobię wszystko, żeby ją uwolnić. Jestem gotów na każde poświęcenie. W czasie naszej rozmowy próbowała być bardzo dzielna, ale widziałem, że cierpi i się boi. - Popatrzył na matkę.

- Ciężko ci się z tym pogodzić, prawda? Nie tak wyobrażałaś sobie synową. Zawiodłem cię, a przecież nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Musisz mi uwierzyć.

Lady Marston uśmiechnęła się drżącymi ustami.

- Daj mi choć trochę czasu, Stuarcie. Sam wiesz, że mam w pogardzie większość konwenansów i przede wszystkim chodzi mi o twoje szczęście. Życie nauczyło mnie, że nikogo nie wolno winić za grzechy ojców. Mówię ci to z własnego doświadczenia. Chociaż o wiele łatwiej byłoby mi ją pokochać - dodała - gdyby jednak nie była córką Nathaniela Wylde'a.

Inne kobiety na miejscu lady Marston wpadłyby w gniew i za nic w świecie nie chciały widzieć synowej. W swoim burzliwym i niełatwym życiu lady Marston otrzymała niejedną gorzką lekcję. Podczas okrutnej wojny domowej przekonała się na własnej skórze, że dzieci nie powinny być karane za winy rodziców.

Zdarzyło się to trzydzieści lat temu. Jej ojciec zebrał grupę zbrojnych i wystąpił przeciwko królowi. Był brutalnym, znienawidzonym nawet we własnym hrabstwie, ale ona, jako posłuszna córka, nie kwestionowała jego postanowień.

Kochała go i była ślepa na jego przewinienia. Szybko jednak spadły jej łuski z oczu. Ojciec, działając pod sztandarem „walki z rojalistami”, popełniał coraz gorsze zbrodnie. Za jego sprawą straciła narzeczonego, który stanął po stronie króla Karola. Został aresztowany i uwięziony, a jego krewni zerwali wszelkie związki z jej rodziną. Przez wiele lat nie mogła się otrząsnąć z bólu. Pocieszenie znalazła dopiero w ramionach późniejszego ojca Stephena i Stuarta, lorda Marstona.

Po wyjściu syna długo myślała o Cassandrze Everson. Bez względu na to, co do niej czuła, ktoś musiał zająć się jej losem. Stuart nigdy nie zawiódł jej zaufania, więc nie miała żadnych powodów mu nie wierzyć. Nie był głupcem i nie ożeniłby się z dziewczyną, która nie byłaby tego godna. Lady Marston na ogół nie dopuszczała do siebie uprzedzeń i przesądów. Także i teraz, kierując się racjonalnymi przesłankami, doszła do wniosku, że powinna poznać Cassandrę.

Tymczasem Cassandra z wolna już przywykała do towarzystwa łotrów, zbrodniarzy i morderców i tak jak wszyscy w Newgate żyła z dnia na dzień, zdana na łaskę i niełaskę wartowników. Czas włócił się w nieskończoność. Widmo śmierci ciążyło jej coraz bardziej, aż wreszcie stało się niemal nie do zniesienia. Zbliżał się termin procesu i Cassandra myślała z niepokojem, że jednak nie zdąży urodzić dziecka przed wyrokiem.

Jedynym pocieszeniem była dla niej świadomość, że sąd może uznać ciężę za okoliczność łagodzącą i wstrzymać wykonanie kary. Czasami też zdarzało się, że wyrok śmierci zmieniano na zesłanie do kolonii angielskich w Wirginii albo Maryland.

Za murami więzienia z wolna zapadał zmierzch. Słońce zniknęło za grubą warstwą chmur na zachodzie. Wąskie okienka pociemniały i w celi zapalono świece. Nagle dozorca wywołał nazwisko Cassandra i oznajmił jej, że znowu ma gościa. W pierwszej chwili pomyślała, że chodzi o kapelana, który usiłował skłonić ją, by wyznała mu wszystkie grzechy. A może to Meredith, przemknęło jej przez głowę. Wreszcie przemogła się, żeby podnieść się z miejsca. Ale nie. Gość okazał się kimś innym.

Cassandra zobaczyła szczupłą i dostojną damę, od stóp do głów spowitą w czerni, z gęstą woalką na twarzy. Poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie nieznanego. Odruchowo mocniej owinęła się szalem. Obca kobieta nie wzbudziła zainteresowania wśród pozostałych więźniów, bo do Newgate przychodzili przedstawiciele różnych warstw społecznych. Cassandra pogratulowała sobie w duchu, że właśnie tego dnia przebrała się w jedną z czystych sukien przystanych jej przez Meredith. Nie wiedziała tylko, jakie wrażenie na gościu wywrze jej brudna twarz i skołtunione włosy.

Kobieta zatrzymała się tuż przed nią i uniosła woalkę. Cassandra odruchowo przycisnęła rękę do piersi. Nie była przygotowana na to spotkanie, ale od razu rozpoznała, z kim ma do czynienia. Stuart był bardzo podobny do matki.

Zatem powiedział jej o małżeństwie, pomyślała Cassandra. Przez długą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Cassandra zastanawiała się ze zgrozą, co będzie dalej.

Lady Marston z bólem serca patrzyła na córkę człowieka, którego oskarżano o to, że zabił jej syna. Na żonę Stuarta. Rzeczywiście była piękna, tak jak mówił, a to tylko potęgowało cierpienia matki. W pierwszym odruchu miała ochotę uderzyć dziewczynę w twarz. Zaraz jednak przypomniała sobie o właściwym celu wizyty.

Dama budziła zaufanie, ale Cassandra domyślała się jej prawdziwych uczuć, więc stała z dumnie uniesioną głową, zapominając o słabości. Nie poczuwała się do winy. Lady Marston w jednej chwili wszystko zrozumiała. Już nie dziwiła się, że Stuart z takim zachwytem opisywał żonę.

Odezwała się pierwsza:

- Musiałam przyjść. Chciałam zobaczyć żonę mojego syna. Stuart wyrażał się o pani jak najlepiej. Wygląda na to, że wiele pani wycierpiała za sprawą własnego ojca.

- Panią też zranił - sztywno odpowiedziała Cassandra.

- Tak, to prawda. Smutna prawda.

- Proszę wybaczyć moje zdziwienie, lady Marston, ale jest pani ostatnią osobą, którą spodziewałam się ujrzeć w Newgate. Jak pani widzi, otoczenie wygląda nie najlepiej. - Zatoczyła ręką wokół siebie. Matka Stuarta bez wątpienia czuła okropny smród i musiała wytężyć wzrok w przyćmionym świetle. W kącie celi więźniowie hałaśliwie zabawiali się grą w karty.

- Owszem, ale niczego innego nie oczekiwałam - spokojnie odparła lady Marston, zaledwie zerknąwszy na resztę więzienia. Prawdę mówiąc, zupełnie jej nie obchodziło, gdzie się znalazła. Na pewno lepiej ode mnie dałaby sobie radę ze strażnikami, mimo woli pomyślała Cassandra.

- Zapewne była pani ogromnie zdumiona opowieścią Stuarta. Zapewniam jednak, że braliśmy ślub, nieświadomi dzielącej nas tragedii.

- Tak, o tym też mi mówił. Na koniec dodał, że to podobno nie pani ojciec jest odpowiedzialny za śmierć starszego z moich synów. Ale to w tej chwili nie ma znaczenia. Napad był jego dziełem, ponosi więc część winy. Tego nie mogę mu przebaczyć.

- Nic dziwnego.

- Znam uczucia mojego syna - powiedziała nagle innym tonem lady Marston. - Ale co z panią? Co pani czuła, dowiadując się, że to właśnie on schwytał i postawił przed sądem pani ojca? - zapytała. Jej czarne oczy patrzyły czujnie, domagając się szczerej odpowiedzi.

- Oczywiście z początku byłam wstrząśnięta. Potem zienawidziłam ojca. A jeszcze później przypominałam sobie, że przecież nie zawsze był piratem. - Cassandra mówiła coraz ciszej, jakby nie znajdowała słów na obronę człowieka, którego kiedyś darzyła miłością. - Wychowywał się w klasztorze i w czasie wojny wiernie walczył za sprawę króla. Dopiero wtedy, gdy sam wpadł w ręce piratów, wyrzekł się Boga i wkroczył na drogę grzechu. Nigdy nie chciałam, aby Stuart cierpiał.

- Jego niechęć do Nathaniela Wylde'a nawet w połowie nie jest tak głęboka jak miłość do ciebie, Cassandro.

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie.

- Po... powiedział to? - wyjąkała. - Powiedział, że mnie kocha?

- Nie musiał.

- W takim razie na pewno tego żałuje. Przy mnie zaznał jedynie bólu i cierpienia. Nie wierzę, żebym uniknęła kary, lady Marston. Przez wzgląd na dobre imię pani rodziny proszę go, aby nikomu nie mówił o naszym małżeństwie.

- Na to jest już za późno. Załoga „Jastrzębia Morskiego” poznała prawdę. Niedługo wieść się rozejdzie. Stuart wie o tym. Ma wielu przyjaciół w admiralicji. Od czasu, gdy dowiedział się o twoim losie, nie ustaje w wysiłkach, by ci pomóc. To, że jesteś jego żoną, dodatkowo działa na twoją korzyść. Nie zamierzał więc tego ukrywać.

Cassandra nie mogła opanować łez.

- Zrobił to... dla mnie?

- Bardzo cię kocha. Być może bardziej, niż się domyślasz.

- Na pewno bardziej, niż na to zasługuję - odpowiedziała cicho.

Lady Marston przyglądała jej się przez długą chwilę, a potem lekko skinęła głową.

- Może. Za mało wiem, żeby zaprzeczyć. Sądzę jednak, że z ochotą sprzedałby duszę diabłu, byle tylko uchronić cię przed losem Wylde'a. Twój ojciec poniósł zasłużoną karę za swoje grzechy.

Nie dziw się, że tak mówię, ale to przez niego straciłam ukochanego syna.

W jej głosie brzmiał taki smutek, że Cassandra pochyliła głowę, nie mogąc patrzeć jej prosto w oczy.

- Musi mnie pani nienawidzić, lady Marston.

- Teraz jestem jedynie wdową Marston, Cassandro. Ty stałaś się właściwą lady Marston. Może się zdziwisz, ale wcale nie darzę cię niechęcią. Nie mam prawa ferować wyroków. W odróżnieniu od innych wychodzę z założenia, że dzieci nie ponoszą winy za grzechy rodziców. Kochałaś go, prawda? Mówię o twoim ojcu.

- Tak, ale czasami zdaje mi się, że kochałam człowieka, który nie istniał.

Lady Marston powoli pokiwała głową, więcej pojmując, niż by się zdawało.

- Zniszczył się sam, poprzez swoje czyny i przez to, że wkroczył w twoje życie wyłącznie dla zaspokojenia własnych przyziemnych ambicji. Zupełnie nie dbał o twoją przyszłość. Och, tak -

dodała, widząc spojrzenie Cassandry. - Stuart powiedział mi o tobie wszystko. Nikt inny oprócz twego ojca nie ponosi winy za sytuację, w której się znalazłaś.

Cassandra była szczerze zdumiona jej słowami. Wyczuwała, że lady Marston powiedziała to zupełnie szczerze.

- Proszę wybaczyć, ale...

- Tak?

- Jestem nie tylko zaskoczona pani wizytą w tym okropnym miejscu, ale także... Cóż...

Oczekiwałam raczej wybuchu gniewu, nienawiści, nie słów zrozumienia.

Lady Marston odezwała się przyciszonym głosem, jakby odwoływała się do niewesołych wspomnień.

- Możesz być pewna, że gniew mnie ogarnął, kiedy Stuart wspomniał mi o tobie. Miałam do tego pełne prawo, bo wiele wycierpiałam jako matka. Lecz z drugiej strony, nie zrozumie cię ktoś, kto nie miał podobnych życiowych doświadczeń.

- A pani miała? - odważyła się spytać Cassandra. Dama skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała głucho.

Cassandra domyśliła się, że trąciła w jej sercu bolesną strunę i pożałowała pytania.

- Przepraszam. Nie chciałam mieszać się w nie swoje sprawy.

- Nic się nie stało - zapewniła ją lady Marston. -A poza tym było to tak dawno temu, że już na dobre przeszło do historii i niech tam pozostanie. Teraz pozwól, że się pożegnám. Widziałam cię i wiem już, dlaczego Stuart jest tak zakochany. Sąd zdecyduje, czy jeszcze kiedyś się spotkamy, ale zupełnie szczerze życzę ci ocalenia.

- Czy Smart wie, że pani przyszła?

- Nie. Na pewno by mi to odradzał. Do widzenia, Cassandro. Będę się modlić o przychyłność sądu i uwolnienie cię od zarzutów.

Tydzień później Stuart ponownie zjawił się w Newgate.

- Jak się czujesz, Cassandro? - spytał na powitanie, podchodząc szybkim, energicznym krokiem. Przez brudne okno padł na nią promień słońca, wydobywając jej twarz z mroku. Była smutna, lecz próbowała słabo się uśmiechnąć.

- Tak jak przedtem - odpowiedziała. - To zadziwiające, jak szybko można przywyknąć do życia w Newgate zwłaszcza wtedy, gdy nie ma innego wyboru. Ale widzę, że coś cię martwi. Nie kryj przede mną niczego. Co się stało? Masz mi coś złego do powiedzenia?

- Byłem w admiralicji, dlatego trochę się spóźniłem.

Chodź, usiądź. - Wziął ją za rękę i podprowadził do wąskiej ławki stojącej pod ścianą. Sam usiadł obok i z troską spojrzął jej w oczy.

- Zanim zaczniemy mówić o procesie, powiedz mi prawdę, jak tu cię traktują. Poprzednim razem zostawiłem dozorcę pękata sakiewkę. Mieli ci zdjąć kajdany i karmić lepiej niż przedtem. Zrobili to?

- Tak. Sam widzisz, że mam wolne ręce. Jedzenie też jest dużo lepsze - odparła niezupełnie zgodnie z prawdą. - Najbardziej mi brakuje wody, żebyśmy mogła się porządnie umyć. Ale wracajmy do ważniejszych spraw. Wiesz, że proces jest już za tydzień?

- Owszem. Pewnie słyszałaś, że oskarżenie opiera się na zeznaniach świadków, którzy podobno tamtej nocy widzieli cię na pokładzie „Delfina”. To za mało, żeby zapadł wyrok skazujący, lecz pojawił się nowy świadek - jeden z tych, których aresztowano razem z tobą - niejaki Jeremia

Price. Jego zdaniem nie tylko byłaś na miejscu wydarzeń, ale namawiałaś ich do wykradzenia zwłok i porwania statku.

- Temu nie mogę zaprzeczyć - szepnęła Cassandra. - Istotnie rozmawiałam o tym z Drumem, chociaż weszłam na pokład „Delfina” dużo później. - Nagle spojrzała na niego ze zdumieniem. - Nic nie rozumiem. Przecież ci, których schwytano, dołączyli do nas na Teneryfie. Price nic nie wie o wykradzeniu i porwaniu.

- Tak myślałem. Zznał też, że w czasie pierwszej podróży z Drumem brałaś udział w napadzie na angielski statek handlowy na północ od Trinidadu.

Cassandra zbladła jak ściana. Nie wierzyła własnym uszom.

- Ale to nieprawda! - zaprotestowała. - Nie było napadu. Drum nigdy nie zaryzykowałby życia Rosy ani mojego. Price kłamie. Dlaczego to robi?

- Żeby ocalić własną skórę. Jeśli wystąpi w roli świadka oskarżenia, to zamiast na szubienicę pójdzie na wygnanie.

- Wierzą mu?

- Niestety, tak.

- No, dobrze, ale są przecież inni, których też schwytano. Nic nie mają do powiedzenia? Nie byli przesłuchani? Kłamstwo wyszłoby na jaw.

- Nie, Cassandro - cicho powiedział Smart z przygnębioną miną. - Już za późno. Tamci zostali powieszani.

- Zatem nie ma nadziei?

- To jedyne zeznanie przeciw tobie.

- Ale najgorsze. Mogą mnie oskarżyć o piractwo. - W pierwszej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bliska była prawdy. Dopiero kiedy Stuart nic nie odpowiedział, otworzyła szeroko oczy z przerażenia. - O mój Boże! Naprawdę mnie o to oskarżą?!

- Tak.

- I nie ma tu nikogo z załogi tego statku, na który ponoć napadłam? - zapytała z goryczą. - O ile taki w ogóle istnieje.

- Istnieje, ale świadków rzeczywiście nie ma. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zażądam audiencji u samego lorda admirała. Powiem mu, że Price zamierza dopuścić się krzywoprzysięstwa w nadziei na złagodzenie kary.

- Wiedzą, że jestem twoją żoną?

- Jeszcze nie, i to mnie trochę dziwi. Podejrzewałem, że do tej pory marynarze z „Jastrzębia Morskiego” podzielą się ze znajomymi tak smakowitą opowieścią. A tymczasem cisza.

- Może są bardziej lojalni wobec swojego kapitana, niż sądziłeś. Ciekawe tylko, dlaczego nikt w admiralicji nie zapytał, skąd u ciebie to nagłe zainteresowanie moją osobą. Przecież schwytałeś mojego ojca. Po co miałbyś zabiegać o moje uwolnienie?

Stuart wzruszył ramionami.

- Powiem szczerze, że przypatrują mi się podejrzliwie, ale zupełnie mnie to nie obchodzi.

Zresztą, kto wie, może w pewnej chwili to podziała na twoją korzyść. Za wszelką cenę muszę cię uwolnić! - dokończył z determinacją w głosie.

- Powiedz mi coś więcej o tym rzekomym napadzie - poprosiła. - Przecież zeznania Price'a nie mają najmniejszego sensu. Gdzie i kiedy miałyby się to wydarzyć?

- Statek nazywał się „Triumpf” i pierwszego kwietnia zeszłego roku stoczył bój z „Delfinem” trzy mile morskie na północ od Trinidadu. Walka była bardzo zacięta, zginął kapitan i część załogi.

Niestety, prokurator na razie nie zdołał odnaleźć nikogo z ocalałych żeglarzy. Prawdopodobnie teraz służą na innych statkach. Jedynym świadkiem jest rzeczony Jeremiah Price, który zamierza szczegółowo opisać tamte wydarzenia.

- Pierwszego kwietnia zeszłego roku byłam już na pokładzie „Inicjatywy”, w drodze na Barbados. Opuściłam „Delfina” w marcu, podczas naszego przymusowego postoju na Trinidadzie. Zatem atak na „Triumf” nastąpił dopiero potem, chociaż nie wyobrażam sobie, jak Drum mógł podjąć takie ryzyko na mocno uszkodzonym statku. Rozumiesz, co to znaczy? - podniosła głos. - Nie brałam udziału w napadzie!

- Jesteś tego pewna, Cassandro?

- Oczywiście - odpowiedziała z nagle pojaśniałą twarzą. - Kapitan Tillotson może to potwierdzić. Wyraz twarzy Stuarta nieco złagodniał. On też poczuł przyptyw nadziei.

- Ależ tak! Samuel!

- Nie mów tylko, że gdzieś popłynął i nie będzie go można znaleźć.

- Nie, wciąż jest w Anglii, w swojej posiadłości. Jeszcze dzisiaj do niego pojedę i sprowadzę go do Londynu. Na pewno przyjedzie, Cassandro. Zrobi to dla ciebie.

Westchnęła z nieukrywaną ulgą.

Stuart uściskał jej wychudłe dłonie.

- Poznał prawdę wcześniej ode mnie, a mimo to zawsze wyrażał się o tobie z najwyższym uznaniem. Jeśli wystąpi w roli świadka, na pewno będziesz wolna. Pamiętaj, że dopóki starczy mi tchu w piersiach, dopóty nie będę szczędził wysiłków, aby cię stąd wyrwać.

- Dlaczego to robisz, Stuarcie? Dlaczego mój los cię tak obchodzi? Nie lepiej będzie, gdy odejdę?

- Mój mały głuptasku. Nigdy nie chciałem się ciebie pozbyć. Jesteś moją żoną. Muszę cię uratować. Jeżeli sąd uzna cię winną, to oznacza, że nie ma sprawiedliwości na świecie.

- A co potem? - spytała, z drzeniem serca oczekując, że nareszcie usłyszy wyznanie miłości. - Jest dla nas nadzieja? Jest więź, która pozwoli ci traktować mnie jak żonę, kiedy to się skończy?

W jej głosie brzmiała błagalna nuta. Stuart spochmurniał nagle, oczy mu pociemniały i twarz przybrała zacięty wyraz. Szybko cofnął ręce, zmarszczył brwi i wstał z ławki. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Patrzył na żonę nieprzeniknionym wzrokiem, wreszcie rzekł:

- Teraz myślę o tym, jak cię uwolnić. O niczym innym.

- Lecz co mi z tego, że będę wolna, skoro natychmiast cię utracę? - zapytała Cassandra. Wstała i wzięła go za rękę.

- Na miłość boską, Cassandro - szepnął Smart, nakazując jej wzrokiem milczenie. - Przestań. Nie rób tego. Nie sprawiaj nam większych cierpień. Wiesz, co czuję, i wiesz, jak się sprawy mają. Jesteś mi bardzo bliska i pragnę cię nad wszystko na tym świecie, lecz tymczasem nie proś mnie o więcej.

- W takim razie zaczekam. Może pewnego dnia...

- Nie! - przerwał jej gwałtownie. - Nie mogę cię o to prosić.

- Ta decyzja należy do mnie.

Smart delikatnie uwolnił rękę z jej dłoni i odwrócił się, żeby odejść, ale słysząc za sobą stłumiony szloch, zatrzymał się w pół kroku. Spojrzył na jej zboląłą twarz.

- Odwagi, Cassandro. Nie bój się.

- Nie wiem, czy potrafię - szepnęła.

W tym momencie Stuart ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował prosto w usta. Cassandra zamknęła oczy, żeby w pamięci zatrzymać tę chwilę jak najdłużej. Szybko jednak rozległ się brzęk kluczy i kroki strażnika.

Stuart cofnął się.

- Do widzenia.

- Przyjdiesz do mnie jeszcze przed procesem, Stuarcie?

- Gdy tylko wrócę do Londynu.

Po jego wyjściu Cassandra rozejrzała się po celi. Nagle poczuła się ogromnie samotna.

Odwróciła się twarzą do ściany i zapłakała. Kiedy nadejdzie taki dzień, że go odzyskam? Co zrobi na wieść, że jestem w ciąży? Może odtrąci nasze dziecko? - pytała się w duchu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stuart w pośpiechu wybiegł z Newgate, wiedząc, że liczy się każda chwila. Musiał pojechać aż do Nottingham, by razem z Tillotsonem wrócić na proces. Los Cassandry leżał mu na sercu - była jego żoną i tylko śmierć mogła ich rozłączyć.

- Zatem zamierzasz publicznie przyznać, że Cassanda jest twoją żoną? - spytała lady Marston, kiedy Stuart zdał jej krótką relację ze swojej wizyty w Newgate i oznajmił, że wybiera się do Nottingham.

- Tak. Mam do tego pełne prawo.

Lady Marston odłożyła robótkę i wstała z fotela stojącego przy oknie. Powoli podeszła do kominka. Stuart jak zwykle stał wpatrzony w ogień.

- W ten sposób dasz wielu ludziom powód do domysłów, spekulacji i plotek.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zresztą za późno na próżne żale. Poślubiłem Cassandrę i nie zamierzam się z nią rozwodzić ani żyć w separacji, jeśli już o tym mowa.

Lady Marston uśmiechnęła się.

- Zawsze byłeś zawzięty, Stuarcie - powiedziała. - Zupełnie jak twój ojciec. Powiedz mi, dokąd pójdzie, gdy już będzie wolna? Gdzie zamieszka?

- Jeszcze nie myślałem o tym, co stanie się po procesie.

- Powinna chyba zostać z nami tutaj albo w Charnwood, póki nie przycichną plotki. - Lady Marston dobrze wiedziała, że jej słowa sprawią synowi radość.

Stuart popatrzył na matkę z wdzięcznością i powiedział:

- W pierwszej chwili pomyślałem, że wróci do swoich krewnych w Chelsea. Zgodziłabyś się przyjąć ją tutaj, mamó? Nie chciałbym jeszcze bardziej ranić twoich uczuć. Naprawdę byłabyś jej rada?

- Byłam bliska omdlenia, gdy mi powiedziałeś, że jest twoją żoną. Lecz żadne z nas nie może mścić się na niej za zbrodnie jej ojca. Niechęć z czasem przeminie i wszystko się ułoży.

- Zazwyczaj nienawiść jest zapiekła.

- Uważam, że nadeszła pora, by zapomnieć, kim był i co robił Nathaniel Wylde. Niech spoczywa w spokoju, bez względu na swoje czyny. Wiesz, że nie jestem skłonna do pochopnych sądów, Stuarcie. Widzę, jak wielka jest wasza miłość, i sercem jestem z wami.

Smart przyjrzał się matce. Wyczuwał, że jest jeszcze coś, o czym mu nie powiedziała.

- Zawsze byłaś dla mnie nadzwyczajnie dobra -zauważył. - Co możesz wiedzieć o jej uczuciach, skoro nigdy jej nie widziałas?

- Ależ widziałam, synu. Poszłam do niej. Musisz mi to wybaczyć - dodała prędko, widząc jego oślepiałe spojrzenie - ale nie miałam innego wyjścia. Musiałam ją poznać.

Stuart nie posiadał się ze zdumienia.

- Poszłaś do Newgate? Lady Marston skinęła głową.

- Tak. Dlaczego miałabym tego nie zrobić? Już niejedno widziałam w życiu. Cassandra spodobała mi się - może z wyjątkiem pochodzenia. Jest taka, jak ją opisałeś: piękna, odważna i czarująca. Ma nienaganne maniery i widać po niej, że została starannie wychowana. To z pewnością zasługa rodziny jej matki. Oczywiście część naszych znajomych będzie zgorazona, ale mnie to zupełnie nie przeszkadza.

- Naprawdę godzisz się z tym, mamó? Nawet w głębi serca?

Popatrzyła na niego z powagą, ukrywając ból i tęsknotę za Stephenem. Życie musiało się toczyć dalej.

- Tak, na ile to możliwe w tej sytuacji. Podejrzewam, że po pewnym czasie nawet się zaprzyjaźnimy.

Stuart wpatrywał się w matkę. Często go zaskakiwała. Był jej wdzięczny za wszystko, co przed chwilą usłyszał. Sprawiała mu ogromną radość, poczuł też ulgę, bo nie wiedziałaby, co czynić, gdyby musiał działać wbrew jej woli.

- Dziękuję, mamó. Nie śmiałybym prosić cię o nic więcej.

Ku wielkiemu zmartwieniu Stuarta Samuela Tillotsona nie było w Nottingham. Razem z żoną wyjechał do syna w Newcastle i miał wrócić nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Do Londynu zamierzał przyjechać za miesiąc, aby objąć komendę na statku.

Stuart znalazł się w pułapce. Gdyby pojechał do Newcastle, nie zdążyłby na proces. Musiał więc wrócić do Londynu i przekonać sędziów admiralicji, żeby odroczyli proces do przyjazdu Samuela lub kogoś innego, kto był razem z Cassandrą na pokładzie „Inicjatywy” podczas rejsu z Trinidadu na Barbados. Czas grał na jej niekorzyść.

Cassandra z niepokojem czekała na powrót Stuarta. Gubiła się w domysłach, kiedy się nie zjawił nawet w przeddzień procesu. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna. Wygląda na to, pomyślała z bólem, że los drwi ze mnie w nieskończoność. Jak długo jeszcze to wytrzymam?

W dniu rozprawy ponownie zakuto ją w kajdany i przewieziono z Newgate do pobliskiego gmachu Old Bailey. Nogi drżały jej jak w febrze i czuła się słabo, ale znalazła w sobie tyle siły, żeby wyprostowana wejść na salę.

Na rozprawę przybył tłum gapiów. Sądy i publiczne egzekucje przyciągały wielu ciekawskich. Tym razem sala była wypełniona niemal po brzegi, bo każdy chciał zobaczyć słynną córkę Nathaniela Wylde'a, który nie tak dawno sądzony był w tym samym miejscu i o którym wciąż rozpowiadano począwszy od najnudniejszej portowej tawerny po salony St James's Palace. Zapowiadało się na sensację dnia.

Cassandra nerwowo spojrzała na widzów w nadziei, że zobaczy znajome twarze. Zgodnie z tym, co wcześniej powiedział Stuart, miała być sądzona przez sąd admiralicji i trzech sędziów cywilnych. Obradom przewodniczył sędzia w średnim wieku, o zimnych oczach i surowej twarzy.

- Nazywasz się Cassandra Everson i jesteś córką Nathaniela Wylde'a, pirata powieszzonego za swoje zbrodnie? - padło pierwsze pytanie.

- Tak, jestem Cassandrą Everson - odpowiedziała ze spokojem, patrząc wprost przed siebie, żeby nie widzieć wrogich spojrzeń sędziów.

Sekretarz sądu zapisał jej słowa i zaczął odczytywać akt oskarżenia. Zarzucano jej, że w listopadzie 1671 roku zabrała ciało wyżej wymienionego Nathaniela Wylde'a z szubienicy i uciekła z Londynu na wykradzionym z przystani na Tamizie statku „Delfin”. Trzeci, najpoważniejszy zarzut dotyczył pirackiej napaści, co było równoznaczne z morderstwem i podlegało karze śmierci.

- Czy oskarżona przyznaje się do winy?

Wyczerpanie dawało jej się we znaki, ale Cassandra stała wyprostowana i nikt poza nią nie wiedział, jak się czuje.

- Nie. Jestem niewinna.

Do tej pory sympatia publiczności była po jej stronie. Część ludzi zastanawiała się, jak to możliwe, by mogła wyglądać tak urodziwie po tygodniach pobytu w Newgate? Dumną postawą przypominała ojca.

Sprawy jednak przybrały o wiele gorszy obrót, kiedy na salę wkroczył świadek oskarżenia, dawny pirat Jeremiaś Price.

Cassandra niemal go nie pamiętała. Był to mężczyzna średniego wzrostu, silnej budowy, o długich rękach i masywnej klatce piersiowej, co nadawało mu nieco groteskowy wygląd. Długie włosy opadały mu na szeroką twarz, poznaczoną bliznami po ospie. Głęboko osadzone oczy patrzyły na świat z jawnym okrucieństwem.

Price dokładnie opisał napad na kupiecki statek „Triumf”. Według jego zeznania wspomniane wydarzenia miały miejsce pierwszego kwietnia 1672 roku, trzy mile morskie na północ od brzegów Trinidadu. Cassandra Everson z własnej i nieprzymuszonej woli należała do załogi Druma O'Leary'ego, była na „Delfinie” i brała czynny udział w ataku na statek „Triumf”. Widziano ją z pistoletem w dłoni.

Cassandra słuchała tych kłamstw w niemym zdumieniu. Podejrzewała, że Price usłyszał tę historię od innych członków załogi „Delfina” i przerobił ją na własną modłę, w nadziei na złagodzenie kary.

Na sali rozpraw zapanowało wyraźne napięcie. Widzowie podnieconym szeptem dzielili się wrażeniami. Cassandra została poddana przesłuchaniu. Sędziowie wzięli ją w krzyżowy ogień pytań i nie szczędzili jej upokorzeń. Chcieli wiedzieć wszystko - pytali o stosunki z ojcem, wykradzenie zwłok, porwanie statku.

Kilka razy próbowali złapać ją w pułapkę i nakłonić do potwierdzenia winy. Kiedy spytali ją, czy ma coś do powiedzenia na swoją obronę, znów spojrzała na widzów. Szukała wzrokiem Stuarta. Nie zobaczywszy go, wyżej uniosła głowę i popatrzyła na przewodniczącego trybunału.

- Jestem niewinna. Nie dopuściłam się aktu piractwa wymienionego w oskarżeniu. Z całą mocą zaprzeczam, że kiedykolwiek brałam udział w napadzie na „Triumfa”.

Jej stanowczość wywarła wrażenie na publiczności, ale sędziowie byli nieugięci.

Powiedziała im, że w marcu, podczas postoju na Trinidadzie, przeniosła się z „Delfina” na statek handlowy dowodzony przez kapitana Samuela Tillotsona, płynący na Barbados. Nie mogła zatem pierwszego kwietnia uczestniczyć w napadzie. Prosiła sąd o wstrzymanie rozprawy do czasu przybycia kapitana Tillotsona. Oskarżyciel pochylił się w jej stronę.

- Nie zapominaj - zaczął groźnym tonem - że zeznajesz pod przysięgą. Nie dodawaj kłamstw do swoich zbrodni. Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego wspomniany kapitan Tillotson do tej pory nie stawiał się u władz, żeby potwierdzić twoje słowa?

Cassandra nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Stuart uprzedzał ją, że admiralicja nie zgodzi się na odroczenie rozprawy. Z piratami załatwiano się nadzwyczaj szybko, chcąc odstraszyć innych amatorów tej profesji.

Po pięciu godzinach zakończono przesłuchania i sąd udał się na naradę. Dzięki zeznaniom Price'a werdykt zapadł nadspodziewanie szybko. Cassandrze wystarczył jeden rzut oka na powracających sędziów, aby wiedzieć, że wszystko stracone.

Popatrzyła na ich surowe oblicza i świat zatańczył jej przed oczami. Cała krew odpłynęła nagle z jej policzków.

Głos zabrał przewodniczący trybunału.

- Udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że obecna tu Cassandra Everson jest winna rabunku państwowego mienia i dopuściła się piractwa, jak zapisano w punkcie pierwszym i trzecim aktu oskarżenia.

Cassandro Everson, czy możesz nam przestawić powód, który uchroniłby cię przed karą śmierci? Cassandra miała w głowie pustkę. Słowa sędziego docierały do niej z daleka. Prawie ich nie słyszała. Miała wrażenie, że dotyczą kogoś zupełnie innego. Tak, tak. To przecież musi być ktoś inny. Była wyczerpana. Zaszumiało jej w uszach i zanim zdążyła coś odpowiedzieć, osunęła się zemdlna na podłogę.

Kiedy po chwili odzyskała przytomność, siedziała na ziemi, oparta plecami o twardą drewnianą ławkę. Otworzyła oczy i wróciła do realnego świata. Na sali wrzało. Nagle zdała sobie sprawę, że nie tylko jej omdlenie wywołało zamęt.

Wstała powoli i zobaczyła, że przez tłum przeciskał się wysoki, barczysty mężczyzna. Miał rozwiane włosy i był cały pokryty kurzem, jak po szaleńczej jeździe. Jego oczy ciskały błyskawice. W tym momencie sam wyglądał niczym romantyczny pirat, który z odległych oceanów przybył po swoją ukochaną.

- Stuart! - niemal bez tchu wyszeptała Cassandra. Popatrzyła na niego z radością, wstydząc się wcześniejszych chwil zwątpienia.

Straż nie pozwoliła mu podejść do niej, ale spojrzeli sobie w oczy.

Przewodniczący sądu z irytacją zerknął na intruza, zgorzony jego zachowaniem, chociaż rozpoznał w nim człowieka, który półtora roku wcześniej pojmał ojca skazanej, Nathaniela Wylde'a.

- Co znaczy to wtargnięcie? - zapytał surowym tonem, usiłując przekrzyczeć gwar. Widzowie w lot zrozumieli, że to jeszcze nie koniec dramatu, i głośno wyrażali zadowolenie. Z otwartymi ustami wpatrywali się w przybysza.

- Chciałbym złożyć ważne oświadczenie w obronie oskarżonej! - powiedział Stuart dźwięcznym i donośnym głosem. - Jak się dowiedziałem w sieni Old Bailey, nikt dotąd się za nią nie ujął!

- Może nie ma takiego świadka - zimno odparował sędzia. - Niech mi będzie wolno przypomnieć, że oskarżona nie jest niewiniątkiem, za jakie pragnie uchodzić, ale córką Nathaniela Wylde'a, pirata, który został w tym miejscu osądzony i słusznie skazany na powieszenie. Bez wątplenia odziedziczyła po nim zbrodnicze skłonności. Przy okazji dodam, że nasz świat byłby o wiele bezpieczniejszy, gdybyśmy zawczasu pozbyli się wszystkich ludzi jej

pokroju! - Powiódł wzrokiem po sali i na koniec przeniósł wzrok na Stuarta. - Wiem, kim pan jest, lecz zgodnie z protokołem proszę podać imię i nazwisko.

Stuart zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na ciekawość, jaką wzbudził wśród tłumu. Górował nad ciżbą.

- Jestem sir Stuart Marston, do niedawna właściciel i kapitan statku „Morski Jastrząb”, który obecnie przeszedł w ręce kompanii Wheatley and Roe.

- Co pana łączy z oskarżoną?

- Jestem jej mężem - oznajmił Stuart, wprawiając tym w zdumienie wszystkich obecnych na sali. Zapadła grobowa cisza, a potem rozległo się zbiorowe westchnienie. Stuart popatrzył na Cassandrę. Uśmiechnęła się do niego słabo. Nigdy nie kochała go bardziej niż w tej chwili. Przewodniczący sądu nie krył zaskoczenia słowami Stuarta.

- To pańska żona? - zapytał oschle. - O ile się nie mylę, to właśnie pan schwytał jej ojca, wspomnianego już wielokrotnie Nathaniela Wylde'a.

- Owszem, ale ten proces nie dotyczy Nathaniela Wylde'a - zauważył Smart. - Jak sam pan przed chwilą powiedział, pirat otrzymał sprawiedliwy wyrok i został stracony.

- Podobnie stanie się z Cassandrą Everson - z niewzruszoną miną odparł sędzia i pogardliwie wydał usta.

- Nazywa się Cassandra Marston - chłodno sprostował Stuart. - Lady Cassandra Marston.

- Oczywiście. Świetnie rozumiem, że chce pan bronić żony, lecz podejrzewam, iż kieruje się pan wyłącznie emocjami. Proszę zatem spokojnie odejść i nie przeszkadzać nam w ostatecznym ogłoszeniu wyroku.

- Wspominałem, że chcę przemawiać w jej obronie - nalegał Smart stanowczo, lecz z szacunkiem należnym sądowi.

- Powinien pan to zrobić wcześniej.

- Nie mogłem przybyć, bo poszukiwałem naocznego świadka, który potwierdziłby, że Cassandry Marston nie było na pokładzie „Delfina” w czasie ataku na „Triumfa”. Bronię jej, gdyż nie popełniła zarzucanych jej dzisiaj czynów. Jej jedynym przewinieniem może być to, że jest córką Nathaniela Wylde'a. Jeżeli mamy odpowiadać za grzechy naszych ojców, to mniej więcej połowa Anglii powinna zawisnąć na szubienicy!

Publiczność była zachwycona; powitała te słowa donośnym pomrukiem. Rozległy się głośne okrzyki i wiwaty. Przewodniczący sądu zrobił srogą minę. Uniósł się z fotela i zaczął gniewnie dopominać się o ciszę. Potem rzucił wściekłe spojrzenie na Stuarta.

- Rozprawa dobiegła końca. Oskarżona została uznana winną zbrodni piractwa.

- Ja zaś powtarzam, że jej oskarżenie opiera się na zeznaniach łotra, który kłamstwem chciał ocalić własną skórę! - krzyknął Stuart, zdecydowany bronić Cassandry do samego końca. -

Jeremiah Price zaciągnął się na „Delfina” zaledwie kilka dni przed pojmaniem! Wyrok śmierci na moją żonę będzie zwyczajnym morderstwem! Chce ją pan mieć na sumieniu, panie sędzio?

- Dosyć! - zawołał przewodniczący sądu, zrywając się na równe nogi. Twarz miał zaczerwienioną z gniewu.

Stuart mówił dalej, nie zwracając uwagi na jego napomnienia.

- To prawda, że w marcu na Trinidadzie przesiadła się na „Inicjatywę” kapitana Samuela Tillotsona. Właśnie jego szukałem ostatnimi dniami, ale opuścił swoją posiadłość w Nottingham i wyjechał z wizytą do rodziny. Za miesiąc wróci do Londynu. Proszę zatem o odroczenie dalszej

rozprawy do powrotu kapitana Tillotsona lub do czasu odnalezienia pozostałych świadków z załogi „Inicjatywy”.

Sędzia jednak nie dał się przekonać. Nagłe wtargnięcie kapitana Marstona podważyło jego autorytet i powagę sądu. Na to nie mógł pozwolić.

- Cieszę się, że z takim zapałem broni pan żony - powiedział sucho - ale powtarzam, że rozprawa już dobiegła końca. A teraz nakazuję panu milczeć albo oskarżę pana o obrazę sądu.

Wbił wzrok w oskarżoną. Cassandra odruchowo wyprostowała się, przygotowana na najgorsze.

- Cassandro Marston - uroczystym tonem zaczął przewodniczący sądu, wymawiając tradycyjną formułę. - Stąd udasz się do miejsca, w którym przebywałaś, stamtąd zaś na plac straceń, gdzie zostaniesz powieszona. Niech Bóg w swojej niezmierzonej łasce ulituje się nad twoją duszą.

Głuchy szmer przebiegł po sali, wszyscy bowiem nagle zrozumieli, że w rzeczywistości wyrok zapadł jeszcze przed procesem.

- Nie! - gwałtownie zaprotestował Stuart, nie odrywając oczu od sędziego. W jego wzroku było tyle nienawiści, że dwaj strażnicy szybko podeszli do niego, a pozostali stanęli koło Cassandry. - To niesprawiedliwe! Ona jest niewinna!

- Cisza! - wykrzyknął sędzia i ponownie spojrzął na Cassandrę. - Czy skazana chce jeszcze coś powiedzieć, zanim uda się do Newgate, gdzie więzienny kapłan wysłucha jej spowiedzi? -

zapytał zimno, pragnąc, aby ten niecodzienny proces jak najszybciej dobiegł końca.

Cassandra oderwała wzrok od męża i przeniosła spojrzenie na sędziego. Dobrze wiedziała, że nadeszła chwila, w której musi zdradzić swoją tajemnicę i publicznie powiedzieć o dziecku. Czuła na sobie wzrok Stuarta. Wzięła głęboki oddech i oznajmiła z pozornym spokojem:

- Tak. Mam jeszcze coś do dodania. Być może sąd okaże mi łaskę, jeżeli powiem, że jestem brzemienista.

Rozległ się zbiorowy jęk, po którym zapadła cisza. Cassandra odruchowo spojrzała na Stuarta.

Jego twarz była jak z kamienia. Sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał słów, które padły. Po chwili sala eksplodowała nieopisaną wrzawą. Ludzie wiwatowali i śmiali się na całe gardło.

Stuart, korzystając z powszechnego zamieszania, przysunął się bliżej żony. Błysnął gniewnie oczami.

- Mam w to uwierzyć? - syknął. - Czy to prawda?

Cassandra bezwiednie zacisnęła wełniany szal na brzuchu, jakby chciała obronić dziecko przed czyhającym na nie potworem.

Wytrzymała spojrzenie męża.

- Tak.

- Powinnaś była mi powiedzieć wcześniej. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Cassandra była u kresu sił i z najwyższym trudem powstrzymywała się od płaczu. Smart miał pełne prawo się na nią złościć, ale...

- Wybacz - szepnęła.

- Jak mogłaś tak postąpić? - spytał z wyrzutem w głosie. - Po prostu nie mogę uwierzyć. Przecież to sprawa pierwszorzędnej wagi. Myślałem, że jesteś choć trochę mądrzejsza.

- Mądrzejsza? - ze zdumieniem powtórzyła Cassandra.

- Gdybym dowiedział się o tym wcześniej, nie pędziłbym co koń wyskoczy do Nottingham i z powrotem. Nie rozumiesz, że w tym wypadku to było niepotrzebne? Przy twoim stanie bez wątplenia nie doszłoby dzisiaj do rozprawy. Tillotson zdążyłby wrócić do Londynu.

- Och, Stuarcie! Wybacz mi. Nie wiedziałam! -zawołała zrozpaczona, bo uświadomiła sobie, że przez jej głupotę sytuacja się skomplikowała.

- Za późno na żale. Mam nadzieję, że wyjdiesz obronną ręką z tej opresji - dodał i odwrócił głowę.

Przewodniczący sądu, w obawie, że za chwilę dojdzie do zamieszek, kazał opróżnić salę. Dopiero potem wznowił indagację.

- Dlaczego oskarżona nie ujawniła tego wcześniej?

- Ponieważ miałam nadzieję, że zostanę uniewinniona - odpowiedziała Cassandra i zerknęła ukradkiem na Stuarda, jakby szukając u niego pocieszenia, ale on odwrócił wzrok.

- Takie nadzieje zwykle są zawodne - zauważył sędzia i musnął spojrzeniem jej brzuch, przysłonięty szalem. - Jeśli mnie wzrok nie myli, wyznanie oskarżonej było niemałym zaskoczeniem dla jej męża. Zdarza się, że więźniarki zachodzą w ciążę w Newgate, aby uniknąć szubienicy. Nie jesteś pierwsza i ostatnia.

Cassandra poczerwieniała, słysząc tę obelgę, ale wyprostowała się dumnie i powiedziała bardziej do Stuarda niż do sędziego:

- Noszę w sobie dziecko mojego męża. Nikt inny nie miał do mnie dostępu.

Sędzia obojętnie skinął głową. Nie obchodziło go, kto jest ojcem dziecka. Był tylko zły, że musi wstrzymać proces.

- Wszystko jedno. Kiedy nastąpi rozwiązanie?

- Według moich obliczeń za pięć miesięcy.

- Dobrze. Nie mam zatem innego wyjścia, jak odesłać oskarżoną z powrotem do więzienia i zarządzić przeprowadzenie odpowiednich badań.

W drodze do Newgate Cassandra nie widziała ponad głowami tłumu powozu, który się zatrzymał przed drzwiami Old Bailey. Wysiadły z niego dwie osoby, które przepchnęły się przez ciżbę w stronę sali rozpraw.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po badaniach, które potwierdziły ciążę, Cassandra wróciła na salę rozpraw. Zastała jedynie sędziego, Stuarda i dwoje ludzi, w których natychmiast rozpoznała Johna i Meredith. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Twarz kuzynki zdradzała wyraźne ślady znużenia. Meredith, kobieta o ciepłym i czułym sercu, bardzo przeżyła uwięzienie i proces krewnej. Przez łzy uśmiechnęła się na jej widok. Cassandra chciała od razu do niej podejść, ale sędzia kazał jej zostać na miejscu i milczeć do końca rozprawy. Miało to potrwać stosunkowo krótko, bowiem po spotkaniu z sir Johnem, sir Stuartem i lady Meredith wyszło na jaw, że Jeremia Price wprowadził trybunał w błąd i że zapadł niesprawiedliwy wyrok.

John przybył do Anglii poprzedniego dnia. Meredith bezzwłocznie opowiedziała mu o nieszczęściu, jakie spotkało Cassandrę. John zaraz chciał jechać do Newgate, ale nie było już na to czasu. Nie znalazł Stuarda, więc na własną rękę rozpoczął poszukiwania kapitana Tillotsona. Pamiętał, że tak brzmiało nazwisko dowódcy statku, którym Cassandra przyплыnęła z Trinidadu na Barbados. Ponieważ wyrażała się o nim z sympatią, nie wątpił, że kapitan okaże się dżentelmenem i przed sądem stanie w jej obronie.

Tillotsona jednak nigdzie nie było. John nie ustawał w wysiłkach. Wreszcie znalazł kilku marynarzy z „Inicjatywy”, który zeznali pod przysięgą, że w marcu, podczas postoju na wyspie Trinidad, kapitan Tillotson przyjął na statek pannę Cassandrę Everson wraz z towarzyszką i że wspólnie odbyli rejs na Barbados.

W sumie zebrano dość dowodów na to, że oskarżona nie mogła być na pokładzie „Delfina” w dniu napadu na „Triumfa”. Jeremia Price stanął przed zarzutem krzywoprzysięstwa, co ostatecznie zamknęło długą listę jego przestępstw.

Cassandra w milczeniu wysłuchiwała kasacji wyroku i oświadczenia, że w obliczu nowych faktów, przedstawionych podczas jej procesu, sąd uznał okoliczności łagodzące i niniejszym oczyścił ją z zarzutów.

Wciąż nie wierzyła, że koszmar dobiegł końca. Przez kilka ostatnich miesięcy żyła w ciągłym napięciu, więc zmęczenie dało znać o sobie. Stuart szybko wyprowadził ją z sądu i przeprowadził przez rzadniejący tłum. Ludzie gapili się na nich z ciekawością.

- Na litość boską, chodźmy stąd jak najprędzej - powiedział niecierpliwie.

Cassandra obejrzała się w stronę budynku sądu, w którym zatrzymali się John i Meredith, żeby jeszcze przez chwilę porozmawiać z sędzią.

- Zaczekajmy na moich krewnych - poprosiła. Popatrzyła na Stuarda. Miała nadzieję, że zmieni się na wieść o dziecku, ale on ciągle pozostawał odległy, jakby oddzielony niewidzialnym murem. Z wielkim trudem zmusiła się do spokoju. - Co się stało, Stuarcie? - zapytała. - Czym cię uraziłam?

Po nim także znać było ogromne zmęczenie.

- Uraziłaś? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Byłeś... zły, kiedy nagle dowiedziałeś się o dziecku. Wyobrażałam sobie to całkiem inaczej.

- Niby jak? - zapytał ostrzej, niż zamierzał.

- Widzę, że nie jesteś zbyt zadowolony. Nie chcesz dziecka? Dlatego, że jest także moje? - szepnęła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś brzemienna? Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co naprawdę czuję. Zbyt długo żyłem myślą o rozprawie i teraz trudno mi się skupić na czymś innym.

- Rozumiem. - Cassandra postanowiła bronić dziecka nawet przed jego ojcem. - Patrzysz na mnie zimno, bez emocji. Był może rzeczywiście już cię nie obchodzę. Może widziałeś we mnie tylko obiekt zaspokojenia swojej żądz?

- To nieprawda! - żarliwie zaprotestował Stuart.

- Tak? Jesteś tego zupełnie pewny? Dopiero co przeżyłam najstraszliwszy dzień w życiu. Byłam przekonana, że powiesz mi, że jestem wolna, ale ty nie pozwalasz mi się z tego cieszyć. Mam znów cierpieć? Znów mnie będziesz sądził, bo przypadkiem dowiedziałeś się o dziecku? Jak śmiesz?! - zawołała bliska płaczu.

Stuart patrzył na żonę z pobladłą twarzą. Dlaczego sprawiał jej ból po wszystkim, przez co ostatnio przeszła?

- Wcale nie chcę, żebyś cierpiała... - zaczął, lecz nie dała mu dokończyć.

- To dlaczego robisz minę męczennika? Może tak jak sędzia wciąż nie wierzysz, że to rzeczywiście twoje dziecko? Chcesz udawać, że nie byłeś u mnie w czasie sztormu? Mam ci przypomnieć, co się wtedy stało?

- Jak mógłbym tego nie pamiętać? To były cudowne chwile.

- Zatem nie możesz wątpić w moją szczerłość. Sam przyznajesz, że się kochaliśmy. Właśnie stąd się biorą dzieci - dodała sarkastycznie, akcentując każde słowo.

- Wiem - rzekł przez zaciśnięte zęby, głosem nabrzmiałym od skrywanej pasji. - Dałem się ponieść namiętności i o niczym więcej nie myślałem. Tak, przyznaję to, Cassandro, chociaż wolałbym nie dowiadywać się o dziecku w sali sądowej pełnej gapiów.

- Już nic nie mów. - Postąpiła mu ponure spojrzenie. - Myślałam, że to nam pomoże szybciej zapomnieć o przeszłości. Teraz już wiem, że się pomyliłam. Dobrze, że John wrócił z Barbadosu i że przyszedł tu dziś razem z Meredith, bo inaczej znalazłbyś się w trudnej sytuacji. Stuart słyszał gorycz w głosie żony i zapragnął ją pocieszyć. Wściekał się na ludzi, którzy ich obserwowali. Dobrze wiedział, że Cassandra wciąż jest w szoku po ostatnich wydarzeniach. Jednak sam nie umiał się otrząsnąć z zaskoczenia.

- O tyle trudnej, że bez Johna miałbym większy kłopot, by przekonać sędziów o twojej niewinności. Jestem mu za to głęboko wdzięczny i ty także powinnaś mu podziękować. W gruncie rzeczy - dodał cierpko - sama się w to wpakowałaś. Na dodatek narobiłaś mu kłopotów.

- Tak, masz rację, postąpiłam głupio. Nie trzeba mi o tym przypominać. Zwłaszcza teraz - powiedziała ze złością. - Wyznałam publicznie swoją tajemnicę, bo musiałam się ratować. Teraz jednak tego żałuję. Szkoda, że mnie nie powiesili. W ten sposób za jednym zamachem uwolniłbyś się ode mnie i od dziecka.

Stuart podszedł bliżej.

- Naprawdę masz mnie za potwora? Jaki człowiek mógłby być tak podły, żeby zaprzeć się własnego potomka? Moje dziecko ma żyć bez ojca przez wzgląd na grzechy dziadka? To chyba zbyt surowa kara.

- Cieszę się, że to powiedziałaś, lecz nie zostawiasz mi innego wyjścia. Nie chcesz mnie, więc muszę odejść. - Urwała nagle, skarcona jego spojrzeniem.

- Myślisz więc, że zamierzałem cię zostawić? - Zaklął cicho i wziął ją za rękę. - Chodźmy stąd. Wciąż na nas patrzą. To nie miejsce na takie rozmowy. Zaczekajmy, aż będziemy sami. Pożegnamy się z twoim kuzynostwem i jedziemy.

- Dokąd? - zapytała sztywno. - Dokąd chcesz mnie zabrać?

- Do mojego domu w Bloomsbury - odpowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu i niemal siłą pociągnął ją w stronę powozu.

- A twoja matka? Przyjmie mnie pod swój dach?

- Moja matka jest kobietą dobrą i rozsądną - odparł. - Sama o tym się przekonasz, kiedy poznasz ją trochę lepiej.

Kiedy znaleźli się obok powozu, zatrzymał się i popatrzył na Cassandrę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że odwiedziła cię w Newgate?

- Pomyślałam, że nie chciałyby, abyś usłyszał to ode mnie. Lecz to dziwne, że się przyznała.

- Niby dlaczego? Moja matka chadza własnymi drogami. Nie przywykłem jej pouczać, co może lub powinna zrobić. Z tobą będzie inaczej. Jesteś moją żoną i zamierzam zabrać cię do domu. Obiecuję, że otoczę cię opieką.

Cassandra już chciała z rezygnacją przystać na tę propozycję, lecz w tej samej chwili zobaczyła nadchodzącą Meredith. To właśnie u niej znalazła kiedyś najbezpieczniejszą przystań.

Wyrwała rękę z uścisku męża.

- Puść mnie, Stuarcie. Nie pojedę z tobą.

Obrzucił ją karcącym spojrzeniem. Przyzwyczajony do wydawania poleceń i rozkazów, nie spodziewał się, że go nie posłucha.

- Nie? W takim razie gdzie się podziejesz?

- Jadę do domu. Do Chelsea. Uśmiechną się ironicznie.

- Dom jest tam, gdzie mąż mieszka razem z żoną.

- W zwykłych małżeństwach tak, a musisz przyznać, że nasz związek nie jest całkiem zwykły.

- Być może, lecz to teraz nieistotne. Nie zapominaj, że tym razem masz do czynienia nie z Johnem, lecz ze mną.

- Ach, gdzież bym śmiała! - powiedziała z przekąsem, zdenerwowana jego wyniosłym tonem. - Zachowujesz się jak mój właściciel.

- Tak bardzo nie chcesz mieszkać w moim domu? Cassandra już nie miała siły kłócić się z nim dłużej. Zrezygnowana pochyliła głowę.

- Oczywiście, że chcę - powiedziała ciszej - ale na razie, proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Dobrze - rzekł nieco łagodniejszym tonem. - Nie jestem aż tak nieczuły. Nie chcę, byś mówiła, że masz bezdusznego męża.

Nagle pociemniało jej w oczach. Była tak zmęczona, że nie mogła mówić. Nawet nie potrafiła się rozplakać.

- Jestem ci za wszystko bardzo wdzięczna, Stuarcie - szepnęła z najwyższym wysiłkiem. - Tobie i twojej matce. Ale musisz dać mi trochę czasu, żebym przyszła do siebie po tym wszystkim.

Potrzebuję samotności. Prawdę mówiąc, teraz marzę tylko o kąpieli, żeby zmyć z siebie smród i wszelkie nieczystości ostatnich kilku tygodni. Gorzej będzie ze wspomnieniami. - Wzdrygnęła się mimo woli. - Wszystko inne może poczekać. Mam taki mętlik w głowie, że nie potrafię zebrać myśli. Pozwól mi jechać z Johnem i Meredith... i nie chowaj do mnie urazy.

Smart wyrzucał sobie, że dał się wciągnąć w kłótnię, zamiast otoczyć żonę opieką. To wstyd, pomyślał. Co mi się stało? Tak ma się zachowywać przyszły ojciec?

Nagle ogarnęła go fala czułości. Wiedziony współczuciem, odruchowo, w zupełnie naturalny sposób przygarnął Cassandrę do siebie, przytulił ją i pogłaskał po głowie. W ten sposób chciał ją zapewnić o swojej miłości. Poczul, że drży w jego ramionach niczym spłoszony ptak.

- Wybacz mi, moja najmilsza - rzekł. - Przepraszam. Byłem zły... głównie na siebie, bo nie potrafiłem sobie poradzić z wszystkimi nieszczęściami, jakie na nas spadły. Ty zaś w tych trudnych chwilach udowodniłaś, że masz godną podziwu odwagę. Ani przez chwilę nie zamierzałem skrzywdzić cię po tym, co przeszłaś. Odchodziłem od zmysłów ze zmartwienia.

- Wiem - odpowiedziała. Odsunęła się na wyciągnięcie ręki i przez łzy uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko rozumiem. Kilka ostatnich tygodni było dla nas wyjątkowo trudnych.

Dzień był ciepły, a mimo to trzęsa się jak w febrze. Stuart pospiesznie zarzucił jej swój płaszcz na ramiona. Wziął ją za rękę i zaprowadził do powozu, w którym czekali Meredith i John.

- Może naprawdę będzie lepiej, jeśli na pewien czas pozostaniecie razem - powiedział Stuart. -

Sir John i lady Meredith na pewno zajmą się tobą troskliwie, a ty, Cassandro, pomyśl o przyszłości. Ciesz się z tego, że niedługo będziesz miała dziecko. - Delikatnie pogłodził ją po policzku. - I... przepraszam cię za wszystko, co powiedziałem. Nie chcę cię znowu stracić. Nasze dziecko... - Uśmiechną się. - To będzie najpiękniejszy w świecie noworodek, z największymi i najbardziej niebieskimi oczami, jakie kiedykolwiek widziałaś w życiu.

- Marzę o chłopcu, który będzie podobny do ojca - powiedziała Cassandra drżącym z emocji głosem.

- Zważywszy na to, jak się wierci, rzeczywiście to będzie chłopiec.

- Nie pojedzie pan z nami, kapitanie Marston? -zapytał John.

Stuart odsunął się od powozu.

- Nie, nie. Może innym razem. Jeśli będę wam potrzebny, to wiecie, gdzie mnie szukać.

Meredith z nieomylną kobiecą intuicją wyczuwała, co się dzieje z kuzynką. Z czułością wzięła ją za rękę i ścisnęła dla dodania odwagi. Bardzo przeżyła ucieczkę Cassandry po śmierci Nathaniela Wylde'a, ale nie miała o to do niej żalu. Przeciwnie, modliła się o jej szczęście i pomyślność.

- Od dzisiaj wszystko będzie dobrze - odezwała się cicho. - Byłam zaskoczona, kiedy John powiedział mi o twoim małżeństwie z kapitanem Marstonem. Czuję, że go polubię. Od razu widać, że cię kocha.

- Biedny Stuart. W dniu ślubu nawet nie wiedział, ile różnych nieszczęść mu przysporzę. Och, Meredith! Dlaczego najbardziej krzywdzimy tych, których kochamy?

- To już przeszłość. Teraz powinnaś myśleć o dziecku.

Cassandra uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Tak, tak. Masz rację. Wybacz. Na pewno wyglądam okropnie. Tak też się czuję.

- Na początek przyda ci się balia pełna gorącej wody i solidny kawałek mydła - orzekła praktyczna jak zawsze kuzynka.

W wielkim elżbietańskim domu w Chelsea Cassandra z wolna odzyskiwała siły. Coraz rzadziej myślała o biedzie i nieszczęściach, które oglądała w Newgate. Meredith otoczyła ją troskliwą opieką, opowiadała jej o sąsiadach i codziennym życiu w okolicy, licząc na to, że kuzynka zapomni o bolesnych doświadczeniach.

John i Meredith nie wiedzieli o tym, co wydarzyło się od czasu ślubu Cassandry i Stuarta na Barbadosie. John - który nie wierzył w przypadki - nie mógł się nadziwić, że los połączył dwoje ludzi związanych tak tragiczną przeszłością. Trochę żałował, że nieopatrznie skłamał, mówiąc Stuartowi, iż ojciec Cassandry zginął pod Worcester. Ale któż mógłby przewidzieć, jakie będą skutki tego pozornie niewinnego kłamstwa?

Dzień był parny i bardzo ciepły. Meredith i Cassandra szły ścieżką pośród łąk nakrapianych stokrotkami. Powietrze drgało od upału.

Z wolna zmierzały do domu, gdy nagle zobaczyły Johna, idącego ku nim w towarzystwie Stuarta. Kapitan wyglądał znakomicie w zgrabnie skrojonym surducie i obcisłych spodniach. Nigdy nie lubił nosić peruki, więc i tym razem był z gołą głową, a włosy miał zaczesane do tyłu i związane czarną tasiemką. Białe pończochy dopełniały reszty, uwydatniając muskularne łydki. Cassandra nigdy nie widziała go w takim stroju. Z kapitana zmienił się w dżentelmena. Prezentował się jeszcze lepiej niż zazwyczaj.

Cassandra zatrzymała się i czekała, aż podejdzie bliżej. W tym momencie świat przestał dla niej istnieć. Widziała tylko jego. Dziecko postanowiło jednak odwrócić jej uwagę i gwałtownie poruszyło się w brzuchu. Czar prysnął i Cassandra, wyrwana z oszołomienia, zastanawiała się, czy Stuart przyjechał do Chelsea prywatnie, czy w interesach. Postanowiła, że nie rzuci mu się na szyję, dopóki nie pozna jego intencji.

- Pańska żona wygląda już o wiele lepiej, prawda, kapitanie Marston? - odezwała się Meredith.

- W istocie, jest piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem - odpowiedział głębokim głosem. Wprost nie mógł oderwać wzroku od Cassandry. - Pobył w Chelsea wyraźnie jej służy.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Meredith szybko wzięła brata pod rękę.

- Chodźmy, John. Odprowadź mnie do domu. Jestem pewna, że tych dwoje ma niejedno do omówienia. Musimy także uprzedzić kucharkę, że będziemy mieli gości na obiedzie. Zje pan z nami, sir Stuarcie?

- Tak. Dziękuję.

Meredith uśmiechnęła się ponownie i pociągnęła Johna za sobą. Poszli przodem, zostawiając Cassandrę sam na sam ze Stuartem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Stuart zmierzył Cassandrę przeciągłym spojrzeniem. Od razu dostrzegł jej wydatny brzuch i otaczającą ją świetlistą aurę macierzyństwa. Włosy błyszcząły jej niby czyste złoto, a przejrzyste i spokojne oczy były jeszcze bardziej niebieskie, niż to zapamiętał. Twarz odzyskała zdrowy wygląd, policzki się zaróżowiły. Wyglądała prześlicznie ze słońcem w oczach i z dumnie uniesioną głową. Stuart przypomniał sobie te intymne chwile, które dane było im spędzić razem. Przesunął wzrokiem po jej kształtnych piersiach i łabędziej szyi.

Cisza się przedłużała. Cassandra spoglądała na męża z ciekawością, ale jakby obojętnie. Smart poczuł się trochę niepewnie, bo nie umiał odgadnąć jej myśli. Trzy tygodnie temu rozszyfrowałby je bez najmniejszego trudu. Teraz coś się zmieniło i dlatego poczuł się zakłopotany. Postanowił przerwać milczenie.

- Jak się czujesz, Cassandro?

Lekko uniosła brwi.

- Tak jak widzisz, zupełnie nieźle, dziękuję - odpowiedziała, nieco zdziwiona jego powściągliwością. Dlaczego tak uparcie trzymał się od niej z dala? - A ty, Stuarcie? - zapytała cicho. - Z twego wyglądu wnoszę, że nie przyjechałeś tu konno z Bloomsbury?

- Masz rację. W tak piękny dzień jak dzisiaj postanowiłem wybrać się na przejażdżkę łodzią.

- Wieczny żeglarz. Na łądzie ci się mniej podoba?

- Muszę przyznać, że czasami czuję się znudzony. Jednak potrzeba czasu, żeby po życiu pełnym przygód na dobre się ustatkować. Widzę, że tobie to się udało - dorzucił, patrząc jej prosto w oczy. - Zapomniałeś już o więzieniu i ciężących na tobie oskarżeniach?

- Niezupełnie, chociaż podchodzę do tego ze spokojem. Takich rzeczy łatwo się nie zapomina. Nie chciałabym przeżywać tego po raz drugi, to pewne. Na szczęście John i Meredith są dla mnie bardzo dobrzy, cierpliwi i wyrozumiali.

Stuart skinął głową. Cassandra uparcie nie ułatwiała mu tej rozmowy. Jak to możliwe, że tak się zmieniła przez krótkie trzy tygodnie? Myślał, że rozszyfrował ją na dobre, lecz ta Cassandra, zupełnie nowa i pogodzona z cichym wiejskim życiem, była dla niego zagadką. W głębi duszy wolał tę dawną buntowniczkę, łaknącą przygód.

Taką, jaką była choćby na Barbadosie. Wolna od sztywnych zasad etykiety, rządzących życiem angielskich dziewcząt. Doskonale pamiętał jej żywiołowy urok, skłonność do śmiechu i ów magnetyzm, który przyciągał wzrok mężczyzn. Zapamiętał też dreszcz emocji, kiedy kochali się w jaskini i w noc poślubną. Nawet wtedy, gdy poznał prawdę o pochodzeniu Cassandry, nie potrafił wyzwolić się spod jej uroku, chociaż bardzo tego chciał.

Przeszli jeszcze kawałek drogi. Stuart znów zdecydował się przemówić pierwszy.

- Rozumiem, że możesz się na mnie gniewać. Wstydzę się tego, co powiedziałem ci zaraz po rozprawie. To było z mojej strony okrutne i niewybaczalne.

Odwróciła głowę w jego stronę i uśmiechnęła się zdawkowo.

- Tak, to prawda, ale nie twierdzę, że na to nie zasłużyłam. Powinnam była dużo wcześniej powiadomić cię o dziecku. Teraz już w pełni to rozumiem. Chciałam jednak na pewien czas zachować tajemnicę.

Stuart popatrzył na żonę. Za nic w świecie nie chciał jej ponownie zawieść. Odpowiedziała mu czujnym spojrzeniem, w którym nie było nic z dawnego ciepła. Zaczynało go to denerwować.

- Wciąż o tobie myślałam, Cassandro.

- Naprawdę? Skinął głową.

- Zamierzałem wcześniej przyjechać, ale nie wiedziałem, jak mnie przyjmiesz. Postanowiłem więc zaczekać.

- Ja zaś tkwiłam w Chelsea, przekonana, że o mnie zapomniawsz. Byłeś cierpliwy - za co jestem ci ogromnie wdzięczna - ale dzień po dniu czekałam na twój przyjazd. - Zobaczyła, że uśmiechnął się z zadowoleniem, więc też pozwoliła sobie na uśmiech. - Co cię tu dzisiaj sprowadziło? - Jutro jadę do Charnwood i chciałbym, żebyś się wybrała ze mną. To teraz twój dom, tam powinno urodzić się nasze dziecko.

Cassandra popatrzyła na niego niepewnie, jakby do końca nie wiedziała, co zrobić. Nie spodziewała się, że tak szybko nastąpi kolejny zwrot w jej życiu.

- Do Charnwood? - powtórzyła. - Wybacz, Stuarcie, ale sądziłam...

Resztę dopowiedział sobie w myślach i ogarnął go gniew. W jego oczach tak jak dawniej zamigotały niebezpieczne błyski.

- Co sądziłaś, Cassandro? - spytał i aż do bólu ścisnął ją za ramię. Zmusił ją, żeby mu patrzyła w oczy, choć próbowała odwrócić głowę. - Może myślałaś, że cię opuszczę? - Miał ochotę silnie nią potrząsnąć, żeby obudzić ją z letargu. - Owszem, przyznaję, że czasami byłem nie do wytrzymania. Nikt jednak nie może mi zarzucić braku uczuć do naszego dziecka. Zaręczam ci, że nie będzie cierpieć z powodu swego pochodzenia.

- Jak mam tego być pewna?! - wykrzyknęła. - Skąd mam wiedzieć, że zechcesz wychować dziecko, w którego żyłach płynie krew Nathaniela Wylde'a?

- Zrobię to, bo tak powiedziałem. Musisz mi uwierzyć.

- Niby dlaczego? Przypomnij sobie, co mówiłeś przy pierwszym spotkaniu i potem, kiedy dowiedziałeś się, kim jestem. Mam powody wątpić w twoje słowa. Skąd mam wiedzieć, że twoje deklaracje płyną prosto z serca, a nie z poczucia obowiązku?

- Czy to dla ciebie wielka różnica?

- Bardzo. Mogę być twoją żoną, lecz nie jestem do ciebie przykuta łańcuchem.

- Co powiedziałaś?! - Stuart podniósł głos, wyprowadzony z równowagi.

- Że mam własną wolę i potrafię żyć bez ciebie, jeśli nie będziesz kochał dziecka.

Stuart odstąpił krok i popatrzył na żonę z niedowierzaniem.

- Wprawdzie nie mogę cię zatrzymać siłą, ale zabraniam ci tak mówić. Naprawdę wątpisz w moją szczerość? - Pokręcił głową. - Mam wiele wad, do których się przyznaję, lecz nie oskarżaj mnie, że zatraciłem duszę. Myślisz, że jestem zdolny odtrącić własne dziecko tylko dlatego, że twój ojciec był moim najgorszym wrogiem?

Mówił to z takim przekonaniem, że Cassandra zawstydziała się swojego wybuchu. Stuart tymczasem westchnął ciężko. Wyciągnął rękę i delikatnym ruchem odgarnął jej z czoła jedwabisty kosmyk. Ten gest sprawił, że tży załśniły w jej oczach.

- Miałem dużo czasu, żeby to przemyśleć - powiedział spokojniejszym tonem. - Zrozumiałem, że złość i kłótnie zatruwają życie i do niczego nie prowadzą. Twój ojciec został osądzony i skazany. Na tym koniec. Niech spoczywa w spokoju. Nie wywołujmy więcej jego ducha. Teraz liczy się przede wszystkim przyszłość. Mocno wierzę w to, że będziemy razem: ja, ty i nasze dziecko. Odbudujemy wspólne szczęście... a może zbudujemy nowe? Gdzie? Najlepiej w Charnwood. W dalszym ciągu wątpisz we mnie, Cassandro? Nadal mi nie ufasz?

Umilkł i, spod oka obserwując jej piękny profil, z napięciem czekał na odpowiedź.

Dla Cassandry był to niezapomniany moment. Nie spodziewała się, że z ust Stuarta kiedykolwiek padną takie słowa. Od dawna już straciła nadzieję, że wróci do niej i że będą razem. Milcząc, ruszyła dalej. Przepętniała ją radość.

Smart po chwili ją dogonił. Nie doczekał się odpowiedzi, więc zmarszczył brwi i niecierpliwie machnął ręką.

- Nie tego pragniesz? - spytał. - Wolisz na zawsze zaszyć się tu, w Chelsea?

- Pewnie, że pragnę - powiedziała wolno. - Przepraszam, ale to spadło na mnie tak niespodziewanie. Przyznam się, że rzeczywiście zamierzałam zostać z Johnem i Meredith przynajmniej do narodzin dziecka.

- Życzę sobie, aby nasz potomek urodził się w Charnwood i dorastał w ciepłe, szczęściu i miłości

- powiedział Stuart.

- Ale... dobrze to sobie przemyślałaś?

Na te słowa Stuart uśmiechnął się z triumfem.

- Przez cały czas myślałem tylko o tym.

- Twoi wysoko postawieni przyjaciele będą ci mieli za złe.

Stuart zatrzymał się przy kępie drzew i popatrzył na żonę z powagą. Wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie.

- Myślisz, że to ma dla mnie jakieś znaczenie, Cassandro? Przecież od dawna jesteś moją żoną, a poza tym - dodał z przekornym uśmiechem, za który zawsze go kochała - gdyby zachowywali się nieodpowiednio, moja matka nie omieszka dać im do zrozumienia, co o tym sądzi.

- Zgadza się z tobą?

- Tak. Nie przyszło jej to łatwo, lecz jest mądra i dobra. Może przez pewien czas nie będzie nas odwiedzać w Charnwood, ale na pewno przyjdzie taka chwila, że w końcu przyjedzie. Mam nadzieję, że jej tego nie zabronisz?

- Nie. Jeśli mam z tobą zamieszkać, to chcę być prawdziwą żoną. Pod każdym względem. Chociaż dodała, rumieniąc się - w najbliższym czasie będzie to niemożliwe. Rozumiesz...

Stuart nie mógł dłużej się powstrzymać i objął Cassandrę.

- Tak, rozumiem - szepnął, pochylając głowę, tak że jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy. - Świetnie rozumiem, ale przecież nie możesz mieć mi za złe, że czasami - tak jak teraz - nachodzą mnie różne zdrotne myśli i chciałbym cię pociągnąć w trawę.

Cassandra roześmiała się radośnie, chociaż udawała zgorzowaną.

- Stuarcie! - zawołała tonem reprimendy. - Jesteś niepoprawny! - Położyła rękę na brzuchu. - A już myślałam, że mój wygląd na dobre cię odstraszy.

- Wręcz przeciwnie. Rozkwitłaś, moja piękna, brzemienna, ukochana żono. Wzbudzisz zachwyty wśród przyjaciół domu i sąsiadów w Charnwood.

- Bo lubią obcych? - zapytała z przekorą w głosie. - Czy gustują w córkach piratów?

Stuart parsknął cichym śmiechem. Przyglądał się jej z zachwytem.

- Jedno i drugie. Już ci mówiłem, że jesteś piękna?

- Piękna? Taka gruba?

- Dziewiczo piękna mimo ciąży - zapewnił ją poważnie.

Zaczerwieniła się, a potem zachichotała nagle, kiedy zaczął całować ją po ramionach.

- Uspokój się! Ktoś może nas zobaczyć!

- A cóż w tym złego, że całuję własną żonę? - Uśmiechnął się uwodzicielsko i puścił ją z westchnieniem żalu. - No dobrze. Postaraj się, żeby to trwało jak najkrócej. Od urodzenia nie grzeszyłem cierpliwością.

Widział w niej zmianę, jakby pod wpływem jego pocałunków pękła bariera, którą odgradziła się od świata zewnętrznego. Znowu była dawną, radosną Cassandrą, w której zakochał się na Karaibach.

- Kiedy już osiadziemy w Charnwood, urodzisz dziecko i nasz dom będzie rozbrzmiewał śmiechem i szczebiotem, wtedy na pewno się zrozumiemy. Mamy przed sobą długie lata. Nie pozwolę ci, żebyś odeszła. Kocham cię i nie potrafię żyć bez ciebie.

Cassandra przytuliła głowę do jego piersi.

- I ja cię kocham - szepnęła. - Kocham cię ponad wszystko.

Stuart sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej małe pudełko. W środku leżał pierścień, który Cassandra mu zwróciła, gdy wsiadała na statek Druma O'Leary'ego po pamiętnej bitwie na pokładzie „Jastrzębia Morskiego”. Ślubny pierścień - dowód ich miłości. Szafir i brylanty zamigotały w promieniach słońca.

- To chyba twoje - powiedział Stuart, wziął żonę za rękę i wsunął jej pierścień na palec.

Cassandra milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Stuart uśmiechnął się.

- Lepiej wracajmy już do domu - zauważył - bo mam ochotę rozpocząć coś, czego na pewno nie będziemy mogli skończyć.

Widok Charnwood sprawił, że Cassandra wyzbyła się wszelkich obaw. Nigdy nie widziała piękniejszego domu niż ten okazały pałac z czasów dynastii Tudorów, stojący opodal Tonbridge, niemal nad brzegiem rzeki Medway. W pobliżu znajdowało się jezioro i park pełen starych drzew i krzewów.

Nie zawiedli także znajomi i sąsiedzi. Nikt z nich nie czuł się urażony obecnością Cassandry. Wręcz przeciwnie, jej osoba budziła powszechną sympatię i zaciekawienie. Wszyscy chcieli sprawdzić, czy sławna córka Nathaniela Wylde'a jest tak piękna, jak ją opisywano. Ci, którzy widzieli ją w powozie, nie czuli się rozczarowani.

Ich syn przyszedł na świat dosyć łatwo. Miał czarne włoski i łapczywie przypiął się do matczynej piersi, nieświadomy wszystkich życiowych burz i kłopotów, które omal na dobre nie poróżniły jego rodziców.

Stuart pokochał go od chwili, gdy pierwszy raz wziął go na rękę. Czuł na sobie uważne spojrzenie Cassandry, więc podszedł do niej powoli. Popatrzyła na nich ze łzami w oczach, bo od dawna czekała na ten widok.

- Piękny chłopak, prawda, Stuarcie?

- Piękny i silny - odparł z uśmiechem.

- I nie będziesz go winił za...

- Nigdy. To nasz syn, Cassandro. Twój i mój. Nikogo więcej.

Kiedy syn skończył dwa miesiące, Cassandra w święta Bożego Narodzenia urządziła bal - pierwszy bal w Charnwood od czasu śmierci Stephena. Zaproszono gości nawet z Londynu. Bal okazał

się wielkim wydarzeniem i trwał do białego rana. Tuż przed świtem Stuart i Cassandra wymknęli się do sypialni. Nadszedł chyba ostateczny moment ich pojednania, ale żadne z nich nie skłaniało drugiego do pośpiechu. Cassandra powoli zaczęła zdejmować suknię. Stuart natychmiast ją powstrzymał. Wolał to sam zrobić. Poddała mu się z radosnym uśmiechem. Rozebrał ją i rozplótł jej włosy. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Gdy ją całował, całkowicie poddała się jego pieszczotom. Byli dla siebie stworzeni jak księżyc i gwiazdy. Kochali się, później zasnęli, rano znów się kochali, a o wschodzie słońca Stuart wiedział już, że odzyskał dziewczynę z Barbadosu. Na dobrą sprawę nigdy jej nie stracił. Czekala tylko, żeby złamał złe zaklęcie i ją ocalił.